

# Z opowiadań prawnika





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

---

ELIZA ORZESZKOWA

## *Z opowiadań prawnika*

# STRACONY

*Nowella*

.....Pewnego dnia opuszczałem wielką budowę, w której w mieście naszym mieszczą się sądy cywilne i kryminalne, gdy w ostatniej sali spotkałem się oko w oko z jednym z Sędziów, mającym się także ku odejściu.

— Jakże się cieszę, że pana spotykam — zawołał, ujrawszy mnie, poważny dygnitarz. — Dziś właśnie wysłaliśmy panu urzędowe pismo, ale rad jestem, że o treści jego osobiście pomówić z panem mogę.

— Czém rozkażecie mi panowie służyć sobie?

— Rozkazywać nie mamy prawa, ale prosiliśmy pana, abyś chciał podjąć się obrony pewnego młodego przestępcy, względem którego prokurator formułuje podobno wielce srogie wnioski. Będzie to, jak się zdaje, kategoria najwyższa... ciężkie roboty, czy coś podobnego... musimy dać mu obrońcę, prezes pomyślał o panu.

Skłoniłem się przyzwalająco.

— W tych dniach — rzekłem — mam nawet wolnego czasu więcej, niż zwykle.

— A więc wybornie się składa — rzekł urzędnik — wydamy wnet Kancelaryi rozporządzenie, aby akta, odnoszące się do sprawy młodego Kalińskiego, dane zostały panu do przejrzania.

Nazwisko, wymówione przez urzędnika, uderzyło mnie; należało ono do jednej z najbogatszych, najstarszych i najbardziej rozgałęzionych rodzin szlacheckich w prowincyi naszej.

Dwóch ludzi nazwisko to noszących znałem nawet osobiście: jednym z nich był pięćdziesięcioletni Jan Kaliński, majątny obywatel wiejski, pozujący nieco na arystokratę, z tém wszystkiém jednak doskonale uczciwy i dość oświecony; drugim, syn jego, dorosły, piękny, gruntownie wykształcony i bardzo sympatyczny młody człowiek. Zasłyszałem też był mimochodem o bracie Jana, Maurycym Kalińskim, który przecież w mieście nie ukazywał się nigdy i o którym nic nie mówiono więcej, jak tylko, że jest zawołanym myśliwym i że ma kilkoro dzieci. W ogóle była to rodzina obdarzona wszelkimi dobrami tego świata: wysokiem i szerokiem drzewem genealogiczném, szerokimi i świetnymi stosunkami, bogactwem i dobrą sławą.

Nie przypuszczałem też, aby kryminalista, którego prawną obronę pieczy méj powierzono, był członkiem téj właśnie rodziny; sądziłem, że jest to raczej prosta tylko, a dość często, bez żadnych związków krwi, zdarzająca się tożsamość nazwiska.

Jakże zdziwiłem się, gdy nazajutrz, rozwijając spory zwój urzędowych aktów, na pierwszym zaraz arkuszu wyczytałem: Roman, syn Maurycego i Elżbiety z Dębiczów, Kaliński. Tuż obok nazwisk tych, stała cyfra, oznaczająca wiek przestępcy: Miał lat dwiętnaście i trzy miesiące.

Był to więc syn owego zagorzałego myśliwego, którego psiarnie i konie wierzchowe sływały na całą prowincyą, synowiec wytwornego i pełnego uczucia honoru pana Jana, brat stryjeczny młodego Józefa, który w tym właśnie czasie wznosił w majątku swym jakiś wielki przemysłowy zakład, członek, słowem, rodziny, wysokie miejsce zajmującej w społeczeństwie. Kim więc był ów młody Roman? co uczynił? jakim sposobem imię jego z szeregu szanownych i szczęśliwych spadło na kartę, gdzie wypisywane kategorie przestępstw najsroższych i kar najwyższych.

Przez parę godzin siedziałem dosłownie zagrzebany w leżących przede mną papierach. Nigdy może z taką ciekawością nie czytałem powierzonych mi sprawy. Skończywszy czytanie ostatniego arkusza, porwałem się z krzesła i mimowoli zawołałem: Dziwna rzecz! dziwna rzecz!

Młody Kaliński obwiniony był o zabicie, przez uderzenie w głowę laską o żelaznym nagłówku, jednego ze znanych powszechnie małomiasteczkowych karczemnych szulerów.

Fakt dokonany został w małej mieścinie, wśród nocy, w wielce podejrzanym przez policyą handlu trunkami. Obwiniony odpierał dotąd oskarżenie, do niczego się nie przyznając, ale dowody winy jego były zupełne i przekonujące. Pomiędzy nim a szulerem

zaszła w izbie, w której znajdowali się oni sam na sam, żywa i głośna sprzeczka. Właścicielka zakładu i goście jęj, bawiący się w przyległej izbie butelką i grą w bilard, sprowadzeni hałasem w miejsce kłótni, znaleźli towarzysza swego, bez życia leżącego na ziemi. Kaliński przed wejściem ich jeszcze wybiegł na ulicę. Z rany, zadanej zabitemu, trysnęła krew i zrosiła stół i podłogę w izbie. Na rękawie surduta obwinionego znaleziono też plamy, które powołani ku temu eksperci uznali za pochodzące od krwi. Tuż przy zwłokach zabitego, znaleziono pugilaresik z wyślōbioną na skōrce cyfrą Kalińskiego, uroniony przezeń zapewne w zapale sporu. Obwiniony nakoniec, pomimo uporczywego twierdzenia, że w chwili dokonanej zbrodni nie znajdował się już na miejscu jęj dokonania, dowiesć nie mógł swego *alibi*, a strōż nocny pod przysięgą zeznał, iż widział go wybiegającego z handlu i nieprzytomnie przebiegającego zaułek, na parę sekund zaledwie przed chwilą, w której w handlu podniōsł się hałas, obudzony widokiem człowieka, życia pozbawionego. Cel zabójstwa zdawał się być jasnym i widocznym, i zarazem wprowadzał czyn popełniony w kategorię przestępstw, najsrōżej przez prawo karanych. Celem tym musiała być chęć odebrania szulerowi kilkunastu rubli, które widziano u niego na kwadrans przed zaszłym wypadkiem, a przy zwłokach nie znaleziono. Taką ilość pieniędzy rewizya, następnego ranka dokonana, znalazła w kieszeni ubrania obwinionego. Obwiniony utrzymywał, że pieniądze te posiadał w zamian złotego medalionu, przed dwoma dniami sprzedanego przezeń niejakięj wdowie Dziećcerskięj. Otrzymałszy od władzy stosowne zapytanie, Dziećcerska urzędownie oświadczyła, iż medalionu, ani żadnego innego cennego przedmiotu, od obwinionego nie nabywała, i dlaczego-by w obecnym wypadku powoływał się on na nią, wcale nie pojmuję. Innego źródła pochodzenia będących w mowie pieniędzy obwiniony wskazać nie mógł, czy nie chciał, uporczywie trwając przy historii o medalionie, która, wobec zaparcia się mniemanęj nabywczyni, przybierała pozōr kłamstwa i wykrętu. Cokolwiekbądź, głębokō zanotowałem sobie w pamięci owo zeznanie Kalińskiego, które kłamliwem na pozōr tylko być mogło, i długo zastanawiałem się nad przeczącem oświadczeniem owęj Dziećcerskięj, wydajęcęj mi się w całym toku sprawy osobą wielce podejrzanej uczciwości, i niezupelnie na wiarę zasługującą.

Tak w głōwnych zarysach swych przedstawiała się sprawa ta, która, z powodu pochodzenia i społecznego połozenia sprawcy swego, napełniła mię głębokim zdumieniem. Samo już znajdowanie się członka rodziny Kalińskich w miejscu, zostajęcem na indexie policyi, było nieco dziwnem; młodzi panowie bowiem, z tęj sfery towarzyskięj pochodzący, do jakięj należał nowy mōj klient, jeżeli bładzą, nieraz i srodze nawet, zwykli są przecieź błędy swe okrywać pozorami przyzwoitości, nakazanemi im nietylko przez pewną dumę, łączącą się z ich pochodzeniem, ale przez samo już poczucie dobrego smaku, zaczerpnięte ze wszystkiego, co otacza ich od kolebki. Zabawy ich bywają bardzo często występne, ale bardzo rzadko brudne. Obyczajami swemi każą oni salony, ale obecnością swą zaszczycać nie lubią ulicy.

Przypuszczając jednak pewne wyjątkowe okoliczności, mogłem jeszcze jako tako wytłōmaczyć sobie to zstąpienie wysoko urodzonego szlachcica w otchłań, na której dnie szumią brudne uciechy mętów i wyrzutków społeczeństwa; ale jakieź wytłōmaczenie znaleźć mógł fakt dokonania zabójstwa przez syna bogatych rodziców na nędzarzu, żyjącym z oszustwa, w celu odebrania od niego nędznych kilkunastu rubli? A jednak, pomimo uporczywego zapierania się obwinionego, fakt jasny był, jak dzień; wątpić o prawdziwości winy nie mogłem, pozostawało mi tylko widzieć się osobiście z występnym i z własnych ust jego, z dziejów tak krōtkiego, a tak już, niestety, steranego jego życia, zaczerpnąć szczegōły, wyjaśniające to, co dla mnie samego niezrozumiałem pozostawało, a zarazem mogące mi dostarczyć poglądów na sprawę, z których wyradzają się okoliczności, winę umniejszające i karę za nią łagodzące. Czulem, że okoliczności takie istnieć musiały w niemałej liczbie; niepodobna było bowiem tak brzydkięj zbrodni przypisać samym tylko złym skłōnnościom, samemu zepsuciu charakteru dziewiętnastoletniego młodzięca. Była-by to w podobnym razie jakaś potworność moralna, wiarę zaś w częste istnienie potworności moralnych pomiędzy ludźmi osłabiły we mnie znacznie doświadczenia i studya, z zawodem mym połączone. Potworności istnieją bezsprzecznie, ale rzadko bardzo matką ich bywa sama przyroda; są one najczęściej skutkiem przyczyn, leżących głębokō w przeszłości człowieka, zwolna i stopniowo pętających umysł jego, w obłęd wprawiających sumienie. Każde prawie zło znajduje wytłōmaczenie swe i źródło w czémś, co je

poprzedziło, a co także było złém. Jak z niezdrowego gruntu wyrastają karłowate i chore rośliny, tak chore i kalekie duchy ludzkie powstają wśród niskich i niezdrowych trzęsawisk moralnych. Ależ znowu, sądząc według prawdopodobieństwa wszelkiego, grunt, na jakim wzrósł i rozwinął się duch młodego Kalińskiego, nie musiał karmić go trującymi sokami. W tej też sprzeczności drzewa z owocem i gruntu z rośliną leżało główne psychiczne zagadnienie sprawy, zagadnienie, które zajmowało całą myśl moją przez całą dobę, a w połowie mrocznego dnia jesienno przywiodło mnie ku bramie miejscowego więzienia.

Nie pierwszy to raz przestępowałem próg posepnej budowy, dokoła opasanej wysokim murem. Ciężkie, wielkie, w żelazne rygle i sztaby zaopatrzone drzwi, wprowadzały tam wchodzącego do ciemnej sklepionej bramy, za którą znajdował się wązki, długi, brukowany dziedziniec, z czterech stron otoczony kamiennymi gmachami, o trzech rzędach małych, okratowanych okienek. Miejsce to podobnym było do olbrzymiej studni, na której dnie stojący człowiek spostrzegać mógł w górze wązki pas nieba i długie szeregi sterczących nad dachami popielatych kominów. Naprzeciw bramy wchodowej znajdowała się inna, mniejsza tylko i niższa brama, a za nią widać było w oddali małe kwadratowe podwórko, tak już ścięśnione murami, że w najjaśniejszy dzień pograżone zostawało w głębokim zmroku. Dokoła drugiego tego podwórka były cele, w których zamykano więźniów, wyrokami sądowymi skazanych już na najcięższe kary. Oznajmiłem dozorcę więzienia, że przyszedłem dla widzenia się z Romanem Kalińskim.

— W tej chwili jest on nieobecny — odpowiedział dozorca — wypadła mu dziś kolej przynoszenia obiadu dla więźniów. Ponieważ jednak kuchnia znajduje się tuż obok w zaułku, sądzę, że wnet wróci. Zechce pan może tymczasem wejść do parlatorium?

Wolałem zatrzymać się w bramie, chociaż bowiem powietrze i tu było zduszone i cuchnące, łatwiej jednak mogłem oddychać, niż w wilgotnym, ciemnym i zakurzonej parlatorium. Przystając na dziedzińcu znajdowali się właśnie w tej chwili oczekujący na codzienną żywność więźniowie. Powiodłem spojrzeniem po tych chmurnych, lub cynicznych, znędzniałych, lub grubych i gęsto spletanymi włosami zarosłych twarzach, i zamyśliłem się tak głęboko, że nie słyszałem, jak otworzyły się za mną drzwi więzienia.

— Oto więzień, z którym pan życzy sobie mówić — rzekł dozorca.

Oparłem się plecami o ścianę bramy, aby nie zawadzać idącym, i spojrzałem ku drzwiom. Zamykano je właśnie za kilku żołnierzami, którzy szli, uzbrojeni w strzelby i sterczące bagnety. Kilku innych, również uzbrojonych, postępowało przodem, pośrodku szli ludzie w szarych więziennych siermięgach, dźwigając na ramionach długie i grube drągi, z zawieszonymi na nich wielkimi statkami, pełnymi dymiącej się stawy. Z łatwością domyśliłem się, który z ludzi tych był Kalińskim. Najmłodszy ze wszystkich, miał on też twarz najbielszą, rysy najdelikatniejsze i najwysmuklejsze kształty ciała.

U wejścia z bramy na dziedziniec, towarzysz młodego więźnia, niosący drugi koniec dźwiganego przezeń drąga, ze zmęczenia, lub może leniwstwa, ugiął zbytecznie w dół ramię i zwolnił kroku.

— Hej, przyjacielu! — nie odwracając głowy zawołał Kaliński — wyprostuj-no się i żywo na przód! Nie mogę cię przecie wziąć na moje plecy!

Głos, jakim słowa te wymówione zostały, świeży był i donośny. Dźwięk jego, nieledwie srebrzysty, brzmiał na-pół rozkazująco, na-pół swawolnie i pieszczotliwie. Stary brodac, który przed tym zginał się prawie we dwoje i zaczynał z ciężkością powłóczyć nogami, wyprostował się szybko i począł iść pewnym, równym krokiem.

Pośrodku dziedzińca więźniowie zatrzymali się i spuścili ciężary swe z ramion na ziemię, żołnierze ustąpili na bok, a ludność więzienna, z glinianymi miskami i drewnianymi łyżkami, pogarnęła się do dymiących kotłów.

— Zawołam teraz Kalińskiego — rzekł do mnie dozorca.

Chciał postąpić na przód, ale zatrzymałem go.

— Niech zje wprzódy obiad — rzekłem — mogą poczekać.

W rzeczy samej chciałem z uboczy i niespostrzeżony przypatrzeć się młodemu więźniowi; gwarna przystępem i tłumna scena, odbywająca się na dziedzińcu więziennym, wzbudziła we mnie zajęcie i chęć czynienia spostrzeżeń. Dozorca, który znał mnie oddawna i szanował charakter, w jakim przybywałem w to miejsce, nie sprzeciwiał się memu żądaniu. Usiedliśmy obaj na drewnianej ławie, w głębi bramy umieszczonej, a przeznaczonej

na miejsce spoczynku dla żołnierzy, posterunek odbywających. Wkoło stojących pośrodku dziedzińca kotłów zapanował ścisk wielki, rozległy się grube żarty i śmiechy, połączone z krzykami złości. Ustawieni pod ścianami budowy żołnierze uważnie oczyma ścigali poruszenia grubego tego i hałaśliwego tłumu, nie wdając się jeszcze w sprawy jego, ale widocznie gotowi do postąpienia na przód i przywrócenia porządku, jeśli-by zaszła tego potrzeba. Tymczasem mężczyźni, o twarzach obrosłych splątany włos, lub żółtych, ciemnych i kościstych, kobiety w pstrój i brudnej odzieży, z nabrzękłymi policzkami i głowami owiniętymi w brudne szmaty, cisnęli się do upragnionego snadź pożywienia, pochylali, tłoczyli jedni drugich, wydawali z piersi rubaszne śmiechy, lub złorzeczenia, topiące się w głuchém, tłumioném warczeniu. Miski przecież w rękach więźniów pozostały puste; wśród natłoku i kłótni, wszyscy przeszkadzali sobie wzajem w czerpaniu strawy. Trwało tak parę minut. Nagle po-nad bezładnym gwarem grubych, ochrypłych, lub piskliwych głosów rozległ się ten sam głos donośny, srebrzysty, na-pół rozkazujący, na-pół żartobliwy, który przed tém nieco w bramie więziennéj rozkazywał leniwemu więźniowi wyprostować się i iść na przód. Młody Kaliński przecisnął się przez tłum, stanął tuż obok kotłów i podniósł wysoko rękę.

— Halt! — zawołał — szykujcie się bracia, a żywo! raz, dwa, trzy! w szeregi! na około kotłów, jeden za drugim! tak! Ty, brodaty Grzegorzu! po co się tak ciśniesz! a ty, Magdaleno, usuń się, bo cię tu zduszą! Héj, stojcie teraz wszyscy i ani mi się ruszyć, póki nie zawołam! Jerzy! ty zaczynaj! Pełną już miskę masz? dobrze! a teraz wy, Grzegorzu! Wasylu, Magdaleno! Justyno! Możecie przystępować we dwóch, we trzech, ale po kolei! grzecznie i porządnie!

Patrzałem i słuchałem ze zdziwieniem. Głos i giesta młodego człowieka magiczny wpływ wywierały na tłum ten gruby i niesforny. Ludzie ci, z posępną lub bezmyślną, cyniczną lub zropaczoną powierzchownością, słuchali go, jak dzieci, według rozkazu jego szykowali się w szeregi, przystępowali do kotłów i czerpali z nich strawę, nie prędjéj, aż każdego z nich zawołał po imieniu. On zaś, znając widocznie nietylko imiona, ale i usposobienia, brzmienie głosu swego do tych ostatnich stosował. Niektóre z imion więźniów wymawiał łagodnie i przyjacielsko, inne z rubaszną żartobliwością, inne nakoniec surowo i twardo. Fizyognomia jego takim-że samym, jak głos, ulegała zmianom. Po ustach jego przebiegał uśmiech, to żartobliwy i niemal swawolny, to życzliwy i jakby litośny; ale były także chwile, w których cienko zarysowane brwi młodego więźnia zsuwały się gniewnie i nakazująco, a oczy jego, wlepione w twarz chcącego opierać się towarzysza, nabierały połysków stali, wyrazu uporczywéj i pewnéj siebie siły.

Kiedy wszystkie miski napełnione już zostały, Kaliński podniósł znowu rękę.

— Teraz — zawołał — siadać! jedni za drugimi! naokoło kotłów! tak!

Usiedli w dwa rzędy, każdy ze swoją miską i łyżką, tworząc tym sposobem wielkie, ściśle zwarte koło. Kaliński został przez chwilę w stojącej postawie; próżna jeszcze misa stała u stóp jego na kamieniu, on zaś skrzyżował ręce na piersi i powolne spójrzenie toczył po głowach siedzących na ziemi ludzi. Teraz dopióro, gdy stał tak milczący i sam jeden, po raz piérwszy ogarnąć mogłem wzrokiem w zupełności postać jego i twarz. Wzrost jego był więcéj niż średni, kształty ciała, delikatne i doskonale harmonijne, objawiały przecież niepospolitą fizyczną siłę i sprężystość. Pierś miał szeroką, ramiona dobrze rozwinięte, rękę białą i bardzo kształtną, ale muskularną i dość dużą. Wprzódy już, gdy zdjął szarą sukienną czapkę, w jakiej był wszedł z ulicy do więzienia, bujne i długie pierścienie włosów kasztanowatego koloru osypały mu białe, pięknie zarysowane czoło, i w obfitych zwojach opadły na gibką i delikatną, z za grubéj siermięgi wydobywającą się, szyję. Oczy jego, w podłużnej osadzone oprawie, ciemno szaremi źrenicami, niby odłamami błyszczącej stali, świeciły z pod wydętej znacznie nad niemi, wązką i ciemną linią brwi zarysowanój kości czołowój; na ściągłych zaś policzkach z-za żółtój bladości znamionującej dość już długi pobyt w więzieniu, przemocą jakby przebił się rumieniec młodości, a cienką wargę, porastał ciemny, gęsty puch, zaledwie wykluwającego się wąsa. Pomiędzy grubemi, bez kształtu postaciami, jakie go otaczały, na tle brudnego dziedzińca i posępnych otaczających go murów, piękny chłopak ten wyglądał, jak promień słońca wśród głębokich ciemności, lub młody i zdrowy dębczak wśród karłowatéj, kalekiéj choiny. Siermięga nawet więzienna, ten brzydki i bezforemny ubiór, nie szpecila go bynajmniéj; — czy umiał wdziwiać ją i nosić inaczej, niż inni, czy kształty ciała jego były tak doskona-

le piękne, że żadna odzież zszpecić ich nie mogła, ale, patrząc na niego, można-by rzec, iż kawał ten szarego, grubego sukna, włożył on na siebie przez żart, lub swawolę chłopięcą i, tak ubrany, przyszedł w to miejsce strachu i utrapień na chwilę tylko, aby potem udać się znowu tam, kędy, pod dachem bogatego szlacheckiego dworu, stała niegdyś kolebka jego, kędy były te wykwinty dostatku, te pieszczoty losu, z pośród których wyniósł on swą gibką, smukłą, zdrową postać, białość swego czoła, cienkość warg młodzieńczych, delikatność ręki, utworzoną miękkim próżnowaniem młodych pokoleń.

— No, — rzekł po chwili młody więzień, — teraz na mnie kolej.

Przykląkł przed kotłem i, ujmując swą misę, dodał:

— Myśleliście może, iż nie byłem głodny i tak sobie, dla przyjemności, czekałem, aż przyjdziecie do porządku! Bądźcie pewni, że jeść mi się chce jeszcze lepiej, niż wam, ale cierpieć nie mogę wrzasków waszych i klótni... Co za ochota sprowadzać sobie na kark panów strażników i dozorców? czy nie lepiej samych siebie pilnować? prawda?

— Prawda! — odezwało się kilka głosów, a jeden z nich ciągnął dalej:

— Już-to nie dziwota, że ty, Kaliński, nie lubisz, kiedy ludzie klócą się i biją... U rodziców twoich było, jak u Pana Boga za piecem, co?

Zjadliwe szyderstwo brzmiało w chrypliwym głosie, i malowało się w cynicznej fizyognomii więźnia, który wymówił te wyrazy.

— To prawda! — pochwyił inny więzień, brodaty i barczysty, — paniczyk z niego!

— A jednak dostał się tu jakoś pomiędzy nas!

— I chlipie z nami czerwony krupnik!

— I pomaga nam zamiatać turmę!

— A mama i tata nie przychodzą z wizytą!

— Cha, cha, cha!

Słowom tym tłumnie towarzyszył chór grubych, urągających głosów.

Widziałem, jak po czole Kalińskiego przemknął ciemny, szybki rumieniec, oczy jego zagorzały, jak żuźle, zwierzchnia warga drgnęła. Był to jednak błyskawiczny, przelotny moment, po którym na twarz jego wrócił uprzedni wyraz, łączący w sobie stanowczość i energią z łagodnością i żartobliwością. Położył łyżkę, którą wprzód kilka razy podniósł do ust i, tocząc spojrzeniem dokoła, wstrząsał powoli głową.

— Oj ludzie, ludzie! — zawołał, — żebyście wiedzieli, jakie głupstwa i niegodziwości z gęby waszej wychodzą, tobyście jej nigdy nie otwierali. A naprzód o rodzicach moich wara wam plaskać językami! który z was piśnie raz jeszcze o ojcu moim albo o mojej matce, temu tak przypomnę *mores*, że mu gwiazdy w oczach zaświecą!

Ci z więźniów, którzy odzywali się wprzód, chmurnie spojrzeli po sobie, wzruszyli ramionami, chcieli widocznie odpowiedzieć śmiechem, który jednak nie wydobywał się na ich usta. Chlipali dalej strawę swą i milczeli. Kaliński poniósł też parę razy łyżkę do ust, poczem bez żadnego już uniesienia, owszem, żartobliwym i swobodnym tonem, mówić zaczął:

— Co zaś do tego, że jestem paniczem, a pomimo to dostałem się pomiędzy was, święta to prawda. Niema jednak tu wcale powodu do śmiechu, moi ludzie, ani też do dokuczania bliźniemu. Świat, to huśtawka, na której człowiek kołysze się, i to podleci wysoko, to spadnie nisko. Taki, co sznury od huśtawki mocno w garści trzyma, nie uderzy się o kłodę i nie upadnie nosem w kałużę; ale puść tylko huśtawkę na wolę wiatrów, polecisz w dół, jak piłka, i stłuczysz się na taką miazgę, że cię i rodzona matka kiedyś nie pozna!

— Ot, już zaczął *fiklizować!* (filozofować) — zawołał, śmiejąc się, ponury i brodaty więzień.

— Cicho, Grzegorzu! — ozwała się za nim mała, szczupła, ze zwiędłym ciałem i cierpiącą twarzą, kobiecina, — niech mówi! niech mówi!

— Niech mówi! — powtórzył głos inny, — jak zacnie gadać, to mi się zawsze здаje, że jestem jeszcze kamerdynerem u pana marszałka, i chodzę koło stołu z serwetą na ramieniu!

Kobięta, która odzywała się wprzód, chora widocznie i zgnębiona na ciele i duchu, nic nie wyrzekła więcej, ale wlepiła w młodego więźnia wzrok uporczywy i mglący się

wilgocią. Snadź, gdy patrzyła na niego, i jój także przypominała się chwila jakaś z minionej, jaśniejszej przeszłości.

— No, i cóż tam z tą huśtawką? — zagadnęło parę głosów, — mów dalej!

— Dyabelny musiał być wiatr, kiedy taki panicz, jak ty, spadł z téj huśtawki i wpadł tutaj!

Kaliński odstawił na stronę do połowy zaledwie wypróżnioną misę.

— Wiatr, — rzekł, — taki był, jak bywa zawsze na całym świecie, ale nie umiałem sznurów w garści trzymać. Zupełnie to tak było, moi ludzie, jak i z wami. Każdy z was był kiedyś w górze. Nie prawdaż!

— Prawda! prawda! — powtórzyło kilka głosów, pomiędzy którymi dosłyszć można było parę ciężkich westchnień.

— Otóż widzicie! — ciągnął najmłodszy z więźniów. — Ty, na przykład, Grzegorzu, byłeś kiedyś gajowym. Przypomnij sobie te czasy, w których ze strzelbą na ramieniu chodziłeś po lesie. Słońce świeciło, brzozy szumiały, ogniste wiewiórki skakały po gałęziach, a kiedy kukułka pierwszy raz zakukała, uderzyłeś się ręką po kieszeni, żeby miedziaki, które tam z rana włożyłeś, głośno zadzwoniły<sup>1</sup>. Porównaj-że dawniejszy twój gaj z tym dziedzińcem, dawniejsze twoje serce z terażniejszym, a przekonasz się, że nie trzeba śmiać się z ludzi, którzy pospadali z huśtawek!

Były gajowy słuchał słów tych, do niego zwróconych, z razu niechętnie i ponuro, zdawało się, że przerwie mowę młodemu więźniowi, grubiańską jakąś odpowiedzią. Nie uczynił jednak tego; gniewny płomień, rozpalający zapadłe źrenice jego, gasł zwolna; wśród zgrubiałego, pociemniałego czoła, powstały głębokie zmarszczki. Pochylił głowę i milczał.

Kaliński nie patrzył już na niego. Siedział na ziemi, z rękoma skrzyżowanymi na kolanach, z głową zwróconą, ku innemu więźniowi.

— Albo i ty, Jerzy, — mówił, — czy źle ci było służyć za kamerdynera u pana marszałka? Nie było ci głodno ani chłodno, spałeś 12 godzin na dobę, jeździłeś za pańską karetą i o jutro nie dbałeś. Tęgi był z ciebie chłopak, widać to; a twojaż Anusia, z którą żenić się miałeś? Ej, ej! podobno i chatkę zbudowaliście już sobie na końcu wsi pana marszałka, świetlica widna była i czysto pobielona, Anusia pod oknami pokopała grządki na kwiaty... Wszystko miało być pięknie i szczęśliwie; aż tu — w oczy ci wlała marszałkowska szkatułka...

Ex-kamerdyner żywo podniósł głowę.

— Paniczu, — rzekł stłumionym głosem, — znaliście mię na dworze pana marszałka, i widzieliście też Anusię! powiedzcie, czy mogliście myśleć wtedy, że będę tutaj...

— Ho, ho! — kochanku! — zawołał Kaliński, — a tyżes mógł kiedy przypuścić, że ja tu będę?

Ex-kamerdyner wstrząsał głową i spoglądał na tego, którego nazywał paniczem, z dziwnym wyrazem, w którym poczucie nierówności stanu i niechęć topiły się w politowaniu i rozrzewnieniu.

Całej rozmowy téj słuchałem z najwyższém zajęciem. Ujrzałem w części przyczynę wpływu, wywieranego przez młodego więźnia na tych zgrubiałych i ponurych ludzi. Grał on na sercach ich, poruszając ukryte w nich struny wspomnień. To, co im przypominał w niewyraźnych zarysach, tkwiło we własnej ich myśli, napępniało ich sny, ścigało wyobraźnię; on przyoblekał w słowo marę przeszłości, której żalowali, dopomagał im do sformułowania tęsknoty, która nurtowała i gryzła występne, lecz zawsze człowiecze, ich piersi. W mowie jego słyszeli głosy własnych uczuć i słuchać go lubili. Był to ze strony młodego człowieka dowód niepospolitej przenikliwości i zręczności w ogarnieniu władzy nad ludźmi.

Po chwili przecież, w drugim szeregu siedzących na ziemi ludzi, podniosły się krzyki i swary. Jedna z kobiet uwieczonych zapuściła rękę do kotła jednocześnie z siedzącym obok niój mężczyzną. Ten odepchnął ją, ona się ofuknęła; mężczyzna podniósł nad głowę jój rękę, uzbrojoną w łyżkę, inni przyłączyli się do niego, kobieta broniła się i krzyczała, czém jątrzyła bardziej napastników. Kaliński żywo obrócił głowę w stronę zwaśnionych.

<sup>1</sup>a kiedy kukułka pierwszy raz zakukała... — według panującego na Litwie ludowego przesądu, pierwszy raz na wiosnę usłyszawszy kukułkę, trzeba zadzwonić znajdującą się w kieszeni monetą, aby przez cały rok mieć wiele pieniędzy. [przypis autorski]



— A to co ma znaczyć? — wymówił, — chcecie bić Justynę! wstyďte się, wszak to dama!

Podniósł się, i wyciągnął rękę w stronę rozgniewanych towarzyszy. Wyraz twarzy jego nie był przecież groźny ani surowy, owszem, żartobliwy uśmiech przewijał mu się po ustach.

— Słuchajcie! — zawołał donośnym swym i, jak dzwonek, dźwięcznym głosem, — szacunek dla dam!

Słowa te, a szczególnie ostatnie, dziwnie musiały zabrzmieć w uszach więziennego zgromadzenia. Treść i forma wypowiedzianego rozkazu wydać się musiały obecnym nader komicznymi. Komiczność tę wzmacniał wyraz twarzy mówiącego, w którym baczne oko dostrzedz-by mogło smutne szyderstwo, ale nie okrzese umysły widziały tylko swawolną pustotę. Człowiek, podnoszący przed chwilą pięść na sąsiadującą z nim kobietę, opuścił rękę; szeroko otwarte oczy utkwili w mówiącego, kilka głosów zaśmiało się, Kaliński śmiał się także, śmiał się głośno, opierając dłonie na biodrach i przechylając się w obie strony. Czy śmiech ten jego szczerym był, czy też może za pomocą jego chciał on tylko w towarzyszach swych poruszyć i w grę wprawić strunę rubasznjej wesołości? trudno było powiedzieć na pewno. Zauważyłem, że wśród śmiechu brwi więźnia drgały i zsuwały się, jakby w uczuciu dolegliwego bólu; ale gdy kłótnia, jakby za dotknięciem magicznej różdżki, ustała, gdy wszystkie te grube, ponure lub zbolale twarze, które go otaczały, utraciły na chwilę wyraz groźny i ponury, oczy jego błysnęły jak stal pod słońcem, szerokie odetchnięcie zakołysało piersią...

Byłem pewny, że w chwili téj doświadczyć musiał uczucia tryumfu, podobnego temu, jakiego doznaje poskramiacz dzikich zwierząt, gdy uda mu się głosem swoim lub potęgą wzroku zagłuszyć wycie i złagodzić srogość hodowanych przezeń tygrysów i hyen.

Siedzący obok mnie dozorca spostrzegł zajęcie z jakim przypatrywałem się zachodzącym na dziedzińcu scenom.

— Tak bywa zawsze! — rzekł do mnie z cicha, — odkąd on tu jest, ja i straż więzienna nigdy prawie nie potrzebujemy wdawać się między więźniów. Od pierwszego zaraz dnia pobytu swego tutaj, zaczął on ich wodzić na sznurku, a choć niektórzy z nich drwią z niego czasem i próbują mu dokuczać, jak tylko odezwie się, milkną zaraz i słuchają go z pootwieranymi ustami. Kobiety szczególnie przepadają za nim, i posłuszne mu są, jak dzieci. Broni on ich zawsze od napaści towarzyszy, a gdy tylko zbiorą się koło niego, opowiada im różne jakieś dziwaczne historye, których ja, prawdę rzekłszy, nie rozumiem nawet dobrze, ale które trafiają widać do ich przekonania, bo nieraz widziałem, jak zanosiły się od śmiechu, a parę razy spotrzegłem niektóre z nich płaczące...

— Powiedz mi pan, — przerwałem, — czy podobne wpływanie na więźniów poleczone mu, lub nakazane przez kogo zostało? albo czy odnosi z niego jaką korzyść?

— Bynajmniej — odparł dozorca — zdarza się czasem wprawdzie, że dla ulżenia sobie lub nawet dla dobra i spokojności samych więźniów, wybieramy z pomiędzy nich najenergiczniejszych i pozornie przynajmniej najlepszych, polecając im, aby dozorowali towarzyszy, zapobiegali kłótniom i wzajemnym krzywdom, wskazywali nam nakoniec tych, którzy okażą się najbardziej nieposłusznymi i zepsutymi. O powierzaniu przecież Kalińskiemu podobnych czynności nikt i nie pomyślał. Sądziliśmy przeciwnie, że, jako szlachcic i, według ogólnego wyrażania się więźniów, *panicz*, jako przytém najmłodszy i z pozorów najslabszy, znosić on będzie od towarzyszy najwięcej dokuczań i że go przed nimi nam bronić przyjdzie. Stało się przeciwnie. Zapytywałem go raz, dlaczego tak nieustannie czuwa nad więźniami, godzi ich, zajmuje, śmieszy, komenderuje słowem nimi, jak dowódzca żołnierzami. Powiedział mi, że czyni to dla własnej przyjemności. Mnie się zdaje, że bez tego umarł-by on tu chyba. Nie uwierzy pan bowiem, co to za iskra z tego chłopca! Rusza się wciąż po więzieniu jak żywe srebro, chodzi, gada, opowiada, gestykuluje. Jestem pewny, że gdyby można zmierzyć kroki jego, które od rana do wieczora uczyni, ruszając się wciąż po tych dwóch dziedzińcach, wyniosły-by dziennie dobrych mil kilka.

Słowa te dozorca dały mi wiele do myślenia. Miałem widocznie przed sobą jedną z tych rzadkich i niebezpiecznych natur, które albo podnoszą ludzi na najwyższe szczyty, albo strącają ich w najgłębsze otchłanie, ale dla których środka niema.

Na dziedzińcu więziennym spożywanie obiadu było już ukończone. Jedni z więźniów z ciężkiemi stęgnięciami powstali z ziemi i w ponurym milczeniu postępowali ku szarym ścianom gmachu, pod którymi leżały przedmioty ręcznych ich zajęć: na-pół uplecione maty ze słomy lub kosze z łozy; inni zostali na uprzednich swych miejscach i zapuszczali w głąbią wypróżnionych kotłów wzrok, w którym znać było głód, niezupełnie zaspokojony; trzech czy czterech wyciągnęło się na wilgotnych kamieniach, z rękoma rozpostartymi bezwładnie i twarzami zwróconymi ku kawałkowi szarego nieba; dwie kobiety, blisko do siebie przysunięte, szeptały z cicha, wzdychając i chichocąc na przemian; dwie inne siedziały z łokciami opartymi na podniesionych kolanach i, ukrywając całkiem twarze w ciemnych grubych rękach, kołysały się z wolna niby w takt nurtujących, je głęboko tajemnych rozmyślań.

Kaliński siedział przez chwilę odosobniony i milczący, z łokciem opartym o brzeg kotła i brodą złożoną na dłoni. Znać jednak było, że ciało jego tylko pozostawało nieruchomym, myśl zaś i wyobraźnia pracowały. Oczy jego szczególnie zwróciły w tej chwili moją uwagę: przelatywały one z przedmiotu na przedmiot z chyżością, nadawaną im zapewne pędzącym przez głowę prądem myśli; ślizgały się niedbale po wilgotnych murach, przebijały wzrokiem czarne okratowane okienka, z uwagą i skupieniem ogarniały jedną po drugiej postacie więźniów; z rodzajem swawolnego uśmiešku w źrenicach tonęły w twarzach stojących u bramy żołnierzy; zawieszały się na sterzących ich bagnietach; podnosząc się w górę, płynęły kilka sekund z popielatym obłokiem, sunącym po białym tle, i opadały na bruk dziedzińca, przeskakując z kamienia na kamień, zdając się pytać o coś, to uśmiechać się z czegoś, to myśleć nad czémś niespokojnie a uparcie. Cienkie wargi młodego więźnia otwierały się kilka razy, wydając parę skocznych taktów bez słów, lub składały się do gwizdania hulaszczęj piosenki; lecz w mgnieniu oka zwiierały się znowu, zamknięte nadbiegłą jakby nową jakąś myślą.

— Zawołaj go pan teraz do parlatoryum — rzekłem dozorczy i wszedłem do otwierającej się z bramy małej izby, którą okratowane, wysoko umieszczone okno, w ciągłym pozostawiało mroku. Całym umeblowaniem izby tej była drewniana ława, ciężki grubej roboty stół i parę stołków.

Usiadłem na ławie i oczekiwałem przybycia nowego mego klienta. Z dziedzińca doszedł mi nagle powstały gwar głosów. Ludność więzienna, nie wiedząc, w jakim celu wołano jej ulubieńca, sprzeciwiała się snadź jego odejściu. Dozorca mówił coś surowo i nakazująco, ale gwar nie ustawał, gdy u wejścia do bramy usłyszałem głos Kalińskiego.

— Hej dzieci! — zawołał — cicho mi być zaraz! Toć nie na szubienicę prowadzą mnie! ktoś tam przyszedł do mnie; rozmówię się z nim i powrócę, a wtedy taką wam bajkę powiem, że popękacie od śmiechu! — Niesforne wrzenie brutalnego i nieokiełzanego żywiołu, napelniającego dziedziniec, stopiło się na głos ten w głuchy i przyciszony szmer.

Do parlatoryum wszedł młody więzień. Za nim ukazał się dozorca, nie wszedł jednak, ale, rozejrzawszy się tylko bacznie po izbie, cofnął się wnet, szczerze za sobą drzwi zamykając.

Kaliński, pozostawszy sam-na-sam ze mną, zatrzymał się o kilka kroków od progu; oczy jego, ostygłe w tej chwili i nieufne, przez parę sekund zatapiały się w mojej twarzy.

Ze sztywności, jaką nagle okryły się tak ruchome przedtem jego rysy, i z nieufności, malującej się w spojrzeniu, pojąłem, że dorozumiewał się we mnie sędziego lub innéj jakiejś urzędowej figury, przybyłej dla badania go w celach dla niego nieprzyjaznych.

— Panie Romanie! — ozwałem się, powstając i postępując ku niemu parę kroków. Nazwałem go po imieniu nie po nazwisku, sądząc, że złagodzę przez to wyobrażenie jego o tym urzędowym charakterze, który go ode mnie odstraszał. Przytém, dźwięk głosu mego, wprawnego w przemawianie do podobnych mu nieszczęśliwych ludzi, nie musiał mu się wydać przykrym, bo sztywne rysy jego poruszyły się znowu, zimne źrenice jaśniejszym drgnęły blaskiem.

Uderzony snadź myślą jakąś, czy przypuszczeniem, żywo postąpił ku mnie.

— Czy pan przychodzisz od rodziców moich? — zapytał się szybko i wpatrzył się we mnie wzrokiem, w którym widać było niepokój i oczekiwanie.

— Rodziców pańskich nie znam i nie oni mię tu przysłali; — odpowiedziałem.

— Nie oni — ciszej i spuszczać nagle powieki, rzekł młody więzień; — nie oni — powtórzył, mówiąc jakby do siebie — naturalnie! zkądże-by się to im wzięło raptem!

Gdy wyrazy te cichym lecz gwałtownym szeptem poruszały jego wargami, zauważyłem, że zęby jego silnie były zwarte, czoło zaś sfaldowało się w takie liczne i skrzyżowane ze sobą zmarszczki, że całą fizyognomią jego uczyniło nagle o dwadzieścia lat starszą. Podniósł oczy, w których ujrzałem nowy promień nadziei.

— Więc może to stryj mój przysłał tu pana?

— Nie widziałem oddawna stryja pańskiego — odrzekłem znowu, przyglądając się mu bacznie.

Przygryzł wargę do krwi, gwałt gniewu czy bólu buchnął mu przez oczy ostrym płomieniem i bladą twarz oblał ciemnym rumieńcem.

— A więc czegoż pan chcesz ode mnie! — zawołał popędliwie.

— Jestem pańskim obrońcą prawnym i przyszedłem dla pomówienia z panem o szczegółach sprawy której bronić mam przed sądem.

Patrzył na mnie szerzej, niż zwykle, otwartymi oczyma. Widocznym było, że nie rozumiał wcale znaczenia mych wyrazów.

— Domyśliłem się od razu, że pan jesteś urzędnikiem — rzekł.

— Nie jestem bynajmniej urzędnikiem — odpowiedziałem — jestem pańskim obrońcą.

— Cóż to takiego ten obrońca? — zapytał, orzucając mię od stóp do głowy nieufnemi i niespokojnemi, mi<sup>2</sup> spojrzzeniami. — Czego pan żądasz ode mnie? co pan ze mną masz uczynić?

Nie miał widocznie najmniejszego pojęcia o znaczeniu obrony sądowej i stosunku adwokata względem przestępcy.

— Usiądź pan i posłuchaj mię — rzekłem łagodnie — wytłómaczę ci, dlaczego tu jestem, co dla ciebie uczynić mogę i powinienem.

Usiadł naprzeciw mnie na stolku i utkwiał w twarzy mojej oczy, w których niedowierzanie walczyło z ciekawością. Najjaśniej, jak tylko mogłem, skreśliłem przed nim główne zarysy procedury sądowej, podział i rodzaje czynności sędziów, prokuratora i obrońcy, znaczenie nadewszystko jak też obowiązki tego ostatniego, i ścisłą w danej chwili solidarność interesu klienta i adwokata.

Z niejakiem zdziwieniem zauważyłem, że wszystko, com mówił, było dla słuchacza mego najzupełniej obce i nieznanne. Słuchał mię on z natężoną uwagą, od czasu do czasu tylko przerywając mi pytaniami, objawiającymi głęboką nieświadomość najpotoczniejszych interesów publicznych, tyjących się spraw i faktów. Kiedym wspomniał o zadaniu prokuratora, podniósł głowę i z najkompletniejszą naiwnością zapytał:

— Pocóż to on, proszę pana, potrzebny? naco mu się przydało napadać na ludzi i oskarżać ich? od czegoż są sędziowie?

Zaledwie jednak zacząłem wyjaśniać mu ustawę, o której nic wcale nie wiedział, spostrzegłem, że rozumiał mię szybko i wybornie, odgadywał nieledwie myśl moją, akt pojmowania, odbywający się w bystrym jego umyśle, objawiając potakującym wstrząsaniem głową. Kiedym nakoniec, zwracając się do głównego założenia mowy mojej, powiadał mu, czém jest i być powinien obrońca przestępcy, wpatrywał się we mnie z podwójną uporczywością, i ze wzbudzoną na nowo niewiarą.

— Dla czegoż pan — zapytał ze zwykłą sobie porywcznością — podejmujesz się bronić ludzi, zupełnie obcych ci i nieznanych? czy wierzysz zawsze, że oni niewinni, a jeśli wiész, że winni, czy nie gardzisz nimi?

— Czynień to dlatego — odpowiedziałem — że to jest obowiązkiem mego zawodu, że, dopomagając sędziom do ujrzenia sprawy szczegółowo i wszechstronnie, obronić mogę od niesłuszných podejrzeń oskarżoną niewinność, albo też winę, jeśli ta istnieje, ukazać w istotnym świetle. Nie gardzę zaś nikim, sąd bowiem i potępienie występne go człowieka nie do mnie należą; powinienem tylko poznać dokładnie naturę występku jego i to, co go spowodowało, aby z przeszłości jego, z uczuć i intencji, z okoliczności towarzyszących nieszczęsnej chwili, nie upuścić żadnego źdźbła, żadnej, by najdrobniejszej, okruchy, która-by na jego stronę przeważała szalę sprawiedliwości, umniejszyć mu mogła hańby i ulżyć pokuty.

---

<sup>2</sup>niespokojnemi. [przypis redakcyjny]

Kiedy przestałem mówić, milczał chwilę, pogrążony w głębokim namyśle. Potem, nie patrząc na mnie, zapytał:

— A jeżeli obwiniony wyzna wszystko przed obrońcą, czy nie zdradzi go przed sędziami? nie powie im wszystkiego, co usłyszy?

— Nie — odparłem — podobnego postępkowi wzbrania obrońcy prawo, sumienie, a nawet, własny jego interes.

— To prawda! — zawołał z wyrazem przekonania. — boć przecie, jeśli dowiedziesz pan, że jestem niewinny, albo że winny mniej, niż sądzono, będzie to dla pana tryumf i chluba.

— Będzie to dla mnie uczciwe spełnienie obowiązku — odrzekłem z powagą.

— Więc pan naprawdę bronić mnie będziesz przed sądem? — zapytał po chwili.

— Bronić cię będę z najwyższym pragnieniem, aby słowo moje odwróciło od ciebie tę przyszłość, wśród której niema już żadnego ratunku, żadnej nadziei...

Podniósł nagle spuszczone dotąd powieki i całym ciałem uczynił taki ruch, jakby usłyszał coś zupełnie dla siebie niespodziewanego.

— Żadnego ratunku, żadnej nadziei! — zawołał z trochę urągliwego niedowierzania.

— Czy straszenie więźniów należy także do czynności ich obrońców?... wiem dobrze, iż u nas nie ścinają ludzi i nie wieszają.

— Ale posyłają ich do ciężkich robót — rzekłem. — Czy pan ma wyobrażenie o tym rodzaju kary?

Patrzył na mnie teraz szeroko otwartymi oczyma.

— Mam, mam wyobrażenie o tém — wymówił szeptem prawie — wiem, wiem! w kopalniach, w fabrykach, z młotem albo przy taczkach... długo... długo...

— I nigdy się już nie wraca tam, gdzie się urodziło, — dodałem.

Patrzył na mnie, ale szklanymi oczyma. Myśl jego była snadź w téj chwili daleko od téj izby, w której znajdowaliśmy się obaj; była ona zapewne przy owych taczkach, o których mówił, a także i w tém miejscu rodzinném, o którym ja mówiłem mu, że do niego nigdy nie wróci.

— Panie, — rzekł po chwili, — wierzę ci, że będziesz mię bronił z najżywszym pragnieniem, aby odwrócić odemnie tę... tę przyszłość...

Powtarzał słowa moje, które mu snadź utkwily w pamięci; potem, z nowym wybuchem porywczosci, zapytał:

— Cóż więc chcesz pan wiedzieć?

— Chcę wiedzieć prawdę, prawdę zupełną, — rzekłem, — inaczej nie będę mógł udzielić ci pomocy skutecznej.

Milczał i siedział nieruchomy. Skąpe światło, wpływające do izby przez wysokie okratowane okno, padało na niego z tyłu. Twarz jego, pogrążona w półcieniu, stawała się coraz bielszą; uchodził z niej ten nawet słaby rumieniec, któremu młodość i zdrowie fizyczne nie pozwoliły dotąd zniknąć całkowicie, nawet wśród więziennych murów i wewnętrznych udęczeń.

— A więc... — zaczął, ale usta zadrgały mu gwałtownie i głos ustał w gardle. Porwał się z miejsca i, podniósłszy obie ręce, ścisnął niemi czoło.

— A! — zawołał, — niech się już stanie, co chce! Nikt nie przybywa mi z ratunkiem! nikt nie przyszedł tu ani razu, aby przynajmniej pogłodzić mię tak, jak dobry pan głodzi psa, który zdycha! Daremnie czekałem, daremnie spodziewałem się! Myślałem, że ktokolwiek z nich, choć-by jedna dusza dobra, zlituje się nade mną! przyjdzie, pomoże, a choćby, jak słudze, który oddała się z domu, „bądź zdrow” powie! A jednak jest ich tam tylu! a jednak... niech Bóg mię skarże, jeśli w tém wszystkiém i ich także roboty niema! pan jesteś obcym dla mnie człowiekiem! przyszedłeś tu z obowiązku! jestem dla pana tém, co i żebrak, któremu dajesz złotówkę, aby z głodu nie umarł! ale chcesz mię bronić, będziesz mię bronił! Niech już co chce stanie się, powiem!

Był to prawdziwy potok wyrazów, który lał się przez usta jego z samej głębi piersi, gwałtownie kołysanej wrzącymi falami goryczy i żalości.

Zawahał się chwilę jeszcze, potem porywczym krokiem przystąpił do mnie bardzo blisko.

— Tak! — rzekł, — ja go... ja go...

Wyraz, który wymówić miał, dławił go i wywierał na niego wpływ obezsilniający; zachwiał się, rękę oparł o stół.

— Ja to uczyniłem, — dokończył raptem prawie, poczem upadł raczej, niż usiadł, na stołek i w obu dłoniach ukrył twarz tak rozpaloną, że gorąco jęł i gorąco przyśpieszonego jego oddechu czułem na twarzy méj i ręku.

Przez parę minut panowało pomiędzy nami zupełne milczenie. Ów rażny, młody chłopak, którego sprężystość, energią i pyszną jakby niedbałość o nic, spostrzegalem z zdziwieniem przed kilku kwadransami, przeobraził się w téj chwili w dziwny sposób. Czyn jego, przyobleczony w wyrazy własnego jego wyznania, stanął snadź przed nim w całej grozie, zatrzął jego sumieniem, na czoło rzucił mu płomienie wstydu i pierś owinął palącym węzłem zgryzoty. Siedział on teraz przede mną nieruchomy, niemy, mieniący się płomienną purpurą i śmiertelną bladością.

Po chwili dłonie jego odpadły mu od twarzy, podniósł żywo głowę i pochwycił mię za rękę.

— Jestem bardzo młody! — zawołał. — Oni nie mogą tak srogo mię karać, nie prawdaż? będą mieli wzgląd na młodość moję, na to, że mi trzeba żyć tak długo jeszcze... tak długo!...

— Niestety! — rzekłem, — długa zapewne przyszłość leży przed tobą. Ale... skończyłeś lat 18, prawo może już stosować do ciebie kary najsrozsze.

— Czy ten człowiek... ten, który-to obwinia i oskarża, powiedział już, co ze mną uczynić mają?... —

— Można, — rzekłem, — z góry przewidzieć, co powie on; oto, — dodałem, — jaką karę wyznacza prawo za taki, jak twój, występ.

Wypadkiem, miałem przy sobie jeden, z tomów Kodexu Karnego, i podałem mu go teraz, wskazując artykuł, którym prawo orzeka o zabójstwach, dokonanych z zamiarem rabunku. Pochwycił z rąk moich książkę, zbliżył się do okna i półgłosem czytać zaczął wskazany mu okres. Jakkolwiek chciwie czytał, szło mu to jednak z trudnością. Zatrzymywał się nad niektórymi wyrazami, inne przekręcał, a zgłoski, złożone z większej nieco niż zwyczajnie ilości liter, musiał nieledwie syllabizować... Spostrzegłem, że chłopak ten, który przed chwilą objawił mi kompletną nieznajomość najelementarniejszych spraw i pojęć społecznych, zaledwie umiał czytać. Umysł jego był widocznie pozostawiony odłogiem. Skończył czytanie i zwrócił na mnie wzrok zdziwiony.

— Ależ, — zawołał, — tu napisano jest o rabunku, okradzeniu, a jam przecie rabować ani kraść nie chciałem.

— Być może, — odpowiedziałem, — wierzę ci nawet, że tak było, ale dlatego, ażeby wiara moja stała ci się przydatną, trzeba, abym nią natchnął innych... Dostarcz mi dowodów, że to, co mówisz, jest prawdą, opowiedz mi całe życie swoje, wszystko co było przed ową chwilą fatalną, wszystkie uczucia, wypadki i okoliczności, które ją sprowadziły.

— Dobrze, — rzekł, siadając, — powiem panu wszystko, jak księdzu na spowiedzi.

Podobne wyrażenia, w pół dziecinne, w pół ludowe, mieszały się w mowie jego z innymi, które, poprawniejsze i wytworniejsze, znamionowały w nim dziecię wyższej towarzyskiej sfery. Taką to mową, złożoną ze słów naiwnych i nieokrzęsanych, lub gładkich i trafnych, opowiadał mi historią, krótkiego swego życia. Pierwsza jęł połowa dość była zwyczajna. Wraz z braćmi i siostrami hodował się na wsi. Miał bonę Francuzkę, i do lat 12 guwernera Francuza. — *Je parle francais, Monsieur!* — rzekł z uśmiechem, w którym dojrzałem nieco ironii, — *je touche un peu le piano et dans le temps je dansais comme un ange!*

Ów czas, w którym tańczył jak anioł, był czasem, w którym uczęszczał do progimnazjum w powiatowém miasteczku, sąsiadującym z dobrami jego rodziców. Miał lat 15, kiedy, skończywszy trzy progimnazjalne klasy, wrócił pod dach ojczysty wraz ze starszym bratem, Julkiem, który skończył klas pięć. Julek, — mówił, — kochał się przez ten czas w dwudziestu przynajmniej dziewczętach i wylewał na siebie codziennie butelkę perfum. Co do mnie, nie cierpię perfum i włosów nie fryzowałem nigdy, ale przez całe trzy lata kochałem się na zabój w Zochnie Burakowiczównie i, przesiadując u ojca jęł, który był cukiernikiem i zarazem restauratorem, bawiłem się bardzo wesoło z kolegami,

a nawet i z urzędnikami. Umiem też tak grać w bilard, że, proszę pana, niech się wszyscy markierzy pochowają przede mną...

— Grywałś też zapewne i w karty? — przerwałem.

— Grywało się i w karty, — odpowiedział, — ale niewiele. Nigdy bardzo kart nie lubiłem, bo trzeba przy nich siedzieć, a we mnie, proszę pana, siedział zawsze jakiś szatan i rzucał mię we wszystkie strony. Jak tylko, bywało, położę się, albo siądę, taka mię ogarnia nuda, że poszedł-bym choć do piekła, byle tylko gdzieś iść, czegoś słuchać, na coś patrzeć, choćby, proszę pana, palić się w smole piekielnej, byle tylko coś czuć... Julek, brat mój, mógł całymi godzinami siedzieć przed lustrem, albo leżeć do góry brzuchem i, jak mu nikt nie przeszkadzał, regularnie ufryzować włosy; jak miał smaczny obiad i mógł wypaść się dobrze po obiedzie, a wieczorem poumizgać się do dziewcząt, to był już najszczęśliwszym... Ja, panie, nigdy przed lustrem nie siadywałem, bo i co tam ciekawego, patrzeć na własną swoją fizyognomią? spać nigdy nie mogłem więcej, jak pięć godzin na dobę, a zdarzało się czasem, że po dwa i trzy dni, prócz chleba i wody, nic w ustach nie miałem... nie mogłem jeść, bo mię coś we środku paliło, i jak siadłem do stołu, wprost podnosiło z krzesła...

Nie zdawał sobie jasno sprawy z siły w nim działającej, ale ja pojąłem wybornie, czém ona była. Ów szatan, o którym mówił, że siedział w nim i rzucał go na wszystkie strony, była to krew wrząca, myśl bujna i niespokojna, nerwy nieustannie wrażeń łaknące, wyobrażenia ognista. Z bogatych i zarazem niebezpiecznych żywiołów tych, składających się na charakter namiętny, rzutny i wiecznie czynny, powstać może bohater, zarówno jak zbrodniarz. Dlaczego młody chłopak ten, w tak wczesnej porze swego życia, nie wzrastał dopiero i nie rozwijał się na bohatera, ale był już zbrodniarzem? Na to wewnętrzne pytanie moje znalazłem odpowiedź w słowach więźnia.

— Nudziłem się, proszę pana, w domu tak, że mi życie było niemiłe. Bo co też tam, panie, za życie? Ojciec albo poluje po całych dniach i tygodniach, albo drzemie i fajkę pali, albo z sąsiadami gra w preferansa; matki i starszej siostry nigdy w domu niéma, — jeżdżą po sąsiedztwie i do krewnych, których mamy huk wielki; Julek sypia do 12, potem fryzuje się, perfumuje i jedzie tam, gdzie są bogate panny, bo on, proszę pana, chce bogato ożenić się; młodsza siostra, Jadwisia, dobra dziewczyna, ale przy guwernantce jeszcze, pół dnia dudni na fortepianie, a drugie pół dnia razem ze swoją guwernantką romanse czyta. Jak pobylem tam rok, tak mi życie zbrzydło, że chciałem powiesić się; ale rozmyśliłem się i z Michałkiem, synem naszego ekonoma, pojechałem do miasteczka, gdzie bawiłem dwa tygodnie. Bardzo mi tam było wesoło i od tego czasu, jak tylko znudziłem się, wiedziałem już, co mam robić. Bięda była tylko z pieniędzmi; w bilard i w karty to wygrało się, to przegrało, ale w karty przegrywałem jakoś częściej, bo grałem, nie myśląc, paliły mi się ręce i nie wiedziałem często sam, co robiłem i mówiłem. Sprzedałem raz zegarek, drugi raz frak...

— Miałeś więc już frak? — zapytałem.

Miał lat 16 i posiadał już dwa fraki, w których z bratem Julkiem ukazywał się czasem na wieczorach sąsiedzkich.

Sprzedał oba fraki i dwie eleganckie bonżurki, potem żył w miasteczku ze sprzedaży jakiegoś złotego pierścionka.

— Bielizny — rzekł, — miałem zawsze bardzo mało, więc jęj nie sprzedawałem; ale gdy nic już do sprzedania nie miałem, pożyczyłem u znajomych Michałka kilkadziesiąt rubli... Tak sobie zresztą jakoś dawałem rady, że trzy miesiące na rok mieszkalem w domu, a dziewięć w miasteczku. Nie było mi i tu bardzo dobrze; czasem taki jakiś żal mię ogarniał, że szedłem w pole, rzucałem się na ziemię i płakałem całymi godzinami.

— I cóżeś myślał wtedy, kiedy cię taki żal zdejmował?

— Sam nie wiem, panie. Zdawało mi się, że tam het precz daleko, za lasami i górami, jest jakiś świat szeroki, światły, piękny, którego nie znam, a na którym lepiej być musi ludziom, niż mnie było w miasteczku... Jadwisia przeczytała mi raz z książki o tym włoskim generale, pan wie, o tym sławnym, jak się to on nazywa? a! Garibaldi! Otóż jak mi Jadwisia o nim przeczytała, to chodziłem dwa dni jak nieprzytomny i myślałem, że zwaryuję...

— Czy tak pragnąłeś czynić to, co czynił Garibaldi?

— Ah panie! — zawołał, — jaki to był szczęśliwy człowiek! Jestem pewny, że nie nudził się nigdy!

Wyraz: *nuda*, powtarzał się wciąż w mowie jego, niby zwrotka, tłómacząca mi treść tej smutnej pieśni życia, której słuchałem. Chciałem przecież sięgnąć do głębi rzeczy.

— Dłaczegóż, — rzekłem, — zamiast jechać do miasteczka, nie zająłeś się czémś? nie robiłeś czego w domu lub za domem?

— A cobym ja, proszę pana, miał robić? — zapytał mię wzajem ze szczerem i głębokim zdziwieniem.

— Mogłeś, na przykład, pomagać ojcu w gospodarstwie.

Zdziwienie jego zwiększyło się.

— Alboż to mój ojciec zajmuje się gospodarstwem? — zawołał.

— Więc może zajmuje się nim brat twój? w takim razie należało pomagać bratu.

— Julek! Julek miał-by gospodarować!

Śmiał się, mówiąc to, jakby z przypuszczenia zupełnie nieprawdopodobnego.

— Jakto? — rzekłem, — nikt więc w majątku rodziców twoich nie trudni się gospodarstwem?

— A ekonom? — wyrzekł młody chłopiec z takim wyrazem, jakby wypowiadał fakt tak zwyczajny, iż nie pojmował, jakim sposobem mogłem nie wiedzieć o nim.

Coraz jaśniej spostrzegałem treść zjawiska i coraz ciężej było mi na sercu.

— A więc, — rzekłem, — jeżeli myśl o gospodarstwie nie przyszła ci nawet do głowy, czyż nie po myślałeś nigdy o tém, aby ukończyć szkoły, pojechać na uniwersytet, wybrać sobie jaki zawód, który-by wymagał od ciebie ciągłej czynności i uwolnił cię przez to od nudy, której tak nie znosisz.

— A jakież to mógł być zawód? — zapytał.

— Mógł-bys zostać lekarzem, prawnikiem, technikiem, inżynierem, może zresztą byłbyś literatem, albo, ponieważ lubisz ciągly ruch i wrażenia, uczonym podróżnikiem.

Patrzył na mnie szeroko roztwartemi oczyma. Widziałem, iż na ustach jego drgała odpowiedź, że był synem obywatelskim; ale wrodzona bystrość i pojętność nie pozwoliły mu wydać się z tym niedorzecznym komunałem, który jednak z otaczającej go atmosfery przeszedł w jego umysł i zarył się w nim głęboko. Zapytał mię więc tylko o znaczenie tych wszystkich zawodów, które wymieniłem. Wiedział dobrze, czém jest i co pełni doktor, stan i powinności prawnika poznał w części z uprzedniej rozmowy ze mną, inżyniera i technika w bardzo już bladym i niepewnym spostrzeganiu światła; ale co się tyczyuczonych podróżników, ci przedstawiali mu się w kształcie mitycznych figur, przypominających, niezapomniane jeszcze i główne tło edukacji jego stanowiące, bajki piastunek.

Wahałem się chwilę z odpowiedzią na pytania, które zadawał z płonącymi ciekawością oczyma. Nie wiedziałem, czy uczynię dobrze, błyskając przed wzrokiem tego nieszczęśliwego i zhańbionego chłopca obrazami owych rozlicznych i świetnych dróg tej ziemi, na których ludzie znajdują szczęście i cześć. Pomyślałem przecież, iż powinienem dotrzeć do gruntu uczuć jego, zbadać dokładnie, do jakiego stopnia umysł jego nierozwinięty był, i do jakiego zatruty złemi nałogami i naleciałościami tego smutnego życia, o jakim mi opowiadał. W krótkich i jasnych wyrazach zacząłem mówić o tym olbrzymim warsztacie, przy jakim pracują miliony robotników, każdy na swój sposób, wedle sił i potrzeb swoich. Nie przerywał mi niczém; widziałem tylko, że słowa moje zajmowały go niezmiernie, że chłonał je nieledwie z chciwością, że wywijał z nich całe szeregi nowych dla siebie pojęć, że wyobraźnia jego, szybka, rzutna, ognista, kreśliła na ich tle obrazy, niezbyt może blizkie prawdy, ale nęcące go, nakształt owych nieznanych, szerokich, jasnych krain, o których marzył, leżąc za ścianami brudnego miasteczka, wśród nagiego pola, i płacząc z pracującej w nim, tajemniczój tęsknoty. Kiedym przestał mówić, milczał jeszcze chwilę i oddychał prędko. Potem uczynił ręką giest gniewu i zniechęcenia. — Pal ich dyabeł! — zawołał rubasnie, — tych wszystkich mądrych ludzi, którzy tak dobrze trzymają w garści sznury od swych huśtawek! Mnie tej mądrości nikt nie nauczył! Leciałem, gdzie wiatr niósł, i spadłem na złamanie karku!

Wyrazy jego tchnęły grubijańskim obyczajem miejsc, w których pędził niezajętą, wrażeń i ruchu spragnioną, młodość swą; lecz jakże wielką wypowiadał niemi prawdę! Nie posiadał, nie dano mu wielkiej nauki trzymania w silnej dłoni wodzy życia i czynów, leciał

tam, dokąd niósł go wicher nieokiełzanych niczém i ku żadnemu wyraźnemu celowi nie skierowanych namiętności!

— Zaciągałem długi, — mówił dalej, — żydzi, oficjaliści, towarzysze zabaw moich u Burakiewicza, pożyczali mi pieniędzy, pewni, że zwrócone im one będą przez mego ojca. Ukrywało się to jakoś z rok, czy więcej; ale potem ojciec dowiedział się o tém, długi zapłacił, ale krzyku na mnie wielkiego narobił. Pół dnia gadał mi o tém, że mu wstyd czynię, że jestem wyrodném dzieckiem, głupcem, łotrem, że odtąd ani grosza już nie zapłaci nikomu, jeśli-bym jeszcze u kogo pożyczał, że wyrzeczę się mnie, wydziedziczę, w gazetach mię ogłosi...

— I, powiedziawszy to wszystko, — przerwałem, — co ojciec twój uczynił?

— A cóż miał zrobić? — odrzekł, — zjechało się tego dnia wielu sąsiadów, pojechali do lasu na polowanie, potem, wróciwszy, całą noc jedli, pili i w preferansa grali.

— A matka? — zapytałem, — pewno płakała, dowiedziawszy się o złém twojem postępowaniu, i nauczała cię, co masz czynić dalej?

— Matka! — rzekł, — matki nie było w domu.

Sceny z ojcem powtórzyły się parę razy, nie okiełznały jednak wewnętrznego szatana, który młodego chłopaka gnał po-za rodzicielskie ściany, napełnione nudą i snem, przerywanymi tylko odgłosami trąbki myśliwskiej, brzękiem talerzy albo kłótnią. — Julek kłóci się wciąż z najstarszą siostrą, Femcią; Femcia kłóci się z Julkiem, z Jadwisią i z mamą, bo zła, że za mąż nie idzie. Mama ile razy do domu przyjedzie, kłóci się z ojcem, z Femcią i ze sługami. Stryj mój i synowie jego rzadko przyjeżdżali do nas, bo u nich tam podobno inne życie, a takie, jak nasze, bardzo im się nie podobało. A komu-by tam ono podobać się mogło? Ja, rok temu, zupełnie przenieśliem się do miasteczka. U Burakiewicza przestałem bywać, bo było mi tam już za drogo, a przytém odzienie darło się i wstyd mię brał pokazywać się znajomym ojca i brata, z dziurami na łokciach...

— Gdzież przez cały ten czas mieszkałeś?

— U wdowy Dzieścierskiej.

— Któż to jest ta Dzieścierska?

Spuścił oczy i zawahał się przez chwilę z odpowiedzią.

— To właścicielka tego handlu trunkami, w którym byłem tego wieczora, kiedy... kiedy...

Mieszkał tedy u właścicielki zakładu, niewiele różniącego się od prostego szynku.

Postępowałem dalej w badaniu mém.

— A rodzice twoi? — rzekłem, — stryj, bracia, rodzony i stryjeczni? czy nie przyjeżdżali do miasteczka, nie starali się namówić cię, abyś wrócił do domu i prowadził się lepiej...

— Stryj nie przyjeżdżał wcale i mówił wszystkim, że się mnie wstydzi i ani wiedzieć o mnie nie chce, ojciec był parę razy w miasteczku za interesami i krzyczał na mnie, ale niewiele już to mię obchodziło...

— Dla czegoż niewiele cię to obchodziło?

— Ej, proszę pana, alboż to on co lepszego robi, niż ja robiłem?

— I nie pojechałeś z ojcem do domu?

— Owszem, raz pojechałem, ale nie mogłem dłużej w domu wytrzymać, jak trzy dni. Ojciec mię łajał, Julek mi dokuczał, sługom nawet wszystkim kazali, aby się naśmiewali ze mnie. Przytém dyabelna tam nuda...

— A matka? — spytałem.

— Matki nie było w domu.

— Więc wróciłeś znowu do miasteczka?

— Wróciłem. Koni mi nie dawali, poszedłem pieszo... od tego czasu nikt już z nich nie przyjeżdżał ani do mnie, ani po mnie.

— Z czegoż więc żyłeś?

— Ach! — rzekł, — różnie! Dzieścierska karmiła mię darmo, bo spodziewała się, że jój to kiedyś z lichwą wróć... w odzieniu chodziłem podartém... grywałem u Dzieścierskiej w bilard i w karty i wygrywałem czasem...

Wpatrywałem się w niego bacznie i zadałem mu jedno z najważniejszych pytań, jakie do zadania mu miałem.



— Zkąd miałeś te pieniądze, które rewizya śledcza znalazła przy tobie, skoro nie wzięłeś ich z kieszeni tego człowieka, o którym wiiesz?

— Miałem je ze sprzedaży medalionu, który nosiłem przy zegarku, a potem chowałem długo przy sobie, myśląc, że sprzedam go kiedyś i pójdę w świat...

— Poco?

— Sam nie wiem... do jakiego bardzo wielkiego miasta, gdzie-by mię nikt nie znał.

— Wstydzileś się czasem swego położenia?

— No, — rzekł, — alboż to człowiek z kamienia czy z miedzi?

Zwróciłem go do głównego przedmiotu rozmowy.

— Komu i kiedy sprzedałeś medalion? — zapytałem.

— Dzięcierskiej, panie, — odpowiedział bez chwili wahania, — na kilka godzin przed tym przeklętym wieczorem. — Nazajutrz miałem nająć furmankę, pojechać do stacyi kolei żelaznej i kupić sobie za te pieniądze bilet na drogę... sam jeszcze nie wiedziałem dobrze, do Warszawy, czy do Petersburga. Dzięcierska zaparła się tego, że nabyła medalion, bo wart był cztery razy więcej, niż to, co mi za niego dała; ten człowiek zresztą, panie, był jój bratem.

Patrzałem mu w oczy badawczo, głęboko, i ujrzałem, że mówił prawdę. Wyraz spojrzenia jego, postawa, głos, wyrażały bezgraniczne, powzięte ku mnie, zaufanie. Jestem pewny, że, gdyby chciał nawet, nie mógł-by nic ukryć przede mną. Rozrzewniony był, przygnębiony, przerażony, a we mnie widział jedyne go człowieka, który przybywał do niego z pomocą i pociechą. Jedną jeszcze próbę zadałem przeciw prawdziwości słów jego.

— A cóż, — rzekłem, — stać się mogło z temi pieniędzmi, które widziano u szulera na kwadrans przed wypadkiem, a których przy zwłokach jego nie znaleziono?

— Ach! panie! — zawołał z uniesieniem, — oni je zabrali! oni to niezawodnie zabrali mu je, znalazłszy go nieżywym! Gdybyś pan wiedział, jacy to ludzie o! gdybym ja ich znał tak, jak ich poznałem, myśląc o nich teraz od kilku miesięcy... uciekł-by, od nich, panie, na koniec świata! Mój Boże! mój Boże! jakiż dyabeł przyprowadził mię do tych ludzi i zrobił mię ich towarzyszem! Oh, dola moja, dola! czemu ja od nich nie uciekał wprzód! Oni, panie, od trupa odebrali pieniądze i powiedzieli, że ja to uczyniłem...

Mogłem sądzić, że krew wytryśnie mu ze skroni, tak od wstydu i grozy nabrzmiały mu żyły; takim krwawym rumieńcem zalało się czoło jego. Ukrył je w dłoniach i, siedząc tak z pochyloną głową, w postaci skruszonej i złamanej, opowiedział mi cichym, przerywanym głosem, że brata Dzięcierskiej widział owego wieczora pierwszy raz w życiu; że, zaproszony przez niego do wspólnej zabawy, począł z nim grać w karty; że przegrał mu już parę rubli, gdy spostrzegł, że był ogrywany fałszowanemi kartami. Zerwał się wtedy od stołu, przy którym grali, rozdarł i rozrzucił po izbie karty, i nazwał brata Dzięcierskiej podłym oszustem. Ten, po kilku chwilach kłótni, podniósł rękę i uderzył go w policzek. — Zrobiło mi się ciemno w oczach, — mówił więzień, — w uszach mi zaszumiało... nie wiedziałem dobrze, co uczyniłem, ale podniosłem laskę, którą trzymałem w ręku, bo miałem już wychodzić z przeklętego tego domu, i uderzyłem człowieka tego, nie wiedząc nawet, że uderzyłem go w głowę... silny jestem, panie... bardzo, na moję niedolę, silny... musiałem uderzyć mocno i w złe miejsce.. i stało się nieszczęście...

Umilkł i utkwił w ziemi wzrok, w tój chwili ponury. Przez kilka minut milczeliśmy obadwaj. Jasno, jak na dłoni, widziałem teraz dzieje człowieka, który siedział przede mną w więziennój sukmanie; najgłębszą naturę jego, psychiczny proces, który odbył się w jego wnętrzu; najbliższe, a jednak najmniej dla ogółu widzialne, źródło błędów jego i występku, niedoli i zguby. To dziecię zamożnego szlacheckiego dworu otrzymało na drogę życia mniejszą sumę światła, niż ta, którą ubodzy robotnicy czują się częstokroć w obowiązku obdarzać swych synów. Fizyologiczne i psychiczne właściwości istoty jego zarówno były zapoznane i zaniedbane. Z jednej strony wybijał on nakształt dziko wzrosłej rośliny, o sokach gorących jak lawa wulkanu; z drugiej strony pozostał dziecięciem, pozbawioném świadomości dróg, obowiązków, dźwigni, podpór, wspinających szczytów i niebezpiecznych wądołów życia. Nie uwzględniono w nim indywidualnych odrębności, i ukształtowanie jego pozostawiono, tak jak innych, trafowi, sądząc, że traf ukształtuje go tak, jak najpospolicij kształtował innych. On tymczasem był samym sobą, i nie mógł przyrość do tego, żyć tém, do czego przyrastali, czém żywili się inni. Jak ptak ze spletanemi skrzydły po klatce, rzucał się i targał wśród ciasnej, widzialnej mu przestrzeni. Rozszerzyć jój

sobie nie mógł, bo wszystko w nim było niesforne i niejasne, napępniały go namiętności i żądze, ale on nic ich nie rozumiał, pracowały w nim pierwotne instynkta, ale on znaczenia ich nie znał; przychodziły do niego niekiedy wyższe pragnienia i szlachetne tęsknoty, ale on nie wiedział, ku czemu je skierować. Czuł tylko, że był w niezgodzie z tém, co go otaczało, że cierpiał, i lekarstwa na cierpienie swe szukał tam, kędy je dojrzał. Innego nie dojrzał, bo rozum jego i wola przebywały w ciasnej ciemnicy.

Ostateczna katastrofa, jakiej uległ, była już tylko ścisłą konsekwencją wszystkiego, co ją poprzedziło. Każdy człowiek, żyjący tak, jak on żył, może nie popełnić zbrodni, tak, jaki może ją popełnić. Kula, staczająca się z pochyłości, może nie wpaść w przepaść tak, jaki może w nią wpaść. Zależy to już wyłącznie od wypadku, od tego, czy wśród drogi, którą przebywa, znajduje się rozdół, albo nie znajduje; jeżeli jednak znajduje się, stanąć nad krawędzią jego ona nie może, i niesiona siłą rozpędu, musi być posłuszną przypadłościom drogi, którą przebywać zaczęła. Genealogia zbrodni młodego Kalińskiego ułożyła się w méj myśli porządkiem następującym: tam, gdzie jest natura ognista, żądz i namiętności pełna, a niema woli, rozumu i czynnej działalności ku dobrze określonym skierowanym celom, tam musi być życie burzliwe, niesforne i nieporządne; gdzie życie jest nieporządne, muszą być orgie; gdzie są orgie, muszą być spory i kłótnie; a gdzie są spory i kłótnie zabójstwo być może.

Gdyby laska młodego chłopca nie miała na sobie żelaznego nagłówka, wypadek cały byłby tylko karczemną burdą; nie ten przecież kawał metalu spowodował zbrodnią, ale nastrój, miejsce i towarzystwo, umożliwiający, z konieczności niejako wywołujący — burdę.

Podniosłem oczy i spotkałem się z utkwioném we mnie spojrzeniem więźnia. Spojrzenie to, jak i cała twarz jego, posiadały wyraz, jakiego nie spostrzegłem w nim wprzód. Była w nim dziwna łagodność, rodzaj rzewnej nieledwie czułości.

— Jaki pan jesteś dobry! — zawołał z cicha, — jak mi dobrze, że zwierzyłem się panu, że zrzuciłem z serca ten kamień rozpalony, który na niém leżał, odkąd po raz pierwszy skłamałem przed sądem! Jestem pewny, czuję, że pan mi źle nie życzysz...

Więcej, niż kiedy, pojąłem w téj chwili, że wszystkie słowa, jakie słyszałem o węźle, wiążącym ludzi z ludźmi, najmniej choćby znanymi i najsrożej występnyymi, nie są czczym sentymentalizmem ani bezsensownym frazesem. Uczulem w sobie drganie braterskiej litości nad tém nieszczęsném, zgubioném dzieckiem.

Pochyliłem się ku niemu i spytałem go łagodnie:

— Powiedz mi, czy nikt nigdy nie mówił ci o wielkich obowiązkach, jakie człowiek spełnić powinien na ziemi, o potrzebie panowania nad sobą, o konieczności pracy, o czystości myśli, rąk i sumienia? Czy nikt ci o tém nie mówił nigdy?

Patrzył na mnie oczyma, które czułość i łagodność uczyniły w téj chwili dziwnie spokojnymi i przezroczystymi.

— Nikt, — odpowiedział z cicha.

— Czy wcale a wcale nie wiedziałeś o tém, że uczuć twoich, czynów twoich, rozumu twego, wymaga od ciebie kraj twój i ziomkowie twoi?

Tym razem żywsze światło zamigotało mu w źrenicach.

— Słyszałem o tém, ale nie rozumiałem dobrze, co to ma znaczyć.

— I nikogo, — ciągnąłem, — nikogo nie kochałeś tak bardzo, tak silnie, aby miłość ta ustrzegła cię od złego? ani ojca, ani matki, ani brata, ni siostr?

Wstrząsnął przecząco głową i rzekł:

— Nikogo!

Powstałem z miejsca, czując, że w oku mojem łza żalu pali się i wysycha w ogniu oburzenia.

Późno już było. Dozorca parę razy zajrzał do izby. O zapadającym zmroku musiano zamykać turmę.

Pożegnałem młodego więźnia, a gdy szedłem bramą ku wrotom, otwierającym się na ulicę miasta, widziałem, jak, stojąc w drzwiach parlatoryum, ścigał mię spojrzeniem.

Przestąpiłem próg więzienny z gorącą głową i ciężkiém sercem.

Los młodego Kalińskiego rozstrzygać się miał na posiedzeniu sądowém za dni ośm, czy dziewięć, a ja nie mogłem utworzyć stanowczego planu obrony więźnia, którego

jednak postać i przeznaczenie tkwiły wciąż w mej pamięci. Była to jedna z najtrudniejszych praktyk, jakie spotkałem kiedykolwiek w ciągu niezbyt wprawdzie długiej jeszcze mej kariery. Że był on sprawcą zbrodni, o którą go obwiniano, o tём, wobec własnego wyznania jego, wątpić nie mogłem, wyznanie to jednak musiało pozostać tajemnicą, z której przed sądem nie wolno mi było czynić użytku żadnego. Trwając przecież przy zaprzeczeniu faktowi, usunąć nie mogłem od przestępcy dowodów, świadczących jasno o dopełnionej przez niego winie, tylko, że wina ta daleko sroższą i groźniejszą dla niego przybierała postać, niż-by to było wtedy, gdyby cała historia przedstawioną być mogła w istotnym jej świetle. Prawo karne ogromną czyni różnicę pomiędzy zabójstwem, dokonaniem w przystępie gniewu, lub w celu obrony osobistej, a takim, które dopełnionem zostało z zamiarem rabunku i kradzieży.

W istocie rzeczy Kaliński popełnił zbrodnię w chwili bezprzytomnego prawie uniesienia, i odpierając zadawane mu przez przeciwnika razy; ale pieniądze, znalezione przy nim, a ilością swą odpowiadającą tym, które widziano przedtём u szulera, nadawały jej pozór taki, który musiał spowodować dla niego karę najcięższą. Moralne znaczenie występkę zmieniało się tём ogromnie, według pierwszych lub drugich pobudek, jakim przypisać go miano. Gdyby można było udowodnić nieodparcie, że Kaliński znalezionych przy nim pieniędzy nie zdobył na zwłokach swęj ofiary, ale miał je z kąd inąd, miara wstydu i hańby zmniejszoną by dla niego była tak, jak surowość i trwanie pokuty. Tu jednak zachodziły trudności niezmiernie. Dowieść, że zabity człowiek używał do gry kart fałszowanych, które właśnie wzniciły spór tak fatalnie zakończony, nie było najmniejszego sposobu; wszyscy bowiem świadczący w sprawie najmocniej interesowani byli w tём, aby zakrywać brudne i występne rzeczy, dziejące się w miejscu, w jakim przebywali.

Gospodyni zakładu była siostrą zabitego, goście jej — jego przyjaciółmi i towarzyszami. Zabłąkany wśród mało-miasteczkowego motłochu, syn szlacheckiego dworu, był dla nich przedmiotem wyzyskiwania, lub rachuby, zasadzając się na spodziewanem jego dziedzictwie. Był on w tём gnieździe oszustów ptakiem obcym, na którego, gdy upadł, rzucili oni ślinę i kamienie dla własnej obrony, przez skrytą może zawiść, ze zjadliwą radością.

Położenie moje było trudne. Nie mogłem, nie powinienem był biernie zgodzić się z tём, aby człowiek, którego obronę powierzało mi prawo, sądzony był za występki całkiem innej natury, niż ten, który popełnił istotnie. Jedyny przecież dowód, mogący odsłonić, a przynajmniej znacznie dopomóc do odsłonięcia prawdy, spoczywał w ręku kobiety, bynajmniej nieusposobionej do złożenia go w ręce moje lub czyjekolwiek. Bez jej zaś w tём współdziałaniu, wszelkie twierdzenia moje pozostawać musiały gołosłownymi, a więc bezowocnymi. Nie myślałem tём ich używać, jako rzeczy, której prawo nie uwzględnia, a więc której prawnik bez śmieszności użyć nie może. Gdyby Dzięcierska skłonioną być mogła do wyznania prawdy... myśl ta błysnęła mi jak nić przewodnia, według której kierować bym się mógł dalej po trudnej, lecz obowiązkowej dla mnie, drodze bronięcia, winnego zapewne, lecz mniej winnego, niż o tём świadczyły pozory, człowieka. Gdzie jednak i jakie były środki ku zmiękczeniu i wzruszeniu kobiety, rozjątrzonej i w ukryciu prawdy mocno zainteresowanej? Nie powinnyż-by myśleć nad tём osoby najbliższe nieszczęsnemu chłopcu; ojciec jego, matka? nie powinnyż-by dołożyć starań, aby syn ich nie został nieszczęśliwszym, niż na to zasłużył? Położenie ich społeczne, zarówno jak boleść ich rodzicielska, mogły-by zaimponować kobiecie, trzymającej w swych ręku główny węzeł losu ich syna, lub wzruszyć ją, i ze słowami prawdy na ustach przed sąd przywieść. Prawo nie wzbraniało im tego, sumienie nakazywało to uczynić, serce nakazywać-by powinno...

Z innej strony, główną okolicznością, łagodzącą tu winę, było zaniebane i błędne wychowanie młodego winowajcy, nadewszystko zaś niezdrowa pod względem moralnym atmosfera próżniactwa, bezładu, nudy i suchości uczuć, wśród której wzrósł on krzywo, i rozwinął się kaleko. Rozwijając przecież przed sądem tём okoliczność, musiałem z konieczności dotkliwie i zawstydzające czynić wyrzuty ludziom, których jednak osobiście nie znałem. A cóż, gdyby zarzuty te po części przynajmniej były niesprawiedliwymi? gdybym, umniejszając niedoli i hańby występniemu synowi, rzucił niezasłużone brzemie wstydu i nowęj boleści na siwą głowę, niezbyt zapewne mądrego (było to już dla mnie zupełnie dowiedzionem) lecz uczciwego ojca, niezbyt może dzielnej i troskliwej, (nie ulegało to

tęż wątpliwości żadnej) ale dobrej i kochającej matki? Czułem, że, obwiniając rodziców w celu częściowego przynajmniej uniewinnienia syna, ważyłem się na krok, ze wszech względów ważny, że kroku tego nie wolno mi było dokonywać lekkomyślnie. Zeznania młodego Kalińskiego i opowiadania jego o domu rodzinnym, wiele mi o nim powiedziały; posiadałem najsilniejsze przekonanie, że były one uczynione w najlepszej wierze; ale przekonanie to nie starczyło ani sumieniu mojemu, ani rozumowi. Dobra wiara, z jaką człowiek twierdzi o czémś, nie jest zupełną rękojmią prawdziwości jego twierdzenia.

Można mówić nieprawdę, ani myśląc o kłamstwie; młody Kaliński mógł mówić i myśleć o rodzicach swych wiele rzeczy, których wistocie nie było, lub które były innemi, niż mu się wydawały. Nie mogłem ważyć się na przyjmowanie w obec sądu i własnego sumienia współdziałania w przypuszczalnych bardzo jego omyłkach. Jeżeli obowiązek nakazywał mi już potępiać, potępienie to oprzeć musiałem, powinienem był, na sądzie samodzielnym, na faktycznym poznaniu osób i okoliczności.

Z takimi-to myślami usiadłem, o bardzo wczesnej, porannej godzinie, na bryczkę pocztową, i udałem się drogą, wiodącą ku obszernemu, acz, jak słyszałem, niezmiernie zaniedbanemu i na-pół zrujnowanemu majątkowi Kalińskich. Nie miałem wcale czasu do stracenia. Napędzałem, jadąc, pocztylionów; w połowie drogi, dla większego pośpiechu, rozkazywałem na stacyach pocztowych zaprzęgać do lekkiej bryczki po cztery konie. Szybko też bardzo posuwałem się naprzód, i około godziny trzeciej z południa, z głównego gościńca skręciłem w boczną aleję, wiodącą do kalinowieckiego dworu. Aleja ta osadzona była z dwóch stron włoskimi topolami, z których jednak potowa zaledwie pozostawała przy życiu. Inne uschnięte były, lub poprostu zrąbane.

— To dopiero śmieli i nieuczciwi ludzie, — rzekłem do pocztyliona, — żeby też tak, tuż pod dworem, rąbać i kraść takie piękne drzewa...

Pocztylion, pochodzący ze stacy, blisko z Kalinowein sąsiadującej, uśmiechnął się i zapytał:

— A jakże-to pan myśli? kto zrąbał te drzewa?

— Naturalnie, — odpowiedziałem, — chłopci pewno z pobliskich wsi.

— Otóż-to, że nie! — śmiejąc się głośno, rzekł, — temi drzewami we dworze w piecu palą.

— Czy w Kalinowie lasu niema?

— Héj! i jaki jeszcze, choć go rąbią na wszystkie strony! ale poco do lasu po drzewo jeździć, kiedy taki piękny opał tuż za bramą rośnie?

Im więcej zbliżałem się ku dworowi, tém lepiej spostrzegałem, że nietylko to, co rosło za bramą, ale i sama brama, wspólnie z towarzyszącem jej ogrodzeniem dziedzińca, używaną być musiała na opał, lub inne doraźne gospodarskie potrzeby. Wytworną stolarską robotą wykonane sztachety podnosiły się do koła podwórza w znacznych od siebie odstępach; inne, wyjęte z podmurowania, całkiem prawie ogołoconego z tynku, pozostawiły po sobie szerokie próżnie, wśród których pięły się i sterczały, zeschłe w tej porze, łodygi dzikiego chmielu i bujnej dziewanny. Pod groźbą narażenia na zabicie się na jednym ze skrzydeł bramy, które, pozbawione górnej zawiasy, swawolnie szamotoła się z wiatrem, wjechaliśmy na dziedzińiec.

Wjechaliśmy na dziedzińiec ten bez szwanku i przeszkody, ale przebyć go nie okazało się bynajmniej rzeczą nader łatwą. Psy, najrozmaitszych wielkości i gatunków, wywołane turkotem kół i dzwonkiem pocztowym, wypadać poczęły ze stron wszystkich i drogę nam zabiegać. Rzuciły się one przed konie, ujadaly, wyły, warczały, zębami kłapały tak, że naprawdę począłem się obawiać, azali, jak Daniel, nie zostałem oddany zwierzętom na pożarcie. Pocztylion z całej siły ściągnął lejce, z obawy, aby rwące się i wierzgające konie nie uniosły nas, albo nie zmiądzły kopytem którego z napastników. Piekielna wrzawa, której staliśmy się powodem, sprowadziła z domu i ze stajen dwóch czy trzech ludzi. Rozlegały się też głośne wołania, gwizdania i cmokania.

— Dobosz! Doskocz! Zagraj Połaj! Lutnia! Cytra! Arfa! Panna! Neptun! Omar! Flet! Bas! pódźcie! do nogi! harap! cyt! na tu!

Te i tym podobne okrzyki rozlegały się po dziedzińcu, zagłuszane wścieklém i niemającym końca, ujadaniem. Nagle pod drzwiami oficyny zjawił się chłopak wyrostek, w brudnej koszuli i czémś, nakształt kozackiej kurteczki, odziany na jedno ramię, podniósł do ust ogromną, mosiężną trąbę i zadął na nią pobudkę, od której zapiszczało mi

w uszach i zaszumiło w głowie. Był to snadź sygnał, którym zawiadamiano zwyczajnie psiarnią, iż obiad jój gotowy; bo wrzaskliwa zgraja ujadać przestała, nastawiła uszy, poczem tłumnie i z wielkim pośpiechem rzuciła się ku oficynie i ku grającemu wciąż na trąbie chłopakowi. Uwolnione z obłęzenia, niemniej jednak przestraszone i rozjątrzone, konie, puściły się wielkim cwałem i w kilka sekund bryczkę, podskakującą po dzikich kępinach i zapadającą w głębokie rozdoły, jakich pełen był dziedziniec, przyniosły pod ganek domu. Dom to był obszerny, na wysokim podmurowaniu zbudowany, z długim rzędem wielkich okien i gźemsem, który musiał być kiedyś ozdobnym. Wszystko to zresztą musiało być kiedyś wygodne, ozdobne, a nawet wspaniałe. Dziś jednak gipsowe wieńce pospadały w połowie z gźemśów, pozostawiając po sobie okrągłe lub podługowate szare plamy; w kilku oknach szyby zastąpione były bibułą, a te, które istniały jeszcze, od pyłu i pajęczyn wszelką utraciły przezroczystość; u stóp podmurowania leżały gęsto rozsypane gruzy, z wypadłych cegieł i opadającego tynku powstałe; po słupach, podtrzymujących ganek, grubemi kroplami ściekała wilgoć, a w podłodze ganku brakło całkiem jednej deski, inna zaś, przełamana na pół, sterczała z jednej strony wysoko, z drugiej wklęsała głęboko w wilgotną ziemię.

Z wielkiej nagiej sieni, o ścianach popielatych od pyłu, wszedłem do przedpokoju, gdzie znalazłem dwóch wąsatych lokajów. Jeden z nich, przybrany w wyszarzaną, ale srebrnymi guzami połyskującą, liberyą, zatrudniony był porządkowaniem w szafie stołowych naczyń, drugi, w czarnym tużurku, siedział w niedbałej postawie na kanapie, podartym perkalem obitej, z książką jakąś, na bibule drukowaną, w ręku. Zapytałem, wchodząc, czy znajduję w domu państwa Kalińskich. Lokaj w liberyi powiedział mi, że pana niema, ale pani ze starszą panienką i paniczem tylko co przyjechali z sąsiedztwa. Postąpiłem ku drzwiom, w głąb domu prowadzącym, ale tu powstał już z siedzenia swego lokaj w tużurku.

— Jak pana godność? — zapytał, — oznajmię pani...

Był to widocznie kamerdyner, jak domyślić się tego mogłem po braku liberyi, długiej brodzie i nie zmiernie poważnym wyrazie fizyognomii. Powiedziałem moje nazwisko, które jednak gospodyni domu niczego nauczyć nie mogło. Ale trzeba było zastosować się do ceremoniału, ściśle snadź zachowywanego w domu tym, którego gźemsy pokryte były pleśnią, a fundament rozsypywał się w gruzy. W minutę po tém otworzyły się przede mną na oścież podwoje salonów. Były to prawdziwe salony, nie zaś żadne ich imitacje. Sufity wysokie, posadzki układane z dębu i jesionu, sprzęty mahoniowe, z wysłaniem na sprężynach, wielkie zwierciadła pomiędzy oknami, brązowe zegary i porcelanowe wazy na stołach i konsolach. Mieszkanie to przedstawiało widok wcale efektowny, tylko że obicia na ścianach były brudne, dywany, zaściełające posadzkę, miały brzegi w dziwny jakiś sposób poszarpane i powykąsywane, stoły i poręczce sprzętów pokrywała gruba warstwa kurzu, w porcelanowych wazach gnieździły się pająki i spoczywały zamarłe muchy, a wskazówki brązowych zegarów stały.

W salonie, w którym zatrzymałem się, nie było nikogo. Domowi nie byli snadź przygotowani do natychmiastowego powitania gościa. W istocie téż o uszy moje odbijał się, wychodzący z przedpokoju i z głębi domu, szmer śpiesznych kroków, stłumionych szepcótów, dzwonienie żelazek i fruwanie przenoszonej z miejsca na miejsce odzieży. Stojąc przy oknie, ujrzałem niebawem przebiegającą od domu do oficyny dziewczynę służebną, z którą skrzyżował się w drodze, z oficyny do domu biegnący, osmolony kuchcik. Po chwili zaś dziewczyna niosła ku domowi wykrochmaloną spódnicę, a kuchcik niósł ku oficynie drewnianą łyżkę, pełną masła, i trochę mąki w rondelku. Naprzeciw dziewczyny wyszła wysoka jakaś panna, w brudnym flanelowym kaftanie, zarzuconym na ramiona i, pogroziwszy pięścią służącej, pchnęła ją ku domowi; na spotkanie kuchcika wybiegł kucharz w białym fartuchu, i w jednej ręce trzymając patelnię, drugą pochwycił ucho malca, trzymając je dopóty, dopóki wraz z nim nie znikł za progiem kuchni. Z całego tego ruchu domyśliłem się, iż, nie wiedząc, kto jestem, czyniono na przyjęcie me osobliwe przygotowania, składające się z krochmalonych spodnic, świeżo ufryzowanych włosów i dorobionych do obiadu naleśników.

Powszechnie zamieszanie to, sprawione przybyciem jednego obcego człowieka, świadczyło o chaotycznym stanie, w jakim dom ten i całe urządzenie jego pogrążone być musiało. Nie zapominając ani na chwilę o celu bytności méj w tém miejscu, porównywając

ważne i głęboko smutne znaczenie celu tego z trywialnością i komizmem odbywających się przed oczyma memi zachodów, zostawałem pod wpływem przykrych myśli i przewidywań. Nagle doszło do uszu moich warczenia jakies i szelesty oznajmiły mi, że nie ja jeden znajduję się w salonie. Rozejrzawszy się bacznie, spostrzegłem, że byłem w bardzo nawet licznym towarzystwie. Ogromny czarny ternew leżał, zwinięty w kłęb, na głównej kanapie, dwa wyżyły wyciągały się rozkosznie na miękkich materacach foteli, młode gończaki, o żółtych płomieniach nad oczyma, igrały swobodnie z brzegami kobierca, tłómacząc mi pochodzenie owych wykąszeń, które zauważyłem wprzód; jeden jeszcze pies jakiś, którego gatunku już określić nie mogłem, przebiegał przez pokój, pozostawiając za sobą gęste ślady łap zabłoconych, i jeszcze inny stał, dwiema wielkimi łapami wsparty o marmurową konsolę, usiłując pochwycić leżącą na niej niedojedzoną porcyjkę chleba, nasmarowanego masłem.

Osobliwe zgromadzenie to, które spostrzegłem dokoła siebie, nie zmniejszyło bynajmniej niecierpliwości, z jaką oczekiwałem zjawienia się gospodyni domu. Nie ona-to jednak weszła do salonu, ale młody, wysmukły mężczyzna; domyśliłem się w nim owego Julka, o którym słyszałem już od Romana. Był to piękny młodzieniec, ale wcale do brata niepodobny. Wysmukły, delikatny, z białą, jak u kobiety, twarzą, drobnym jasnym wąsikiem i włosami, starannie pozwijanemi w loki i pukle, posiadał on tę pospolitą piękność, która, obojętna dla myślącego oka, najbardziej jednak popłaca wśród salonowych zabaw i zalotów. Cała postać jego wyglądała, jak wykrojona z żurnala mód. Z grzecznym uśmiechem na rumianych ustach zbliżył się do mnie, a gdy wzajemnie wymieniliśmy przed sobą nazwiska nasze, uprzejmym gościem wskazał mi fotel, stojący przy kanapie, tuż w sąsiedztwie rozciągniętego na niej ternewa.

— Bardzo żałujemy, — zaczął, — że przybywasz nam pan w nieobecności papy. Pojechał dziś właśnie z sąsiadami na polowanie. Wczoraj spadł pierwszy śnieżek, korzystając więc z wybornej ponowy, myśliwi udali się w pole z chartami...

— Wielki Boże! — pomyślałem, — niewszystkie więc jeszcze psy, jakie zwyczajnie przebywają w tém miejscu, widziałem, ponieważ chartów nie było w domu!

— A pan nie jesteś zwolennikiem polowania? — zapytałem dlatego tylko, aby cośkolwiek powiedzieć.

— Trochę, trochę — odpowiedział miody człowiek — dziś jednak nie towarzyszę papie, ponieważ przed dwiema dopiero godzinami wróciłem z mamą i moją siostrą z trzydniowej wycieczki. Byliśmy na imieninach pani Z. Bawiono się wybornie. W ogólności od pewnego czasu w okolicy naszej bawią się bardzo wesoło. Mamy kilka bardzo ładnych i posażnych panien; młodzieży nieco brak, ale zawsze jakoś kadryl i mazur złożyć się mogą...

Umilkł i chrząknął parę razy, jak zwykle bywa z ludźmi, którzy czują się w obowiązku bawienia gości, a niewiedzą, o czém-by z nimi mówić mieli. Po chwili jednak zaczął znowu.

— Pan świeżo zapewne przybywasz do naszej okolicy? Nabyłeś pan może w sąsiedztwie naszym jakie dobra i zabierasz znajomość z nowymi sąsiadami. W takim razie bardzo wdzięczni jesteśmy panu, żeś o nas pomyśleć raczył, a ja z góry ofiaruję się panu na *cicerone*.

— Nie, pacie — przerwałem — jestem adwokatem i mieszkam stale w N.

Na te słowa, widoczne zmieszanie ukazało się na twarzy młodego syna domu. Snadź dom ten miał powody obawiania się wszystkiego, co tyczyło się prawa i ludzi, mających z niem urzędowy niejako stosunek. Przyczyną obawy téj nie były naturalnie wykroczenia żadne przeciwko kodexowi karnemu, ale zbyt liczne zobowiązania względem hypoteki. Dla pokrycia mieszanego swego i niezadowolnienia, młody człowiek wyjął z kieszeni cienką chustkę i powiódł nią po twarzy, mnie zaś całego owionęła ulatująca z niéj silna woń perfumy.

— Jesteś pan adwokatem... a więc zapewne... zapewne w jakim interesie...

Nie skończył wymawiać tych wyrazów, gdy otworzyły się drzwi i weszła przez nie kobieta, ze znacznie rozwiniętą tuszą, żwawa jednak i w czarnej sukni, na wielce bombastą krynolinę włożoną! Panu Julianowi jakby ciężar spadł z serca. Zerwał się z fotelu i, zwrócony na-pół do mnie, na pół do wchodzącej, wymówił:

— Oto moja matka!

Z bacznością spojrziałem na matkę tego, za kim w domu tym przemawiać miałem. Nie była starą i nie była młodą, nie była piękną i nie była brzydką. Włosy miała gładko przyczesane pod czarnym czepeczkiem, oczy błękitne bez żadnego pewnego wyrazu i pulchne usta z dobrodusznym uśmiechem, z za którego ukazywały się zdrowe białe zęby. Nie przyciągała niczym i niczym nie odstręczała. W ogólności wyglądała na skończoną, szczyptą salonowej etykiety przyprawioną, kumoszkę i powiatową swachę z profesyi.

— Pan August Rolicki? — wymówiła tonem pytania, zatrzymując się przede mną.

— Tak pani — odrzekłem i, dla uniknięcia wszelkich wstępów i nieporozumień, wnet dodałem — przybywam tu w interesie pana Romana Kalińskiego, którego jestem prawnym obrońcą.

Słowa te sprowadziły na pulchną twarz kobiety tak silny rumieniec, że czoło jej nawet i podbródek zaszły purpurą.

— W interesie Romana Kalińskiego? — wyjąkała, opierając się ręką o poręcz fotelu.

— Tak — odpowiedziałem ze spokojną stanowczością — w interesie syna państwa...

Kobieta podniosła żywo głowę i orzuciła mię piorunującym spojrzeniem.

— Roman Kaliński — rzekła drżącym od wzburzenia, głosem — nie jest, proszę pana, synem naszym. Mamy jednego tylko syna, którego pan oto widzisz przed sobą!

Spodziewałem się usłyszeć podobne słowa. Nie zmieszały więc mnie one i od spełnienia zamiaru mego nie odwiodły.

— W istocie — rzekłem — rozumiem dobrze, iż całe postępowania pana Romana, a szczególnie ostatnie trudności, w jakie popadł, mogły wzbudzić w rodzicach jego bardzo żywe niezadowolenie, narazić go na gniew ich, a nawet na czas jakiś zobojętnić dla niego ich serca. Nie sądzę jednak, aby zobojętnienie to mogło być tak zupełne i trwałe, iżbyście państwo nie chcieli, o ile to jest w waszej mocy, udzielić mu ratunku...

— Nikt nie może uratować człowieka, który sam siebie gubi — przerwała gospodyni domu, siadając i wskazując mi ręką miejsce na fotelu. Żrenice jej biegały niespokojnie, a ręce drżały i miąc zaczęły w palcach brzeg przykrywającej stół bardzo kosztownej i silnie poplamionej serwety.

— Myśmy pomagali mu długo, proszę pana — ciągnęła z coraz wzrastającym wzburzeniem — mąż mój kilka razy płacił za niego długi. Nie spodziewaliśmy się jednak nigdy, ażeby dość mógł do podobnych ostateczności. Był to, proszę pana, dla nas cios straszny. Kaliński w turmie! rzecz niesłychana! — Dziwi mię nawet mocno, że ktokolwiek ujmować się za nim może. Wierzę bardzo, że gdyby mąż mój pojechał sam do N. i zażądał tego, uwolnili-by go natychmiast, ale mąż mój tego nie uczyni...

— Jeśli-by nawet chciał to uczynić — przerwałem — wcale-by tém panu Romanowi nie dopomógł. W dzisiejszych czasach więzień, jakiegokolwiek był-by pochodzenia, na niczyje proste żądanie uwolnionym być nie może.

Wyraz niedowierzania i lekkiej obrazy osiadł na twarzy pani Elżbiety z Drewiczów Kalińskiej.

— Już to, proszę pana — rzekła żywo — jeżeli syn obywatelski, a do tego i nie byle z jakiej rodziny, siedzi w turmie, to tylko dlatego, że rodzice jego nie sprzeciwiają się temu i za syna go nie uznają. Zresztą — dodała ze wzruszeniem ramion — przypuszczam, że w teraźniejszym świecie żadna już wyższość ani godność szanowaną nie jest, ale pieniądze muszą mieć zawsze znaczenie. Gdybyśmy chcieli, proszę pana, mogli-byśmy jeszcze, dzięki Bogu, sygnąć pieniędzmi i wykupić z turmy Kalińskiego; ale ani myślimy rujnować się dla jednego z dzieci naszych, z krzywdą dla innych i lepszych...

Wyznaję, iż, pomimo bynajmniej nie wesołego w tej chwili nastroju myśli mych i uczuć, z trudnością wstrzymać się mogłem od uśmiechu.

— Gdybyście państwo i mieli nawet ten zamiar — rzekłem — na nic-by się on panu Romanowi nieprzydał. Ludzi, posądzonych o przestępstwa kryminalne, wykupić dziś od sądu i kary niepodobna.

Do twarzy kobiety uderzyły znowu gwałtowne rumieńce.

— A więc, proszę pana — zawołała — jeżeli już tak nic wcale nie możemy, jeśli już tak niczym na świecie nie jesteśmy, jakże możemy temu nieszczęśliwemu przynieść tę pomoc, o jakiej pan mówili? Czy mamy na intencją jego odbyć pieszo podróż do Ostrzej Bramy? czy może na miejsce jego drugiego syna naszego wsadzić do turmy? Czy wleźć

na wieżę i krzyżę, że on niewinny? Bardzo to pięknie ze strony pana obrońcy, że pan obrońca nie chce gubić człowieka; ale my już zrezygnowali się i prosimy pana obrońcę, aby wraz z kolegami swymi uczynił z nim, co zechce.

Po sposobie, jakim wymawiała i w mowie swęj umieszczała wyrazy: pan obrońca, domyśliłem się, że wcale a wcale nie wie, z kim mówi, i że uważa mię przynajmniej za jednego z sędziów, jeżeli jeszcze i nie za urzędnika z prokuratury. Nie sądziłem jednak, aby tłumaczenie czynności moich i stosunku mego względem więźnia było w tej chwili potrzebne i właściwe. Rzekłem więc krótko:

— Ja syna państwa sądzić nie będę. Zadaniem mojem jest przeciwnie: bronić go przed sądem z całej siły i możności. I dlatego—to właśnie przyjechałem tutaj, aby, w imię ludzkości i miłosierdzia, w imię nigdy nierozrywających się zupełnie węzłów rodzinnych, prosić państwa o udzielenie mu pewnej moralnej czysto pomocy, która na los jego bardzo wielki wpływ wywrzć może.

Na dźwięk wyrazów: ludzkość, miłosierdzie, i związki rodzinne, lzy poczęły napływać do pałających przed chwilą gniewem oczu pani Kalińskiej.

— Pomocy! — zawołała płaczącym już głosem — jakiej-że to pomocy?

Opowiedziałem w krótkości o roli, jaką w historyi syna tego domu grała niejaka Dzieścierska, właścicielka handlu trunkami w pobliżkiem miasteczku. Kiedym wspomniał o medalionie, pani Kalińska plasnęła rękoma i, zwrócona do syna, przerwała mi mowę wykrzyknikiem:

— Julku! Juleczku! wyobraź tylko sobie! ten nieszczęśliwy chłopiec sprzedał swój medalion, taki sam medalion, jaki ty nosisz zawsze przy zegarku! — Medaliony te, panie — dodała, zwracając się ku mnie — to bardzo droga pamiątka dla rodziny naszej! przywiózł je z Paryża ojciec chrzestny synów moich, pan szambelan Dębicki. Szanowny obywatel, którego czciliśmy i kochali wszyscy... I ten szalony chłopiec sprzedał pamiątkę po panu Szambelanie...

— Nie pojmuję doprawdy, co w tém tak bardzo mamę zadziwia — sarknął pan Julian — szanowny mój braciszek wiele potrzebował pieniędzy. Sprzedał-by on nietylko medalion, ale rodzzonego ojca, matkę, byle-by tylko ze swymi kompanionami wesoło życie prowadzić. Wszakże w przeddzień ostatniego już i najpiękniejszego jego postępku, będąc w miasteczku, widziałem się z nim... pokazywał mi swój medalion i mówił, że chowa go na jakąś tam podróż. Nazajutrz przecież sprzedał go, a w dodatku zabił kompaniona, aby go okraść...

— Julku! Juleczku! — płaczącym głosem upominała syna pani Kalińska, aby miarkował się w zapale.

Co do mnie, jeśli-bym doświadczał jeszcze choć cienia wątpliwości o prawdzie opowiadań i zeznań Romana, został-by on usunięty słowami jego brata.

— Pan Roman — rzekłem z mocą — nie okradł człowieka, którego miał nieszczęście życia pozbawić; pieniądze, u niego znalezione, pochodziły właśnie ze sprzedaży tego medalionu, o którym państwo mówicie. Gdyby ojciec lub matka Romana Kalińskiego zechcieli namową, prośbą, lub jakimkolwiek sposobem wpłynąć na owę kobietę...

— Jakto! — z żywym poruszeniem zawołała pani Kalińska — czy możesz pan dobrodziej przypuszczać naprawdę, że ja... ja... wdam się w jakikolwiek stosunek z taką... taką... kobietą...

— W istocie — rzekłem — sądziłem naprawdę, że pani uczynić to zechcesz, jeśli już nie przez litość nad synem, to przez miłość prawdy, która inaczej ukrytą zostanie na zawsze przed oczyma ludzi, najbardziej nawet pragnących ją ujrzeć i wymierzyć sprawiedliwość. Jeśli jednak — dodałem — mniemanie moje było błędnem, zdaje mi się, że ojciec Romana Kalińskiego, jako mężczyzna, doświadczać nie będzie podobnych drażliwości i zechce spróbować przynajmniej wpływu, jaki mieć może...

— O! co tego, to z pewnością papa nie uczyni! — ozwał się z boku głos ostry i rozjątrzony. Pan Julian, który zaraz po wejściu matki usunął się nieco na stronę i słuchał toczącej się rozmowy w milczeniu, głośno teraz i niecierpliwie dzwoniąc brelokami od zegarka, wstał z krzesła, z białą twarzą, rozplamioną ciemnym rumieńcem, i z iskrzącymi się oczyma.

— Co tego — powtórzył — to papa nie uczyni z pewnością! a gdyby nawet chciał uczynić, ja na to nigdy nie pozwolę.



— Dlaczego? — zapytałem krótko.

— Dlatego — zawołał — że kompromitowałoby to nas wszystkich i mnie mogłoby los popsuć! Musisz pan wiedzieć, bo wątpię, aby w N. nie wiadano nic o tém, że parę tygodni temu oświadczyłem się pannie Wincencie Różyńskiej i zostałem przyjęty. Żenię się więc z panną, dobrze wychowaną, posażną i z pięknej familii, i nikt z pewnością zaprzeczyć nie może, że robię bardzo świetną partya. Nie potrzebuję wcale, aby teraz właśnie sprawa Romana przypominała się i rozmazywała w świecie, przez wtrącanie się w nią mego ojca! Dosyć i tak, proszę pana, nalykałem się wstydu przez tego mego braciszka! Co-by powiedziała familia Różyńskich, gdyby teraz ojciec mój w jakikolwiek sposób wdał się w jego interes? mógł-bym dostać rekuzę i stracić tak świetną sposobność dobrego ożenienia się! Nie potrzebuję wcale cierpieć za to, że komuś tam podobało się przez całe życie być lotrem, i nie na to prowadziłem się zawsze porządnie, aby mi czyjeś grzechy karyerę psuły! Dziwię się doprawdy, jak pan mogłeś przyjeżdżać z podobnemi projektami...

— Juleczku — ozwała się gospodyni domu — nie unoś się tak, moje dziecko! pamiętaj o tém, że pan obrońca jest naszym gościem.

— Ależ, proszę mamy — ofuknął syn — ja też panu obrońcy bynajmniej ubliżać nie chcę, ale nie mogę też zgodzić się na to, aby papa krzywdził jednego syna dla drugiego. Zdaje mi się, że ja rodzicom nie przyczyniłem nigdy żadnego zmartwienia ani wstydu, a jeżeli majątkowe interesa nasze są złe, nie moja w tém wina! Teraz ja właśnie chcę poprawić je przez ożenienie. Panna Różyńska ma 200, 000 złotych posagu gotówką, i jeżeli ja się z nią nie ożenię, ciekawy bardzo jestem, jak rodzice wybrną z długów. Szanowny mój braciszek, jeżeli go uwolnią, pewno nie pomoże papie do zapłacenia na święty Jan Szlomie i Jędrzyckiemu, a mama wie sama dobrze, że Jędrzycki kilka już pozwów przesłał i że po świętym Janie Kalinów sprzedawać mają...

Mówił tak głośno i z takim uniesieniem, że ternew zbudził się na kanapie, podniósł ogromny łeb i warcząc zaczął, młode zaś gończaki opuściły dywan, który dotąd szarpały zębami, i z przeraźliwym piskiem poczęły skakać do kolan młodego pana. Pani Kalińska mięła niemilosiernie w rękach serwetę, czmychała, wzdychała, wzruszała ramionami, pogładziła potem warczącego ternera po czarnej sierści, zawołała na gończaki, aby uspokoiły się, o czém one naturalnie ani słuchać nie chciały, i zwróciła się do mnie.

— Wszystko — rzekła — co Julek powiedział, jest prawdą. Prowadził się on zawsze jak najlepiej, nie uczynił nam nigdy żadnego zmartwienia, a odkąd dorósł, przynosi nam w towarzystwach największy honor. Interesa nasze są w istocie nieszczególne, nie dlatego wcale, abyśmy, broń Boże, tracili majątek, owszem żyjemy oszczędnie i wielu rzeczy odmawiamy sobie; ale pan obrońca wie, jakie to teraz dla obywatelstwa ciężkie czasy. W podobnych okolicznościach ożenienie się Julka z panną Różyńską jest prawdziwém dla niego szczęściem i nie możemy uczynić nic, coby je na zerwanie narazić mogło.

— Nie widzę — rzekłem — dlaczego-by kilka słów, wyrzeczonych przez ojca wstęp nego zapewne, ale więcój jeszcze nieszczęśliwego, syna, do osoby tak nieznanój i nizko stojącój, miały zerwać to, co zawiązała zapewne miłość dwojga młodych ludzi.

— O! proszę pana — zawołała, wstrząsając głową pani Kalińska — miłość... miłość... zapewne... wszystko to są piękne słowa, ale trzeba też i na inne względy uważać. Różyńscy byli bardzo zdziwieni i oburzeni tém, co się stało z Romanem, i jeżeli po tém, co zaszło, zgodzili się wydać córkę za Julka, to, jak mi się zdaje, dlatego tylko, że wiedzieli dobrze, iż tamtego nie uważamy już za naszego syna i że nigdy żadnych stosunków z nim mieć nie będziemy...

— A gdyby teraz kochany braciszek uwolniony został i wrócił — zawołał pan Julian — dostał-bym z pewnością rekuzę. Jak Boga mego kocham — dodał, uderzając się w piersi — dostał-bym rekuzę!

— A więc — rzekłem poważnie, patrząc mu w oczy — lękasz się pan i nie życzysz sobie uwolnienia i powrotu twego brata...

Młody człowiek zmieszał się nieco i spuścił oczy. Po chwili jednak, odzyskując kontenans — odrzekł z butą:

— On nie jest, proszę pana, moim bratem. Ja nie mam wcale brata, tak jak rodzice moi nie mają innego syna, prócz mnie.

Zwróciłem się do matki Romana.

— Łaskawa pani — rzekłem — nie przemawiam tu w interesie własnym, ale klienta mego, względem którego mam obowiązki i, mimo wszystko, żywe współczucie; dlatego pozwalam sobie być tak śmiałym i nalegającym. Czy serca państwa, serce rodzicielskie, cierpieć nie będzie nad tém, że w czasie, gdy jeden z ich synów, wolny, kochany, szanowany i szczęśliwy, osiągnie wszystko, co tylko człowiekowi w wieku jego i położeniu świat i życie dać mogą; drugi, okryty hańbą i pełen zgryzoty, samotny i opuszczony, jak sierota, skazany będzie na długie męczarnie i na wieki już oderwany od was, od rodzinnego miejsca swego, od wszystkiego, co na ziemi szczęściem jest, spokojem, czcią i uczciwością?

— Jak sobie kto pościele, tak się wyśpi! — mruknął pan Julian, dzwoniąc gwałtownie brelokami. Ale do oczu pani Kalińskiej łzy napłynęły znowu. Czy w piersi jój drgnęła struna macierzyńskiej miłości, czy też może pewne wyrazy miały własność drażnienia w szczególnie sposób wzrokowych jój nerwów, dość, że, gdy wymawiałem słowa: rodzicielskie serce, świat, życie, sierota, męczarnie i t. d. źrenice jój wilgotniały i usta krzywiły się do płaczu.

— Julku! — rzekła, podnosząc na syna nieśmiało oczy — trzeba-by się poradzić... może papa coś zrobi dla Romana...

— Poco tam radzić się! — ofuknął syn — papa nic nie robi, bo żeby i chciał, ja mu nie pozwolę. Nie rozumiem wcale, dlaczego ktoś obcy miał-by mieszać się do naszych spraw rodzinnych...

— No, no, Juleczku! — powstając z kanapy, żalonym głosem zawołała gospodyni domu — chodź, chodź, moje dziecko! jak zechcesz, tak zrobimy, ale trzeba przecież poradzić się, jaką ostatecznie odpowiedź dać panu obrońcy...

Mówiąc to, wzięła go za rękę i widocznie niezadowolonego, ale przez wzgląd zapewne na przyzwoitość nieopierającego się jój syna, pociągnęła do znajdującego się obok budoaru.

Nie słyszałem wcale, co mówili pomiędzy sobą a nawet niewiele mię to interesowało, gdyż z góry przewidzieć mogłem rezultat konferencji. Uwaga moja odwróconą została w inną stronę. Za zamkniętymi drzwiami, znajdującymi się w bliskości fotelu, na którym siedziałem, usłyszałem stłumione jakieś szepty i szelesty. Mimowoli spojrzełem na drzwi i ujrzałem rzecz najmniej spodziewaną, bo przeglądające przez dziurkę od klucza, poniżej wyłącanej kiedyś, lecz dziś zczerniałej klamki, umieszczonej bardzo błękitną źrenicę i kilka włosów jasnej rzęsy.

— A co? — rozległ się za drzwiami szept cichutki, który ja jednak dosłyszałem, bo mam słuch dobry i w salonie panowała cisza.

— Nic, siedzi — odparł szepcik, wychodzący widocznie z ust właścicielki oczka, utkwionego w dziurce od klucza.

— Czy młody?

— Młody, młody!

— A przystojny?

— Nie widzę dobrze.

— Pozwól! niech ja zobaczę!

— Cicho! cicho! odwrócił się i spojrzął na drzwi.

Wraz ze słowami temi, błękitna źrenica zniknęła z dziurki i kilka sekund cicho było za drzwiami.

— Kto-by to mógł być? — szepnął po chwili głos piérwszy.

— Nie wiem — odszepnął głos drugi — może nowy jaki sąsiad.

— Nie; pocztylion mówił Marysi, że ten pan z miasta.

— Wielka rzecz, że z miasta! może być dlatego obywatelem.

— Wejdz, Jadwisiu...

— Nie chcę... wstydzę się... wejdz ty piérwsza...

— Zapewne! tak będzie, jak ty chcesz! no wchodzi że...

— Doprawdy nie mogę... cóściś Marysia źle mię dziś uczesała...

— Będzie on patrzył na twoje uczesanie!

— A cóż? może na twoję turniurę zaraz spojrzy...

— Cicho bądź i wchodzi mi zaraz, a ja za tobą!

— Otóż ani myślę! jesteś dziesięć lat starsza ode mnie, powinnaś zawsze piérwsza wchodzić...

— Głupia jesteś!

Z ostatnim tym, nieparlamentarnym wcale, wykrzyknikiem wymienionym w wielkim snadź rozdrażnieniu, bo na pół głośno, drzwi otworzyły się i do salonu weszły dwie panny. Jedna była bardzo wysoka i w powłóczystej sukni, druga znacznie niższa i w sukience niezupełnie jeszcze dotykającej ziemi. Obie niosły na głowach swych zadziwiające koafiury, wysokie w górze, szerokie po bokach, wydęte z tyłu, najeżone i postrzępione dokoła. Weszły jedna za drugą i dygnęły, starsza z lekka i od niechcienia, młodsza niziutko i ze spuszczoną głową. Wstałem i ukloniłem się. W téjże samej chwili wyszła z budoaru pani domu, a za nią, z rozplomienioną twarzą i krokiem niechętnym, postępował pan Julian. Panny usiadły — starsza tuż przy kanapie na honorowym fotelu, młodsza u okna, w cieniu brudnej gipiurównej firanki. Przejście jednak przez całą długość salonu było rzeczą również niełatwą jak, przebycie dziedzińca. Młode gończaki, skomląc i podskakując, rzuciły się na spotkanie wchodzących do pokoju swych państwa, wielkie wyżłisko zeskokczyło z fotelu i obłocconemi łapami oparło się o elegancki tużurek pana Juliana, inny pies niewiadomego mi gatunku szarpał za suknię panią domu, wsuwał pysk pomiędzy jej nogi, ternew zaś w całej wielkości swój stanął na kanapie, i ogromnym łbem swym dotykając głowy starszej panny, groził koafiurze jej wielkim poszkodowaniem. Gospodyni domu uspakajała psy głosem i dłonią, pan Julian niecierpliwił się i odrzucał nogą gończaki aż pod samą ścianę, panna Eufemia zarumieniła się, jak piwonia i, z całej siły odpierając napastującego ternewa, rzekła do mnie:

— Papa tak lubi psy, że mamy ich pełen dom. Ja także je lubię, choć bywają czasem dokuczliwe. A pan czy jest amatorem psów?

Nie miałem czasu na odpowiedź, bo w téj chwili właśnie gospodyni domu, dotarłszy do kanapy, na której usiadła, zaczęła przemawiać do mnie:

— Julek znajduje — rzekła — że nie możemy i niepowinniśmy mieszać się w sprawę Romana, i ja podzielam jego zdanie. Ciężko to bardzo rodzicom przenieść cios taki, ale zgodziliśmy się z wolą Pana Boga, a może to i lepiej, że zbłąkane dziecko nasze ukaraném zostanie. W nieszczęściu upamięta się może i poprawi...

— Pani — rzekłem dotknięty do żywego — nie posiadamy jeszcze, niestety, w kraju naszym urzędzeń karnych takich, które-by były zarazem urzędzeniami poprawczemi. Nim państwo stanowczo zdecydujecie się nie udzielić synowi waszemu téj małej pomocy, o którą proszę was w jego imieniu, czuję się w obowiązku powiedzieć jasno i otwarcie: pan Roman skazanym zostanie prawdopodobnie do ciężkich robót, z pozbawieniem praw i przywilejów obywatelskich.

Na te słowa pan Julian zżył się i spuścił oczy; pani Kalińska poniosła chustkę do twarzy; panna, siedząca na fotelu, z głębokim zdumieniem spójrzała na mnie, ale od okna, z-za gipiurównej brudnej firanki, rozległ się szybko stłumiony wykrzyk.

— O, ja nieszczęśliwa! — zawołała pani Kalińska, skrapiając chustkę łzami — pocom ja tego doczekała! ja umrę ze wstydu i zgryzoty! Juleczku — dodała wśród łkań — może-by posłać po papę?

— Papa nie przyjedzie — odparł, wzruszywszy ramionami pan Julian — całe towarzystwo miało dziś jechać do Łozowa, a ztamtąd do Winiewicz.

— Wcale nie! — zawołała panna Eufemia — nocować dziś będą w Winiewiczach, a jutro pojadą do Łozowa...

— Ależ, moja Femciu... — zaczął brat.

— Ależ, mój Julku — przerwała siostra — wiem doskonale, że pojadą dziś do Winiewicz, bo tam pokazały się dziki...

— Sama nie wiesz, co mówisz! w Łozowie będzie jutro oblawa na wilki.

— Na wilki! na wilki! — zawołała panna, z żywym rumieńcem na zwiędłej nieco twarzy — otóż ja ci mówię, nie jutro będzie oblawa, ale za tydzień, bo jesteśmy nawet prozione z mamą.

— Na oblawę? — ironicznie zapytał brat.

— Juleczku — śród łez i łkania wymówiła pani Kalińska — daj pokój Femci!

— Ależ, moja mammo, kiedy ona sprzecza się zawsze...

— Bo ja wiem, co mówię... — zaprotestowała panna.

— Femciu, nie sprzeczasz się z Julkiem...

— A więc — przerwałem tę miłą rodzinną rozmowę — pan Kaliński nie wróci dziś do domu, i nie będę mógł zobaczyć się z nim przed odjazdem?

— O! papa wróci chyba za tydzień, bo teraz pora dla myśliwych najlepsza i w sąsiedztwie polują.

— Papa mówił, że wróci za trzy dni — zarzuciła panna Eufemia.

— Za tydzień z pewnością, bo kazał nawet w sobotę przyprowadzić do Iglina trzy sfory gończych...

— Dwie, nie trzy — zaprotestował duch opozycji w rodzinie.

Powstałem z miejsca, w celu pożegnania całego towarzystwa. Los Romana rozstrzygnąć się miał za dni parę, a ojciec jego za tydzień dopiero spodziewany był z powrotem w domu. Nie mogłem przecież gonić go po świecie. Czegoż zresztą spodziewać się po głowie rodziny, której członków tak dobrze przez ubiegłą godzinę poznałem.

— Pani — rzekłem, zwracając się do gospodyni domu — na jedną już tylko okoliczność zwrócę uwagę rodziny Romana Kalińskiego. Boleje on mocno nad tém, że nikt z krewnych nie odwiedził go w smutném miejscu, w jakim się znajduje, oprócz tego będzie miał on podobno do odbycia ciężką i daleką podróż. Czy pozwolicie państwo oddalić się na zawsze jednemu z członków rodziny waszój, bez ostatniego słowa pociechy i pożegnania, bez skromnego choćby zasiłku, który-by mu umniejszył fizyczne przynajmniej cierpienia?

— Ja tam już pewno do niego nie pojedę! — mruknął pan Julian.

— Nic-byś złego nie uczynił, gdybyś pojechał — sprzeciwiła się Eufemia.

— Jedź sama — sarknął brat.

— Gdybym była mężczyzną... — zawołała panna.

Pani Kalińska płakała wciąż i zawodziła głośnie żale.

Oprócz łez jednak i narzekań, nic otrzymać od niej nie mogłem.

— Jechać do niego nie możemy — zawołała na koniec — bo narazili-byśmy się na większy jeszcze wstyd, i małżeństwo Julka zerwane było-by z pewnością. Femcia napisze może do niego, a mąż mój i ja pošlemy mu cokolwiek na drogę. Zrobimy, co możemy... ale jesteśmy w złych interesach, i nie powinniśmy krzywdzić innych naszych dzieci. Julkowi trzeba ekwipować się i dom na przyjęcie gości urządzać... powóz z Warszawy i meble sprowadzić, to nie żart, także młodszą córkę moję téj zimy w świat wprowadzę i muszę toaletę jój sprawić... a pan wiesz przecie, jakie-to teraz dla obywatelstwa ciężkie czasy... Roman był zawsze złém dzieckiem i same zgryzoty nam sprawiał! O, ja nieszczęśliwa matka! pocóż-em tego doczekała! ja tego nie przeżyję! — i tam dalej.

Płakała i zawodziła swe żale; Femcia półgłosem sprzeczała się z bratem, dowodząc, że państwo Różyńscy będą we czwartek w Łozinie, wtedy, kiedy on powiedział, że będą tam oni w sobotę; gończaki dobijały się do drzwi, ternew uderzał w stół kosmatym ogonem, dwa wyżły głośnemu płaczowi swój pani wtórowały przeciąglém wyciem. U okna, za gipiurową brudną firanką, nie było nikogo; panna Jadwiga niespostrzeżenie i pocichutku wysunęła się z salonu.

Ukloniłem się w milczeniu wszystkim dokoła, i zmierzałem ku drzwiom.

— Może pan obrońca zostanie u nas na obiedzie? — ocierając łzy, jęknęła pani Kalińska.

Podziękowałem i odmówiłem. Pilno mi było wydostać się z tego domu.

Pan Julian szedł ze mną aż do sieni, zabawiając mnie rozmową o drodze i pogodzie. Nakładając podróżny płaszcz, nie mogłem wstrzymać się od surowego spójrzenia w oczy temu wykwintnemu młodzianowi, który, tak nielitościwy dla występnego swego brata, nie czuł, nie wiedział, że perfumy jego, pukle i matrymonialne zamiary, że wszystkie dni jego próżniacze, samolubne uczucia, nędzne rachuby i same myśli, były jednym wielkim i brzydkim, a tylko żadnym kodexem karnym nieobjętym, grzechem. Znałem już teraz obu synów domu tego, pozbawionego całkowiec zmysłu wysokiej moralności, prawdziwej oświaty, pracy i porządku. Jeden z nich był duchem zbuntowanym i rzuconym na rozdroże występku, drugi, dzięki korniejszój i ospalszój naturze swój, pasożytem tylko, karłem moralnym, grzesznikiem, żyjącym w zgodzie z prawem karném i salonową opinią. Były to dwie jednostajnie smutne odmiany kalekich i szkodliwych roślin, z gruntu niezdrowego wyrosłych.

Pożegnany przez młodszego syna ceremonialnym ukłonem i lekkim ściśnięciem ręki, wyszedłem na ganek, przed którym czekały na mnie konie pocztowe. Na widok mój, pocztylion ruszył z miejsca, nie stanął jednak jeszcze u stopni ganku, gdy usłyszałem za sobą stuknięcie drzwiami, i obejrawszy się, zobaczyłem stojącą przy mnie pannę Jadwigę. Na krótką sukienkę swą narzuciła wielką ciepłą chustkę i otulała się nią od chłodu. Drobną i białą twarz jej okrywał rumieniec zmieszania, a wiatr, silnie dmący na dworze, dziwne wyrabiał rzeczy z zadziwiającą jej koafiurą, wstrząsając ją, strzępiąc i rozrzucając na wsze strony, niby kręte źdźbła źle związanej więzi siana. Stała przede mną chwilę, milcząca, strwożona i ze spuszczonego oczyma.

— Proszę pana — zaczęła nakoniec słabym i lęklwym głosem — czy pan prędko zobaczy Romusia?

— Zobaczę go zaraz po powrocie do miasta — odparłem zdziwiony nieco.

— Mam do pana prośbę — szepnęła panienka.

— Słucham pani — rzekłem z ukłonem.

Wysunęła z-za chustki rękę, w której ujrzałem coś owiniętego w papierek.

— Niech pan to ode mnie odda Romusowi — rzekła — i niech pan jemu powie... niech pan jemu powie, że choć mama i papa gniewają się na niego, choć ja sama wiem, że on źle, bardzo źle zrobił; ale mnie go żal i bardzo smutno, że go już nigdy nie zobaczę... niech pan mu powie...

Tu podniosła oczy i pierwszy raz spójrzała na mnie. Były to oczy na-pół dziecinne i bardzo błękitne, na jasnej rześce, której kilka włosków widziałem przed półgodziną, w dziurce od klucza, wisiały teraz i drżały dwie lzy.

— Niech mu pan powie — szepnęła jeszcze — żeby do mnie napisał kiedy i że, jak ja... jak ja...

Sądziłem, że nie zdoła wymówić następujących wyrazów, tak trudnymi jej one były do wymówienia. Wymówiła je przecież.

— Jak ja za mąż pójdę i będę miała własne pieniądze, własne konie i powóz, przyjadę do niego, choć-by był najdalej.

Silnie ścisnąłem w dłoniach moich drobną rączkę, która oddawała mi mały rulonik i wskoczyłem na bryczkę. W bramie rozwinąłem papier i zobaczyłem w nim kilka sztuk złotej i srebrnej monety. Był tam dukat, parę półimperyalów, jeden ludior, parę numizmatów i jeden stary jakiś medal pamiątkowy. Wiedziałem, że w niektórych zamożnych domach istnieje zwyczaj obdarowywania dzieci w dniu ich imienin, lub urodzin, błyszczącymi pieniążkami, domyśliłem się więc pochodzenia tych, które trzymałem w ręce. Panna Jadwiga oddawała nieszczęśliwemu bratu wszystko, co posiadała, mały skarbek w radości serca zapewne uzbierany od kolebki. Minąwszy bramę, obejrzałem się jeszcze na dom, pozostający za mną. Jasna suknia młodej panienki świeciła tam jeszcze pomiędzy upadającymi w gruzy szaremi słupami ganku. Zdawało mi się, że wśród zapadającego mroku spostrzegam w oddali błękitne jej źrenice, z dwiema łzami na rześce, i różowe usta, szepczące lęklwym: „choć ja sama wiem, że on źle zrobił, ale mi go bardzo żal”. Dobrze, młode dziewczę! — pomyślałem — serce twoje zasługuje na to, aby głowa twoja nie nosiła na sobie furi siana, zlepionego pomadą, aby stopy twoje nie grzęzły w gruzach rodzicielskiego domu, a oczy nie zaglądały przez dziurki od kluczy. Serce twoje zasługuje na to, abyś z dwoma warkoczami, owiniętymi nad dziewczęciem czołem, z myślą zawieszoną wysoko i okiem nieprzysłonionem niczym, szukała dla siebie po świecie trudnych dróg obowiązków i wzniosłych szczytów szlachetnego szczęścia. Niestety! zadziwiająca koafiura przytłoczy w głowie twojej wszelką myśl, która-by powstać w niej chciała; mama twoja wyswata ci bogatego kawalera, którego papa upoluje w czasie jednej ze swych myśliwskich wypraw; brat, Julek, ożeniony z posażną panną, sporządzi ci piękną wyprawę, a ty sama, zmęczona upatrywaniem przez okno nienadjeżdżających konkurentów, uciekając przed gruzami rozwalających się ścian rodzicielskiego domu, sprzedasz ciało i duszę, zgasisz piękny ogień, który dzisiaj z piersi do oka rzucił ci lżę litości nad występny bratem, i będziesz grzesznicą, żyjącą w zgodzie z prawem karnym i salonową opinią! W takich i wielu innych myślach zatopiony, ujechałem z półtorej mili, gdy o uszy moje obły się z oddali dochodzące odgłosy trąb myśliwskich. Wychodziły one kędyś z pod lasu, i przeciągłym echem biegły po równych, szerokich, pierwszym śniegiem zimowym zasłanych, polach. Niebawem z dźwiękiem trąb potoczyło się gromadne skomlenie i naszczekiwa-

nie psów, tentent koni, wołania łowców i dojeżdźaczy. Wszystko to trwało kilka minut, poczem przycichać poczęło stopniowo i umilkło całkiem w oddaleniu; poczet myśliwski, który ukazał się na chwilę u skraju lasu, popędził drogą, biegnąca na prawo, i zniknął w jej zakręcie. Pocztylion wskazał ręką w stronę, w którą oddalała się wrzawa.

— A to pan Kaliński — rzekł — jedzie do Łozina z polowaniem.

W kwadrans potem wysiadłem na stacyi pocztowej, i poprosiłem gospodarującą tam kobiety, aby sporządziła mi herbatę i przekąskę. Zanim to, czego zażądałem, było gotowem, i zanim do bryczki założono świeże konie, upłynęła godzina. Stałem w oknie izby gościnnej, i paląc cygaro, rozmawiałem z dozorcą stacyi, gdy tuż przed domem przeciągnął powóz, obladowany tłomokami, i ciągnięty czterema rosłemi i rasowemi, ale chudemi końmi. Skręcił na drogę wiodącą w lewo.

— Nie poznajesz pan tych pań, które jadą w tym powozie? — zapytałem dozorcę.

Spojrzał w okno i odpowiedział:

— A to pani Kalińska z córką...

Wróciłem do miasta nad rankiem, a przespawszy parę godzin i załatwiwszy najpilniejsze interesa, udałem się w odwiedziny do młodego mego klienta. Chciałem wręczyć mu podarek siostry i pomówić z nim jeszcze o pewnych punktach sprawy. O bytności mej w Kalinowie postanowiłem zachować zupełne milczenie. Pocóż go bowiem srożej jeszcze jątrzyć i rozzalać miałem?

Dozorca więzienia spotkał mnie ze słowami:

— Przychodzisz pan pewno do Kalińskiego? dziwny to chłopiec, doprawdy. Czy pan wieśz o tém, że przyznał się do wszystkiego?

— Jakto, przyznał się? — zawołałem.

— Tak; objawił on dwa tygodnie temu żądanie widzenia się prokuratorem, o którym ja powinienem był zawiadomić i zawiadomiłem stosowne władze. Prokurator nie przyszedł sam, ale przysłał podprokuratora, a Kaliński przyznał się przed nim, że popełnił to, o co go obwiniają... Nie chciał nawet czynić tego w sekrecie, ale tak głośno rozmawiał z prokuratorem w parlatoryum, że ja i straż wszystko mogliśmy słyszeć.

— Poproś-że go pan do mnie — rzekłem.

Dozorca postąpił ku dziedzińcowi, ale w połowie bramy zatrzymał się i dał mi znak głową, abym się zbliżył.

— Zobacz pan, co on wyrabia — rzekł, wskazując mi palcem głąb' dziedzińca.

Zobaczyłem młodego więźnia, krzątającego się żywo po dziedzińcu. Zrazu nie mogłem dobrze zrozumieć, co znaczyła czynność, której oddawał się z gorączkową prawie zapamiętałością. Pod jedną ze ścian więzienia, złożoną była do naprawiania bruku przeznaczona znaczna ilość kamieni. Kaliński podejmował najcięższe z nich i roznosił je w różne strony dziedzińca, poczem brał je znowu i umieszczał na dawnym miejscu. Kształtne, ale silne i muskularne ramiona jego, podnosiły ciężary z pozorną przynajmniej łatwością, i nad podziw zręcznie, obarczony niemi, nie szedł, ale biegł, i wracał po nowe przedszym jeszcze krokiem. Siermięga, którą dla ochrony od chłodu przyodziały go władze więzienne, leżała w kącie podwórza, było mu snadź i bez niej gorąco, bo policzki miał pałające, a po bladym czole spływał mu pot obfity, którego krople ocierał od czasu do czasu rękawem podartej surduciny.

Więźniowie, siedzący pod ścianami na ławach, i straż, stojąca w bramie, śmieli się z niego i zadawali mu pytania, na które nie odpowiadał. Zdawał się nic nie widzieć i nie słyszeć, usta miał zaciśnięte, o oczy błyszczące dziwnym, fizycznym jakby, zadowoleniem.

— Panie Kaliński! — zawołał głośno dozorca.

Stanął, położył na ziemię kamień, który niósł, i spojrzał dokoła, jakby ze snu obudzony.

— Kto mnie woła? — zapytał.

— Pan obrońca przyszedł do pana.

Poskoczył i w mgnieniu oka stanął przede mną.

— Ach, to pan! — zawołał z uśmiechem, który rzucił mu na twarz całą wyraz nieledwie dziecięcej radości. Jaki pan dobry jesteś, że przyszedłeś... Zmówiłem dziś rano pięć pacierzy na intencją, abys pan do mnie przyszedł.

— Czy potrzebowałeś mnie widzieć? — zapytałem.

Zmieszał się trochę i odpowiedział niepewnym głosem:

— To jest, tak... nie potrzebowałem, ale chciałem...  
— Powiedz mi — rzekłem — co takiego robiłeś przed chwilą?  
— Nosilem kamienie — odpowiedział.  
— Widziałem, ale poco ci było to czynić?  
— Ach, proszę pana — rzekł — tak mnie tu (wskazał na piersi) paliło coś i spokoju-  
ności nie dawało, że nie mogłem wytrzymać... Zmęczyłem się też porządnie — dodał,  
oddychając głęboko — i teraz mi lepiej...

Weszliśmy do parlatorium.

— Czy pan wieś, że przyznałem się do wszystkiego przed prokuratorem? — zaczął  
pierwszy.

— Wiem — odparłem — i chciał-bym bardzo wiedzieć, co cię skłoniło do tego?

— Ot tak, nic. Po rozmowie z panem wstyd mi się jakoś zrobiło, że kłamałem dotąd  
i chciałem, abys pan o mnie choć trochę lepiej myślał.

Mówił to smutnym głosem i ze spuszczonej oczyma.

Nagle podniósł głowę i machnął ręką.

— Ach! — zawołał — niech mnie dyabli wezmą, jeżeli wiem, jaki z pana człowiek!  
Rozmawiałem z panem godzinę i kocham pana więcej, niż rodzzonego ojca. Ach, panie!  
— dodał nagle zupełnie zmienionym głosem i składając ręce, jak do pacierza — gdybym  
to ja mógł być takim, jak pan, człowiekiem!

Gdy wymawiał ostatnie słowa, rumieniec zapału napłynął znowu do pobladych już  
policzków, oczy jego błysnęły niezmiernym pragnieniem i pierś podniosła się wysoko  
i szybko.

— Jakim-że to właściwie człowiekiem chciał-byś być? — zapytałem, uśmiechem po-  
krywając wzruszenie, które mnie ogarniało.

— Chciał-bym — rzekł — tak, jak pan, chodzić po więzieniach i po różnych innych  
smutnych miejscach, pocieszać i bronić nieszczęśliwych!

Uśmiechnąłem się tym razem szczerze. Młody więzień tworzył sobie o mnie dziwacz-  
ne nieco pojęcie, nadając widocznie w wyobraźni swój zajęciom moim jakieś fantastyczne,  
rycerskie barwy. A przecież naiwne jego słowa nie były może zbłąkaném echem, jakimś  
odzywał się w nim głos powołania, wrodzonych mu skłonności i popędów?

Usiadłem na ławie i wyjąłem z kieszeni podarek panny Jadwigi.

— Siostra twoja, panna Jadwiga, przesyła ci te pieniądze — rzekłem.

— Siostra moja! — zawołał — Jadwisia! czy pan ją widziałeś?

Zawahałem się z odpowiedzią. Wpatrzył się we mnie swemi bystreimi szaremi oczyma  
i, po chwili milczenia, rzekł stanowczym głosem.

— Pan jeździłeś do Kalinowa... widziałeś moich rodziców i prosiłeś ich o coś dla  
mnie...

Milczałem, on usiadł na stołku, sparł brodę na dłoni i mówił dalej:

— Widzisz pan, że zgadłem. Dziękuję panu. Jesteś pan bardzo dobry... chciał-bym  
być bardzo takim człowiekiem, jak pan. Nie prawdaż panie, że Kalinów bardzo nudny.  
Ojca spotkałeś pan pewno wyjeżdżającego, albo wracającego z polowania, mamy nie było  
w domu, a jeżeli była, to Femcia klóciła się z Julkiem, nie prawdaż? Dla mnie nic nie  
chcieli zrobić. Wiem o tém doskonale. Mniejsza o to, przyznałem się i jest już teraz po  
wszystkiem. Zresztą — dodał — nic to dziwnego, że oni gniewają się na mnie; byłem  
zawsze wielkim szubrawcem, a teraz wstydzić się mnie muszą... Nie mam do nich żadnej  
pretensyi, i chciał-bym tylko, aby mnie nie bardzo źle wspominali...

— Czy wieś pan — zawołał po chwili milczenia — że chciał-bym jeszcze raz w życiu  
posłyszć, jak Julek sprzeczka się z Femcią, i jak Jadwisia dudni gamy na fortepianie, i jak  
dojeżdżacz ojca grają na trąbach...

Widziałem, jak rozmowa o rodzinnym domu, jakkolwiek był on nieponętnym, po-  
ruszała w nim z wolna strunę tęsknoty. Czoło jego mroczyło się, a oczy nabierały głębi  
i przejrzyści.

— Chciał-bym — rzekł — raz jeszcze w życiu widzieć starą Maryannę. Pan nie wieś,  
kto to taki, ta stara Maryanna. Jest to moja dawniejsza niańka, bardzo dobra i poczciwa  
kobieta, która strasznie pieściła mnie, gdym był mały. Czy wieś pan, że miałem już  
lat czternaście i piętnaście, a jeszcze chodziłem do Maryanny, która zamieszkała na wsi  
w chacie córki, i lubilem słuchać, jak śpiewała stare piosenki, i opowiadała wnukom

swoim te same bajki, które prawila kiedyś mnie, gdym był mały. Ma ona, proszę pana, takie żółte, pomarszczone czoło, ale brzydka nie jest, tylko już bardzo stara, i w przeszłym roku o kiju zaczęła chodzić... Gdybym był nie popadł w taką biędę — dodał — zbudował-bym kiedyś Maryannie piękny domek, a córce jęj darował kawał pola.

Mimowiedzy jakby, głowa jego pochylała się i opadała na dłoń. Czulem gorąco jego oddechu, gdy znowu mówić zaczął:

— Chciał-bym także bardzo zobaczyć jeszcze, choć raz w życiu, pewne miejsce w lesie, które bardzo lubiłem dopóty, dopóki mi cały świat nie zbrzydł. Jest to, proszę pana, brzozowe zarośle, nisko położone i trochę wilgotne, ale mnie wilgoć nigdy nie szkodziła. Trawa tam za to taka zielona, jak nigdzie, a pomiędzy krzakami jest maleńki stawek.

Jak tylko zacząłem czuć, że byłem nieszczęśliwy, zacząłem chodzić w to miejsce; z rana mianowicie, kiedy w domu wszyscy jeszcze śpią, wstanę bywało, pójdę, tam i siedzę nad stawem godzinę, albo dwie. Szczególniej, proszę pana, kiedy słońce wschodziło, było tam bardzo pięknie. I brzozy, i woda, były różowe, jaskółki latały nad stawem, a w krzakach ptactwo tak krzyczało, że je chyba aż w niebie słyhać było. Chciał-bym tam jeszcze być kiedy...

Milczał chwilę, potem mówił jeszcze:

— I Jadwinię chciał-bym raz jeszcze w życiu widzieć... dobra to dziewczyna. Jak byliśmy dziećmi, graliśmy razem w konie, ale największa już była dla nas radość, kiedy frukta dojrzewają w ogrodzie. Wtedy, bywało, ja wleżę na drzewo, zrywam dojrzałe gruszki i rzucam, a ona łapie je w fartuszek. Daj Boże jęj szczęście! choć nie spodziewam się, aby miała go wiele. Ona, panie, taka czuła! byle co, zaraz już płacze... biedna Jadwisia! chciał-bym ją jeszcze widzieć kiedy!

Kiedy domawiał ostatnich wyrazów, zobaczyłem wielką kroplę, spadającą na chropowaty stół więzienny. On nie spostrzegł nawet, że z oka jego spadła łza.

— Julek żeni się podobno — mówił dalej — dowiedziałem się o tém od jednego człowieka z naszej okolicy, który służył u nas kiedyś, a teraz tu przyprowadzony został. On zawsze marzył o tém, aby bogato ożenić się. Toż-to dopiero będzie huczne wesele! a przenosiny jeszcze huczniejsze rodzice mu wyprawia. Będą grać, tańczyć, cieszyć się... o!

Podniósł rękę do serca, jakby go tam coś nagle ukłóło.

— O! — powtórzył i zerwał się z krzesła.

Wyglądał w tęg chwili strasznie. Twarz jego powlekała się krędową bladością, oczy zapalały posępnie, wargi drgały. Śmiertelna tęsknota, głuchy gniew, rozrywająca żałość, zdawały się wybuchać z każdej fibry jego ciała.

— Tak! — zawołał — będą żenić się, grać, tańczyć, cieszyć się... wszyscy, wszyscy wolni, szczęśliwi, a ja!...ja!...

Głęboki jęk, czy łkanie, łez pozbawione, zatrzęsło nim od stóp do głowy, zarazem drżące nerwowo ręce podniósł do piersi i jednym szarpnięciem rozdarł na kilka części okrywającą mu pierś bieliznę. Potem upadł na krzesło, ukrył twarz w dłoniach — i siedział nieruchomy. Kiedy po chwili podniósł głowę i spojrzeniem spotkał się z moim wzrokiem, ujrzałem w oczach jego wyraz wstydu i prośby.

— Nie gniewaj się pan, — rzekł z cicha, — nie mogłem wstrzymać się... nigdy już nie uczynię tego...

Chciałem przysunąć się ku niemu i uczyniłem małe poruszenie. Myślał, że chcę odchodzić.

— O, nie odchodź pan byle, nie odchodź — rzekł, przytrzymując mię za rękaw od ubrania. Nie będę już nic mówił, ale chcę słuhać pana długo... długo...

O czymże mówić mu mogłem? Miałem, według uświęconego w podobnych wypadkach i położeniach obyczaju, wysławiać zasługę i uroki cnoty przed nim, którego odtąd jedyną cnotą miało być prawdopodobnie bierno posłuszeństwo, przymusowa, pod groźbą i przez obawę chłosty, spełniana, praca? Miałem z prawideł i zasad moralnych tworzyć nabożny traktat dla człowieka, któremu wyrok prawa, pozbawiając go na zawsze wolnej woli, odejmował osobistą odpowiedzialność, bez której moralność czczém tylko jest słowem!



Nauczać go cnót, których dopełnianie nigdy już w mocy jego leżeć nie miało, prawić o tym, jak czynić i żyć powinien wtedy, gdy on nad życiem i czynami swymi nigdy już prawa samorządu odzyskać nie miał; było-by robotą płonną i bezsensowną, bezużytecznym dręczeniem ducha jego, przez ukazywanie mu wielkich sił i pięknych obrazów, których zdobycie i dośnięcie było mu o tyle możebnym, o ile płasy taneczne możebnymi są dla biedaka, na zawsze już paraliżem przykutego do łoża cierpienia. A jednak miał on tylko lat 19! Nieprzeliczone skarby uczuć i myśli drzemały w kipiącej jego piersi, w bystrym i pojętnym jego umyśle. Niezużyte siły żywotne bujnej, sprężystej i gorącej jego organizacji, szukając dla siebie ujścia, szamotały nim dotąd, jak wicher wiotką gałęzią drzewa; ale któż mógł zaprzeczyć na pewno, że, kochającą i umiejętną dłonią na prawidłowy szlak skierowane, nie mogły one popłynąć pięknym, szerokim, potężnym, dobroczynnym strumieniem? W gorętszej, niż u wielu innych, krwi jego, w drażliwej na zewnętrzne dotknięcia tkance sercowej, wrzało źródło tych namiętności, które uczyniły z niego wielkiego winowajcę; lecz czyliż namiętności, będące żuźłami, wzniciającymi niszczące pożary, bezrozumne szały, nie są także iskrą, z której, pod wpływem przyjaznego podmuchu, powstaje twórczy zapal, wielka miłość i bohaterska ofiara? W niejasnej, chaotycznej, niewyrobinionej i starganej istocie jego leżała głęboko i drgała od czasu do czasu, tajemna dla niego samego, struna poetyczności. Ona-to rozkazywała mu godzinami całymi przesiadywać nad brzegiem stawu, którego powierzchnią, zróżowioną przez jutrzenkę, muskały lotne skrzydła jaskółek, lub pod ścianami brudnego miasteczka padać twarzą na ziemię i płakać gorzko, długo, bez zrozumienia i świadomości przyczyny łez własnych. Była to w nim dotąd struna jałowa, niewyraźne lub fałszywe dźwięki wydająca; ale jakież prorok lub psycholog zaręczyć śmiał-by na pewno, że gdyby dobroczynna wiedza naciągnęła ją do właściwej skali, a piękne jakieś uczucie uderzyło w nią potężną dłonią, nie zabrzmiąta by wspaniałym jakim hymnem, nie wygrała-by światu szerokiej i wysokiej melodyi, pieśni lub czynu? Teraz wszystko to było stracone na zawsze. A jednak, ten piękny silny chłopak, stracony dla społeczeństwa i dla wszystkiego, co na świecie było piękne, dobre i szczęśliwe, miał tylko lat 19!

Powróciwszy z więzienia, zamknąłem się w pracowni mój, i nie zapalając lampy, z głową w dłoniach i z sercem ciężkim, rozmyślałem długo nad olbrzymim zagadnieniem winy i kary, które ludzkość rozwiązuje tak powoli i z trudnością.

Ciemno było w samotnym pokoju moim, a wśród ciemności, jakie mię otaczały, przed oczyma memi stał wciąż, jak zaklęty, młody Roman Kaliński. Wysłuchałem szczerzej i głębszej spowiedzi jego ducha, byłem w domu, w którym rozwijało się dzieciństwo i pierwsza młodość jego, wiedziałem więc dobrze, jakie to były dłonie te te, które tak okrutnie zbrudziły i splątały pasmo jego życia, która z dłoni tych, i o ile, należała do natury, a która do ludzi. Wielkie oburzenie człowieka, i srogi gniew obywatela powstały we mnie ku tym bezrozumnym i występnyim rodzicom, którzy trawiając cały czas swój na płochych igraszkach, zaślepieni przesądem, próżni wszelkiej prawdziwej wiedzy i wszelkiego wysokiego uczucia, nie potrafili zbadać i poznać natury syna swego, nie dali gruntu stopom jego, mocy sercu, światła umysłowi, oręża rękom, hamulca i kierunku namiętnościom. Byli to bezwiedni zbrodniarze, bez woli i zamiaru zabijający człowieka, zdrajcy kraju, odbierający mu dzielnego może syna jego...

Przejęty uczuciami temi, z głębi piersi zawołać chciałem: hańba i biada wam rodzice, których synowie wzrastają na srogich grzeszników, czy to w zgodzie, czy w kłótni z prawem pisanym żyjących i grzeszących! Ale nadbiegła ku mnie znowu myśl, wywinęta z owego zagadnienia, w którym, jako człowiek, jako obywatel, jako szczególniej prawnik, zapuszczałem już nieraz i przedtem wzrok ciekawy, smutny i niespokojny.

Dlaczego, skoro jednostki bezrozumne bywają i ułomne, wielka zbiorowa istota, społeczność, nie naprawia zrzędzonych przez nie pobłążeń i szkód, ale owszem utrwała je i uniesmiertelnia? Dlaczego w zastępstwie rodzicielskich domów, które nie potrafiły, lub nie chciały stać się dla synów swych siłą kształcąca rozumnie i prawidłowo, społeczność nie wystawia dla okaleczonych członków swych, miejsc, napełnionych uzdrawiającą mocą oświaty, wzmacniającym i oczyszczającym zmysłem pracy i moralności? Dla czego, zamiast narzędzi poprawy i odtworzenia, ustawy, i instytucje karne posługują się dotąd jeszcze narzędziami męczarni i unicestwienia?

Weźcie koniec nici, wywijający się z kłębka i, pociągając go ostrożnie, przypatrzcie się uważnie węzłom jój i skrętom. Węzły te brzydkie są i bezkształtne, skręty przedstawiają oczom waszym linije kalekie, krzywe i bezładne.

Posiadacież przeto prawo, porwać w gwałtownej dłoni to pasmo zbrudzone i zwiłkane, aby z niego pozostały, tylko bezużyteczne i na zawsze już w proch rzucone szmaty? Zaprawdę! prawa takiego nie posiadacie!

Nie jesteście Bogiem i, nie dzierżąc w dłoni waszjej mocy twórczej, nie macie przywileju na używanie względem bliźnich waszych siły niszczącej. Czyliż w węzłach i skrętach nici, wyrokom waszym podlegających, nie spostrzegacie brutalnej, występnej lub okrutnej ręki natury, losu albo ludzi, która uczyniła je takimi, jakimi je widzicie? Waszą rzeczą jest, zdjawszy nieszczęśliwą nić z miejsca, na którym-by ona krokiem ludzkim zawadzać mogła, umieściwszy ją tam, kędy nikomu szkodliwą być nie może, zanurzać ją w zdrowych i czystych wodach, aby oczyszczoną i skrzepioną została, prostować ją troskliwemi rękami, aby zakresliła już nadal linie harmonijne i proste.

— A sprawiedliwość? — zapyta kto, — pokuta, zemsta?

Sprawiedliwość! — któż to ma prawo tak wysokie piastować pojęcie o mądrości własnej, aby móżdżek twierdzić, że wzrokowi jój nie umknie ani jedno źdźbło takie, które-by szalę sprawiedliwości przeważało stanowczo na stronę poddanego wyrokom jój człowieka? Jeżeli-by zresztą myśl ludzka i mogła nawet stać się tak przenikliwą, oczy ludzkie mogły być tak bystre, a uczucia i pojęcia tak bezstronnemi, aby wiedzieć i pojmować wszystko, wszystko aż do najdrobniejszej okruszyny, co rządziło i rządzi i rządzić może ciałem i duchem człowieka; wpływy którym podległ, psychiczne procesy, które przeżył, patologiczne skrzywienia, którym uległ, walki, które przed upadkiem swym stoczył, postanowienia i zmiany, które po upadku w nim się zrodziły; to i wtedy jeszcze, i zawsze, ze względu na solidarność, wiążącą, wszech członków ludzkości mocą uczucia i mocą interesu, ze względu na te bezmiary niemożności, wśród jakich ugina się bezładnie najsilniejsza nawet wola ludzka, ze względu nakoniec na wielkie prawo miłości i wynikającą z niego promienną ideę przebaczenia, których rządy same jedne przynieść mogą światu prawdziwy postęp i szlachetne szczęście — miłosierdzie podnosi się wysoko po nad sprawiedliwość, i zarazem samo jest sprawiedliwością, pojętą i spełnianą w najwyższym jój wyrazie.

Gdyby w społeczeństwie naszym, zamiast dziś istniejących instytucji, wznosiły się miejsca nie unicestwiania ale poprawiania, nie piekłem wiekuiestej zaguby będące, ale czyścem, przez który przechodząc, zbłąkane duchy zarabiają sobie na inne, lepsze życie; to dziecię występne, ale tak młode i nieszczęsne, którego nadaremna obronę nazajutrz roztoczyć przed sądem miałem, nie było-by może na zawsze stracone...

Pod wpływem podobnych myśli i uczuć zostając, w chmurne, smutne, zimowe południe, wstępowałem na wschody gmachu, w którym za chwilę odbyć się miało rozstrzygające los młodego więźnia posiedzenie sądowe.

Sala, przeznaczona dla oczekującej rozpoczęcia się sądów publiczności, natłoczona była ludźmi, pomiędzy którymi najwięcej dawało się widzieć osób, pochodzących z wyższej towarzyskiej sfery. Spostrzegłem w tłumie kilkunastu obywateli wiejskich; kobiety zeszły się też tym razem liczniej, niż zwykle. Snadź sprawa, którą dziś rozstrzygać miano, głośną była w mieście i okolicy; młodość, imię i rodzaj występkę obwinionego żywe i powszechne rozbudziły zajęcie. Nie trzymałem w ręku żadnego papieru. Nie potrzebowałem układać na piśmie dzisiejszej mowy mej, miałem ją bowiem całą wypisaną w głowie i sercu.

Gdy wszedłem do sali, znajomi otoczyli mię.

— Jakięj sprawy bronić dziś będziesz? — pytano.

— A! tego łotrzyka, który-to takiego wstydu nabawił poczciwych, zacnych swych rodziców!

— I proszę to powiedzieć! zkąd się podobne indywiduum wziąć mogło w naszym obywatelstwie!

— Musisz pan znać obwinionego! Czy przystojny? — Pytały damy.

— Znam jego brata, pana Juliana, — mówiła jedna z dam, — taki śliczny, dobrze wychowany młody człowiek! Jakie się to czasem sprzeczności zdarzają w rodzeństwie!

— Jeden brat wyrośnie na najporządniejszego człowieka, a drugi...

— Czy to prawda, panie, — zawołał mi nad uchem sopranowy głosik, — że ten zbójca popełnił już przedtem dwa zabójstwa i dziesięć kradzieży?

— Słyszałem, panie dobrodziejku, — tubalnym głosem prawił szpakowaty i pucłowaty obywatel, — że pani Kalińska rozchorowała się śmiertelnie z desperacji.

— Tak, tak! — zawołał ktoś inny i żartobliwie nieco dodał, — słyszałem takie, że Maurycy od tygodnia już ani razu nie polował!

Nad gwarem głosów tych i szmerem licznych rozmów, w różnych stronach sali prowadzonych, podniósł się donośny głos woźnego, który, stojąc we drzwiach, zawołał:

— Sprawa Romana Kalińskiego.

W pięknej, obszernej i wysokiej sali, za stołem zazarzuconym księgami i papierami, na krzesłach o wysokich poręczach, siedzieli sędziowie, z wyrazem chłodu i powagi na twarzach. W pobliżu, przy oddzielnym stole, w urzędowym ubraniu i z urzędową, fizygnomią i postawą, prokurator przerzucał papiery, złożone na wysokim pulpicie. Publiczność, z wolna i tłumnie napływając do sali, zajmowała liczne rzędy krzesel, ustawionych za niską baryerą; ja także usiadłem już przy przeznaczonym dla mnie stoliku. Zgromadzenie całe było w komplecie i brakło jeszcze tylko głównej figury, właściwego aktora w odbyć się za chwilę mającym, ostatnim i zarazem wstępnym, akcie dramatu, przedstawiającego upadek i niedolę człowieka.

Wszedł nakoniec i on. Dwaj żołnierze, z podniesionymi w górę ostrzami bagnatów, poprzedzali go, dwaj inni szli za nim. Przyprowadzono go ku ławie oskarżonych, przy której stanął, z tyłu i z przodu otoczony swą strażą. Błady był, usta jego ściśle były zwarłe i oczy spuszczone, gdy przechodził przez salę lecz, gdy stanął już na wskazanym mu miejscu i uczył na twarzy swój mnóstwo utkwionych w niej ciekawych spojrzeń, czoło jego i policzki głęboką zaszyły purpurą, pochylił głowę i zdawał się być przytłoczony niezmiernym brzemieniem wstydu; podniósł wysoko wzrok, w którym odmalowało się piekło bólu, i przygryzł zębami wargę tak, że wystąpiła z niej bujna krwi kropla. Przez chwilę pomiędzy publicznością trwały ciche szmery, towarzyszące zwykle poruszeniom rozciekawionego i wzruszonego tłumu, nagle stała się cisza wielka, głęboka, wśród której zabrzmiał głos prezydującego sędziego.

— Sprawa Romana Kalińskiego, obwinionego o zabójstwo z rabunkiem, dokonane na Dyonizym Wierowskim.

Relacja sprawy trwała krótko, poczem za wysokim pulpitem podniosła się zimna, urzędowa postać prokuratora. Był to człowiek wymowny i biegły znawca prawa. Mówił długo, wiązał w mowie swęj ścisłą, nić dowodów i argumentów, cytował artykuły praw i zakonkludował wnioskiem o skazanie obwinionego na dwanaście lat ciężkich robót, pozbawienie go praw szlacheckich i obywatelskich, i — co zawsze idzie za tém — wieczne pozostawienie w Syberyi.

W czasie mowy prokuratora, parę razy spojrziałem na więźnia. Stał teraz wyprostowany, ze skrzyżowanymi rękoma. Usta jego były suche, spieczone, i na-pół otwarte, ale oczy zagasłe i szklane, utkwione w przeciwległą ścianę. Można-by rzec, iż nie słuchał bynajmniej słów, które tak wielki wpływ na los jego wywierały, ale, spieczonemi usty z trudnością do piersi swęj wciągając powietrze, zgasłemi źrenicami ścigał jakiś w oddali mającą mary przeszłości, czy przyszłości.

Gdy ostatnie słowo prokuratora umilkło wśród ścian sali, z kolei i ja powstałem. Nigdy jeszcze taki, jak dnia tego, nawał myśli nie tłoczył mi się do głowy, nigdy przed tém nie broniłem żadnej sprawy z takim, jak dnia tego, głębokim przekonaniem i wewnętrzny, lubo ukrywany, zapalem. Powiedziałem wszystko, co tylko wagę występku umniejszyć, rodzaj jego mniej karygodnym uczynić mogło; nie szczędząc nikogo, wyjąłem wszystko, com myślał i wiedział o sposobie, w jaki wychowano młodego tego człowieka, o moralnej atmosferze, wśród której wzrósł tak kaleko, o psychicznych dziejach jego wnętrza i patologicznych niemal skrzywieniach, jakim uległa młodzieńcza, więc chwiejna, istota jego. Odpierałem oskarżenie o zabójstwo z kradzieżą, i dowodziłem prostego zabójstwa, wynikłego z uniesienia i trafu, a wymieniając artykuł prawa, całkiem inny, niż ten, który wymienionym został przez prokuratora, prosiłem o skazanie podsądnego na dwa lata przebywania w więzieniu.

Kiedym skończył, usłyszałem pomiędzy publicznością szmer wielce dla mnie pochlebny, a spojrzawszy na obwinionego, zobaczyłem, że wzrok jego nie był już zagasłym i szkla-

nym, ale obejmował twarz moją spójrzaniem, pełnym niewymownej wdzięczności i nadziei, obudzonej snadź w nim słowami mojemu. Niestety! jam nie miał wcale nadziei, aby żądanie, jakie wyraziłem, spełnione być mogło. Spełniłem moją powinność, ale czułem, że stokroć nawet wymowniejsze od mego słowo musiało-by być bezsilnym wobec surowości faktycznych świadectw i nieubłaganej litery prawa. Gdybym miał do czynienia z sądem przysięgłych, być może, iż psychologiczna analiza, jakiej dokonałem, i filozoficzny pogląd, jaki wyraziłem, mogły-by wiele zaważyć w sumieniu, a więc i zdaniu sędziów; ale instytucja przysięgłych nie była nam jeszcze daną, a sąd, złożony z jurystów, oczy swe utkwione mieć musiał nie w to, co zachodziło *de facto*, ale przeważnie w to, co się okazywało *de jure*. Czułem, iż dowiedzenie prostego zabójstwa z uniesienia i trafu niemożliwym było w zupełności, wobec faktu onych nieszczęśliwych pieniędzy, bez najlżejszej wątpliwości odebranych zabitemu.

Jakkolwiek przyzwyczajony byłem do scen podobnych, serce uderzyło mi żywiej, gdy sędziowie po półgodzinnej naradzie w przyległej komnacie odbytej, weszli z powrotem do sali i usiedli za stołem.

— Na mocy artykułu prawa N. N. — zabrzmiał głos prezydującego. — Sąd Kryminalny miasta N. skazuje Romana Kalińskiego na pozbawienie wszystkich praw i przywilejów, na ośm lat ciężkich robót w kopalniach i wieczne zamieszkanie w Syberii.

Wszystko, com wypowiedział, zdołało wyrok sędziów uczynić łagodniejszym od wniosku prokuratora o cztery lata trwania głównej kary!

Szedłem ulicą głęboko zamyślony, gdy o kilkanaście kroków przede mną błysnęły pod promieniem przebijającego chmury zimowego słońca bagnetę żołnierzy.

Przyspieszyłem kroku i szedłem chodnikiem równoległym ze zbrojnym orszakiem, postępującym z wolna środkiem ulicy. Kaliński szedł pośród straży swój, ze skrzyżowanymi na piersi rękoma i oczyma utkwionymi w ziemię. Na twarzy jego nie było ani rozpacz, ani rozjątrzenia, ani trwogi, ani zuchwałości, ani pokory, nie malowało się na niej, słowem, żadne z tych uczuć, które czytałem nieraz w fizyognomiach ludzi, ulegających losowi, doli jego podobnemu. Wydawał się głęboko zamyślonym i nie wiem, czy myliłem się, czytając w źrenicach jego na-pół widzianych z pod spuszczonej powiek, w dwóch zmarszczkach, które przerznięły mu czoło, w surowym i smutnym nieco zarysie ust jego bladych, ale byłem pewny, że myśl jego przebywała w tej chwili w rodzinnym miejscu i żegnała je na wieki, że duch jego, ze skupioną w sobie boleścią, sunął po szlaku krótkiej swój przeszłości, rachując rany jój i zboczenia, zapytując siebie i wszystkiego, z czego powstał: dlaczego to, co w nim było, nie było innym, to, co stało się z nim, nie stało się inaczej?

Idący przodem żołnierze, stanęli przed drzwiami więzienia, w którym zadzwonił klucz obracany w zamku.

Zgrzytający odgłos ten przerwał zadumę więźnia. Podniósł głowę, wyprostował się, ręce jego, ściśnięte dotąd, na piersi opadły. Wrota więzienne roztworzyły się, więzień wstąpił w sklepioną bramę. Szedłem za nim, pociągany ciekawością i współczuciem. Ani dozorca, ani straż, znając mnie dobrze, nie wzbronili mi wstępu. Kaliński zatrzymał się przez chwilę u wejścia na dziedziniec, na którym zgromadzili się licznie oczekujący na południowe pożywienie więźniowie. Postawa jego stała się hardą i wyzywającą. Oczy ma dziwnie zmienione, których dno zalegał posępny smutek, a powierzchnia błyskała ostrym światłem rodzącego się cynizmu, powiódł dokoła. Zarazem odetchnął głęboko i donośnym, dźwięcznym głosem zaśpiewał pieśń jakąś hulaszczą, bezładną. Szedł przez długi dziedziniec, kierując się ku pogrążonemu w cieniu, drugiemu podwórzu.

Był to Ereb, w którym przemieszkiwały duchy potępione, do jakich on dziś już stanowczo zaliczonym został. Szedł ku Erebowi temu, wyprostowany, hardy i wciąż śpiewał, a bezładne tony jarmarcznej pieśni wybuchały z piersi jego jeden po drugim, zdając się ścigać wzajem i pochłaniać w szalonym pędzie, w zawrotnych skokach pijanej wesołości. Wzrokiem i uchem ścigałem postać jego i głos. Widziałem, jak wszedł pod niskie sklepienie drugiej bramy i po chwili, zanurzony w mroku odległego dziedzińca, wydawał mi się niepewną szarą linią, rozplywającą się stopniowo w morzu ciemności. Zarazem z głębin, w które się zanurzał, śpiew jego wybuchnął ze zdwojoną siłą. Nie było już w nim jednak pijanego szalu, ni zuchwałej wesołości. Rozległ się on wśród murów więziennych

pzeciągły, nabrzmiały ogromném łkaniem, przeraźliwy, jak jęk, srebrny, jak dzwonek, ręką kościelnego sługi poruszany przy łożu śmierci...

..... A mnie się zdało, że usłyszałem wielki krzyk pożegnania, który po-za mury więzienne rzucił światu człowiek — stracony.

# DZIWAŁ

Nowella

Nie jestem artystą, nie powiem nawet, że bym był znawcą i szczególnym miłośnikiem dzieł sztuki, bo od studyów nad nimi odciągały mnie najprzód prace naukowe, potem obowiązki i zatrudnienia, do zawodu mego przywiązane; a jednak, przechodząc przez wielką salę, zawierającą część głównej kancelaryi rządowej miasta naszego, pożałowałem nieraz, że na czas pewien przynajmniej stać się nie mogę malarzem.

Pyszny-bo też byłby obraz rodzajowy, przedstawiający tę wielką szarą przestrzeń, objętą ramami ścian ceglasto różowych, nagich, jak nędza, brudnych jak łachman żebraka, chropowatych, jak oblicze zgrzybiałego starca. Nad ścianami, niby niebo ciężko chmurne, rozpościerał się sufit popielaty od pyłu, splamiony pośrodku olbrzymią rozetą, która w myśli niefortunnego malarza przedstawiała wdzięczny snop wschodnich arabesek, a w której jedni mniemali rozpoznawać lecącego nietoperza, inni morskiego głowonoga, a inni jeszcze bajecznego smoka. Co do mnie, przechylałem się stanowczo na stronę głowonoga, a ile razy zdarzyło mi się spojrzeć w górę i spotkać się wzrokiem z wiszącym u sufitu, od pyłu galaretowato wyglądającym, cielskiem malowanego potwora, doświadczałem nieuchronnie takiego wrażenia, jak gdyby wyciągnął on miał wnet liczne swe, długie, kręte macki, spuścić je w dół i, jak w olbrzymiej bajce francuzkiego poety owijał nimi członki *pracownika morza* — owinąć i ścisnąć pochylone szyje pracowników biura.

Była też tam pracowników tych atramentowego morza ilość niemała. Po kilku, po dwu, lub pojedynczo, siedzieli oni przy gęsto rozstawionych żółtych stołach. Jeżeli spojrzeli na prawo, wzrok ich zatapiał się w widniejącej przez drzwi szeroko roztwarto długiej perspektywie sal szarych, monottonnych, podobniutkich do tej, w której przebywali sami; jeżeli obejrżeli się na lewo, mętne spojrzenia ich odbijały się o mętniejsze jeszcze szyby trzech wielkich okien, wychodzących na podwórko bez słońca i błękitu, obudowane wysokimi murami, wybrukowane nierównymi kamieniami, ze studnią, wałem śmieci otoczoną, pośrodku, ze stosami porąbanego, zczerniałego drzewa dokoła.

Gdyby wraz z otoczeniem powyższym przenieść jeszcze na płótno twarze i postacie wszystkich tych ludzi, był-by to już nietylko obraz rodzajowy, ale studium psychologiczne... tak, nie cofam wyrażenia mego... było-by to studium psychologiczne; w ciałach tych bowiem niepozornych, chudych, okrytych szarą, ubogą często odzieniem, zaopatrzonych w mętne źrenice, w blade oblicza, w przygarbione grzbiety i zwiędłe, ukradkiem poziewające, usta, przemieszkiwały duchy, z których każdy miał swą historię, cicho płynącą, nieznaną historię skromnych nadziei i ciężkich zawodów, uciech drobnych i nudy olbrzymiej, westchnień skrytych, łez częstych, trosk dokuczliwych i rzadkich uśmiechów.

Ale któż kiedy, prócz szupłej chyba garści pracowitych szperaczy i skrupulatnych pedantów, przyglądać się chciał niskim pełzaniem drobnego robaka? Przynajmniej jest stokroć weselej, ciekawiej, ścigać spojrzeniem podniebny lot orła, lub, z dała naturalnie, patrzeć, jak powiew potężnego wiatru igra z potężnymi falami lwiżej grzywy! Uwaga nasza, z pewną domieszką instynktowego uwielbienia, zwraca się zwykle ku monarchom wszelkich królestw przyrody... ku rozwiewającym się fałdom purpurowych płaszców, ku połyskującej stali pancerza, lub przynajmniej ku nieposzlakowanej bieli batystowej chustki, wyglądającej z kieszeni nieposzlakowanie czarnego fraka.

Nie należę z natury do owiej większości śmiertelnych, lubującej się w wyłącznym rozważaniu każdego fałdu atlasowej szaty, każdego poruszenia wytwornych postaci, każdego westchnienia, szemrzącego w piersi przez los pieszczonęj; a jednak przyznaję się otwarcie, że, zajęty powszednimi i niepowszednimi sprawami, przez dobre lat dziesięć uczęszczałem codziennie prawie do głównej kancelaryi naszego miasta, nie znając z bliska żadnego z przebywających i pracujących w niej ludzi i nie usiłując zawierać z nimi ściślejszej znajomości nad tę, która z interesów, bieżących wypływała.

To też i Joachima Czyńskiego nietylko nie znałem, ale ni razu nie zatrzymałem przy dłuższego spojrzenia na głowie jego, pochylonej nad stosem papierów, okrytej gęstymi, długimi włosami, wśród których kruczej czarności, srebrzyły się szerokie, śnieżne pasma

siwizny. Gęstość, długość włosów tych, jak też i jaskrawo niemal rzucające się w oczy połączenie w nich kruczój czarność z srebrzystą białością, były jedynymi cechami powierzchowności, które głowę tę wyróżniały z pomiędzy mnóstwa głów otaczających. Czoło jego, żółtawo-blade i kilku poprzecznymi zmarszczkami zarysowane, policzki wklęsłe i starannie wygolone, wargi wąskie, zwiędłe, z opadającymi w dół końcami, po raz pierwszy ujrzałem wtedy, gdy, nieśmiałym ruchem podnosząc się z krzeselka, na którym siadywał zwykle, również nieśmiałym, przytłumionym głosem wymówił:

— Jeżeli-by Pan Dobrodziej życzył sobie... jeżeliby pan pozwolił, mógł-bym podjąć się przepisywania papierów Pańskich!

Była to odpowiedź na pytanie, zadane przeze mnie naczelnikowi stołu: czy pomiędzy podwładnymi mu kancelistami nie zna kogo, kto-by mógł i chciał przepisywać papiery, dotyczące się spraw, przeze mnie prowadzonych. Kopista, którego używałem dotąd, otrzymał wyższą posadę, i mozolnego tego środka zarabiania potrzebować przestał. Pytanie to zadane było dość głośno, aby go ludzie, kilka stołów obsiadający, usłyszeć mogli.

Zaden z nich przecież nie podniósł głowy i nie zwrócił uwagi na przedstawienie moje. Byli wszyscy zbyt zajęci snadź, zbyt leniwi, lub zamożni, aby obarczać się ciężarem nowych prac i obowiązków. — Nie miał-byś pan z żadnego z nich wielkiej pociechy! Hultaje i bazgrzą, jak kury! — szepnął mi do ucha naczelnik stołu, niski, rumiany człowieczek, z jowialną fizygnomią, który sam miał za zasadę przychodzić do biura ostatnim i opuszczać je pierwszym, a podpis swój na papierach urzędowych, a nawet listach prywatnych, przyozdabiać niezliczoną ilością niezmierzonej długości wykrętasów.

Miałem już wraz z przedstawieniem mém przejść do innej sali, gdy ze zwiędłych ust kancelisty, o kruczych i srebrzystych włosach, wyszły ciche, wyżej powtórzone wyrazy.

— To, to, to! możesz pan spuścić się na Czyńskiego! — zawołał naczelnik stołu — pierwszy to kaligraf i ortograf w całym biurze! pracowity, jak wół, akuratywny, jak zegarek! ale, niech mnie dyabli wezmą, jeśli wiem, jakim sposobem podoła on tej nowej robocie! Dość panu powiedzieć, że jest on moim pomocnikiem, a do tego przepisuje papiery od czasów już niepamiętnych dwom, czy trzem, pańskim kolegom! Żebym był na twoim miejscu, Czyński, nigdy bym się tak straszliwie pracą nie obarczał; ale prawda! zarobek jest smaczną rzeczą, mianowicie, gdy ktoś lubi odwiedzać często wekslarnie i dwa razy na rok kuponiki u bilecików odcinać, aby za nie nowe bileciki kupować...

Śmiał się, mówiąc to, naczelnik stołu, a w zakończeniu mowy swój szepnął mi na ucho:

— Dusigrosz, jakich mało! kapitalista! powiadam panu, Krezus prawdziwy!

Patrzałem na przedstawionego mi w ten sposób człowieka z niezwykle zajęciem. Jedną ręką wsparty o stół, w drugiej trzymając pióro, do połowy uczernione atramentem i nisko nad papierem zwieszone, stał on w postawie pochylonej nieco, wyczekującej i nieśmiałej. Nikt na świecie nie mógł być mniej podobnym do kapitalisty i Krezusa. Prostopadle nad miejscem, na którym siadywał on zwykle, a teraz stał, rozwijało się pod sufitem jedno z najdłuższych i najkrótszych ramion malowanego głowonoga. Mogło-by się też zdawać, iż ramię to oddawna wpiło się w ciało jego i wyssało z niego całą siłę żywotną, wszystkie młode, męskie zdrowie, tak chudą i wyniszczoną wyglądała postać jego, pod okrywającym ją szarym surdudem, tak kościstymi, przezroczystymi były ręce jego, tak pozbawioną krwi i życia była barwa jego twarzy. Obok piętna trudów, ciężkich i długich, jak życie, twarz tę przyoblekał wyraz ciszy głębokiej, na-pół martwej. Z pod brwi wypukłych, gęstym, siwiejącym włosiem obrosłych, zapadłe oczy jego niepewnie błędziły po twarzy mojej, a na głębi czarnych źrenic, pod powierzchnią cichą, jak twarz cała, błyskało monotonne, lecz żywe, światło. Był-że to ogień namiętnej chciwości, który rozpałał w ten sposób dno zmoczonych źrenic i oświecał blade, martwe rysy kancelisty, zwanego Krezusem? Zdawało mi się, że tak nie jest, że w świetelku owym, migocącym mu w oku na kształt drżającej, drobnej gwiazdy, świecącej wśród mrocznego nieba, a także w całej, ascetycznie niemal wyglądającej postaci jego, więcej było marzenia, niż namiętności, oderwania od dóbr ziemskich, niż ich pożądania. A jednak mylić się nie mogłem. Znać było, że odpowiedzi mojej oczekiwał on z żywym niepokojem, że gorąco pragnął, aby umowa, zapewniająca mu dochód stały i dość znaczny, zawarta pomiędzy nami została. Człowiek ten widocznie pożądał pieniędzy, ale poco? w jakim celu? Musi być zapewne

obarczony rodziną! — pomyślałem i w kilkunastu słowach zawiadomiłem go o rodzaju, ilości i warunkach przedstawionego mu zajęcia. Znał się dokładnie na rzeczy i zgadzał się na wszystko, pojmowanie słów moich i zgadzanie się na nie, objawiając powolnym nachyleniem głowy. Przy końcu rozmowy, skłonił się z niezręcznością, właściwą ludziom nieśmiałym i towarzyskiej oglądy pozbawionym, poczem usiadł na swém krzeselku i gorliwie zajął się swą, opuszczoną na chwilę, kancelaryjną robotą. Nad pochyloną głową jego unosić się zdawało w powietrzu długie galaretowate ramię zwieszzonego u góry potwora, ale on, szybko wodząc piórem po papierze, nie zważał na nie, jak też słyszeć nie zdawał się szemrzących dokoła, a ku osobie jego zwróconych, żartów i ucinków.

— Samson nasz wziął sobie na plecy jeszcze jeden kamień! — szeptałem niby, ale z dość głośnym chichotem, zażartował przy sąsiednim stoliku wysoki, chudy kancelista, ze złośliwym okiem i żółciwą cerą.

— Grosiwo, kochane grosiwo, cudów dokazuje! — odszepnął kolega inny.

Ktoś trzeci uczynił palcami ruch, naśladujący otwieranie się i zamykanie nożyc, przy czém ustami naśladował szelest krajanego papieru.

— Tak! tak! — uśmiechnął się człowiek o żółciwej cerze — kuponiki! kuponiki! błoga to rzecz! niech-by jednak spróbował mieć, jak ja, trzy córki i dwu synów w domu, zobaczyli-byśmy, czyby potrafił zdobyć się choć na jeden nędzy, storublowy bilecik!

— To prawda! i poco temu staremu pieniędzy tyle! — zauważył, ciszej jednak od innych, młody chłopak, którego ubiór staranny i twarz delikatna znamionowały obywatelskiego syna, smutną koniecznością przykutego do biurowej pracy.

Z uśmiechem żartobliwym na ładnej twarzy, zbyt krótko jeszcze przebywającej śród ścian kancelaryi, aby stracić mogła świeży, zdrowy koloryt, wyniesiony z rodzinnej wioski, młodzieńki kancelista zwrócił się ku piszącemu wciąż gorliwie, starszemu koledze.

— Ach panie Joachimie! — zawołał z żartobliwem westchnieniem, — pieniądze sypią się na pana prawdziwie jak z rogu obfitości! Ot teraz i pan Rolicki dostarczać ci będzie miesięcznie okrągłej sumki za to przepisywanie! A mnie w przeszłym tygodniu nie chciałeś pan nędznych 20 rubli pożyczyć, kiedym cię o to tak pięknie prosił!

Stałem o kilka kroków od miejsca, na którym siedział Czyński i zajęty przeglądaniem kilku, wręczonych mi przed chwilą, dokumentów, słyszałem wszystkie powyższe szepety i śmiechy; mimowolną też zjęty ciekawością, spojrzełem kilkanaście razy na nowego mego kopistę, chcąc dojrzeć, jakie sprawiają one na nim wrażenie. Niepodobna było, aby nie słyszał słów, wymawianych w bliskości jego, głosami lekko tylko zniżonemi; a jednak w wyrazie twarzy najlżejsza ni razu nie zaszła zmiana, nie odmalował się na niéj żaden ślad uczucia gniewu, lub chęci odporu. Widocznie przywykł już był do niechęci i lekceważącego obejścia się kolegów, albo też niedbał o nie. Zainterpelowany bezpośrednio przez młodzieńkiego, ładnego kolegę, po raz pierwszy oderwał wzrok od roboty i, nie podnosząc pióra z nad papieru, wymówił tym samym przyciszonym, nieśmiałym głosem, jakim przed kwadransiem rozmawiał ze mną:

— Przykro mi było, bardzo przykro, kochany panie Leonie, odmawiać ci téj drobnej, drobnutkiéj przysługi, ale... ale doprawdy nie wiem, czy dobrze-byłem uczynił, dając ci pieniądze na to, abyś kupował glansowane rękawiczki sobie i cukierki paniątkom...

Słowa te wydać się mogły pedantycznymi, niegrzecznymi, gdyby nie dźwięk głosu, w którym nie było ani cienia kaznodziejstwa, ani drgnienia sarkazmu lub złośliwości. Przeciwnie, łagodność, nieco smutna, niepewność siebie, dochodząca do nieśmiałości, były jedynymi cechami przyciszonego głosu tego.

Młodzieńki pan Leon wybuchnął przymuszonym nieco, jak mi się zdawało, śmiechem.

— Trudnoż-bo doprawdy, — zawołał, — aby wszyscy ludzie na świecie, jak ty, szanowny panie Joachimie, chodzili bez rękawiczek i od kobiet uciekali!

— I rumianek zamiast herbaty pili! — podszeptał ktoś z boku.

— I cztery godziny na dobę spali, a dwadzieścia pisali, aby tylko jak najwięcej grosiwa zarobić! — zakończył kolega, o apatycznej twarzy i leniwych ruchach.

— A któż to widział, panie Joachimie, — zaśmiał się milczący dotąd sam pan naczelnik stołu, — takie niegrzeczne prawdy mówić ludziom w oczy, jak ta, którąś p. Leonowi powiedział.



Czyński, który, dawszy odpowiedź młodziutkiemu koledze, jął się znowu roboty swęj i pisał zawzięcie, podniósł znowu wzrok, ale tym razem zmieszany bardzo, niemal zalek-niony.

— Czy powiedziałem co niegrzecznego? — zapytał z większą jeszcze, niż zwykle, nieśmiałością; — przepraszam, bardzo przepraszam! ale myślałem doprawdy, że to tak naturalnie...

— Co? Co jest tak naturalnem? — zapytało kilka głosów.

— Mówić prawdę, — odparł zapytany.

W odpowiedzi téj było coś tak doskonale, tak dziecięco naiwnego, że wkoło trzech czy czterech stolików zabrzmiał śmiech chóralny, a ja także od uśmiechu powstrzymać się nie mogłem.

Nad ogólnemi śmiechami zapanował dość ostry tym razem głos kancelisty, o wysoki-  
ej, chudej postaci i żółciowej cerze. Mrugając małemi, złośliwemi oczkami i uśmiechając się, filuternie niby, lecz w gruncie zjadliwie wymówił:

— Mój Boże! ja przynajmniej nie noszę rękawiczek nigdy, chyba wtedy, gdy idę do którego z moich zwierzchników, lub z żoną i córkami na herbatę do znajomych, i cu-kierków panienkom dalibóg nie kupuję, świadkiem jejmość moja, która-by na nadużycia podobne nie zgodziła się, z pewnością; a jednak szanowny pan Joachim odmówił i mnie pożyczki stu rubelków, gdym go o nią przed jesienią jakoś prosił...

Czyński chciał widocznie odpowiedzieć, tłómaczyć się, ale, zrażony złém powodze-niem odpowiedzi, danéj p. Leonowi, wahał się i walczył z sobą, otwierał parę razy wargi zwiędłe i zamykał je. Zebrał się jednak na śmiałość i rzekł głosem, tak nieśmiałym, tak zniżonym, jakby nie tylko już usprawiedliwiać się, ale i prosić chciał o coś, i za coś prze-praszać.

— Bóg mi świadkiem, panie Wincenty, że nie żałował-bym... nie żałował-bym téj sumki... gdybym... gdybym mógł być pewny, że użyjesz jéj na umundurowanie i oddanie do gimnazjum twego Stasia...

Przy wymawianiu zdrobniałego imienia syna kolegi, pierwszy raz, od kiedy nań pa-trzałem, uśmiech przewinął mu się po ustach.

— Stasia... — kończył, — wiesz, panie Wincenty, że to chłopak zdolny... o! jaki zdolny... ładny, jak cherubin... gdybyś go tylko chciał...

Nie dano mu dokończyć. Zaśmiano się znowu chórem; tym razem jednak śmiechy i żarty zwróciły się ku ojcu Stasia, który, jak wnieść mogłem ze słów ztąd i z owąd rzu-canych, nieszczęśliwą rozciągał pieczę nad rodziną swą i jéj przyszłością.

Słowa te wywołały szczególną zmianę na twarz Czyńskiego, wstrząsnęły nią. Głębo-kie poprzeczne bruzdy na czole jego drgnęły, iskierka migocąca na dnie źrenic rozpałiła się w płomień gorący. Nie było tu przecież oznaki gniewu, zniecierpliwienia, ani żadne-go ujemnego, przykrego uczucia. Owszem zdawać-by się mogło, że słowa, wymówione ze złośliwą intencją, wypadkowym sposobem poruszyły w piersi człowieka tego strunę głęboko przed oczyma ludzkimi utajonych, lecz dla niego samego drogich nad wyraz, nadziei jakichś, marzeń, pragnień; bo na twarz jego cichą, martwą niemal, spadł nagle rozjaśniający ją blask, nie radości jeszcze wprawdzie, ale błogiego jéj przedsmaku. Nie odpowiadając nic na złośliwą zaczepkę, zdając się nawet zapominać o niéj, jak i o wszyst-kiém, co działo się dokoła, Czyński podniósł w górę spojrzenie z takim wyrazem, jakby szukał błękitów niebios, aby zawiesić pod nimi również błękitne, idealne jakieś marze-nie. Spotkawszy się jednak z szarym tułowem wiszącego u sufitu głowonoga, wzrok jego schylił się z wolna i utkwiał znowu w okrywającéj żółty stolik szaréj bibule...

W téj chwili wezwano mię do sali sądowéj, gdzie bronić miałem dnia tego trudną, i zawiklaną sprawę jednego z moich klientów. Kiedy zaś po dwóch przeszło godzinach, zajęty innemi już całkiem myślami i zapominając prawie o istnieniu Czyńskiego, prze-chodziłem znowu przez salę kancelaryi, panował w niéj ruch niezwykły. Pora zajęć koń-czyła się, urzędnicy wszech stopni tłumnie opuszczali biuro. W przedpokoju zobaczyłem Czyńskiego, nakładającego wielki płaszcz z peleryną, z taniego bardzo materiału spo-rządzony i dobrze już wynoszony. Pod ramieniem trzymał starą jak świat, obdartą tekę, wypchaną papierami, oczy miał spuszczone i, nie patrząc na nikogo, dążył ku drzwiom od wschodów, przy których, wesóło rozmawiając z kolegami, w kosztowny obcisły pal-tot ubrany, stał młodziutki i ładny syn obywatelski, pan Leon. Spostrzegłszy idącego ku

drzwiom z pochylonym wzrokiem Czyńskiego, uśmiechnął się, mrugnął figlarnie ku kolegom i zręcznym, cichym ruchem, posunął małą ławkę, u ściany stojącą, w ten sposób, że Czyński zawadził o nią szeroką połą swego niezgrabnego watowanego płaszcza, potknął się i byłby upadł, gdyby obu rękoma nie uchwycił się za klamkę, drzwi otwartych. Drzwi wstrząśnięte zakolysały się a z nimi razem zakolysała się na chwilę, niemogąca wrócić do równowagi, wysoka, chuda postać kancelisty o kruczych i srebrzystych włosach. Za plecami jego stojący koledzy z całej siły tłumili śmiech, wzbudzony figlem pana Leona i komiczną postawą ofiary jego, szamocącej się przy drzwiach w swym wielkim płaszczu.

Myslałem, że tym razem przynajmniej Czyński okaże gniew, urazę, skarci prześladowających i wyśmiewających go kolegów, słowem lub przynajmniej spojrzeniem. Ale nie obejrzał się on nawet na nich. Jakby nie domyślając się, że wypadek, który go spotkał, był dziełem złośliwej ku niemu niechęci, albo nic wcale z niej sobie nie czyniąc, przestąpił on próg przedpokoju, i milczący, nieporuszony, ze schylonym wzrokiem i jednostajną wciąż ciszą na twarzy, zstępował ze schodów. Na ulicy świeciło pogodnie słońce zimowe, powietrze było lekko mroźne, czyste, orzeźwiające. To też ludzie, którzy wysypali się z bramy urzędowego gmachu, zdawali się raźnie prostować swe członki, zdrętwiałe przy długim nieruchomym siedzeniu, i szerokiemi oddychaniem leczyć płuca, pojone przez dzień cały kurzem i atramentową wonią. Szli pośpiesznie po dwóch, po kilku, układając się w grupy wedle stopni zażyłości lub podobieństwa charakterów; rozmawiali głośno o tém, jak każdy z nich najprzyjemniej spędzić może wieczór, następujący po dniu wcale nieprzyjemnym; młodzi ukradkowe spojrzenia rzucali na chodzące chodnikiem młode kobiety, starsi zwracali się, kolegom i przyjaciółom z rodzinnych lub finansowych kłopotów swych, czy nadziei. Czyński szedł sam jeden. Wśród kilkudziesięciu ludzi tych, z którymi wiązała go wspólna praca, nie miał on widocznie nietylko przyjaciela, ale nawet żadnego bliższego znajomego. Srogi ostracyzm jakiś zdawał się ciążyć na postaci tej, w niezgrabny płaszcz ubraniej, przesuwał się chodnikiem jak najbliższej ścian domów, samotnie, z wolna, z ustami milczącymi, z powiekami spuszczone pod daszkiem czapki stariej, wyszarzaniej.

— Jak uważam, pan Czyński nie cieszy się wśród panów wielką sympatyą, — rzekłem do naczelnika stołu, który, dopędziwszy mię na ulicy, usiłował prowadzić ze mną rozmowę.

— Dziwak, nieuczynny i nietowarzyski w najwyższym stopniu! — odpowiedział mi urzędnik, o rumianej, jowialnej twarzy. — Z nikim nie żyje, po całych nocach siedzi, jak szczur zagrzebany w papierach, byle zarobić jak najwięcej grosza, który dusi w skrzyni, najdrobniejszej pożyczki nawet kolegom odmawiając. To też powiadam, szanownemu panu, Krezus z niego prawdziwy!

— Ileż Krezus ten mieć może naprzykład zebranych pieniędzy?

— Któż to może wiedzieć? Niemy jest jak ryba i nikt od niego o niczem dowiedzieć się nie może. O ile jednak wiedzieć możemy od wekslarzy, u których nabywa rządowe bilety, musi już tam być tego jakich najmniej sześć albo ośm tysięcy rubli.

Były to w istocie dla kancelisty, pobierającego miesięcznej płacy mniej niż trzydzieści rubli, oszczędności bardzo znaczne.

— Może on ma liczną rodzinę, której chce przyszłość zapewnić? — zagadnąłem.

— Gdzie tam, panie. Gdybyż tak było, nikt-by się, mu nie dziwił. Ale człek nieżonaty, siostrę tylko ma przy sobie... jaką siostrę! Boże odpuść!

Przy wzmiance o siostrze, rumiany naczelnik stołu z wyrazem zawstydzienia spuścił swoje jowialne oczy.

— Któż to taki ta siostra Czyńskiego?

— At, Boże odpuść! wstyd i mówić o takich rzeczach i o takich osobach! Z błota ją wywlokł i trzyma u siebie, jak co dobrego! Ot, prawdę powiedziawszy, ta siostra Czyńskiego, wstyd nam wszystkim, jako kolegom jego, przynosi!

— Czy jest to osoba tak zła, zepsuta?

— Stare to teraz i brzydkie, jak siedm grzechów, ale za młodu były tam z nią, panie dobrodzieju, historye takie, o których wstyd i mówić. Niech pan dobrodziej będzie pewny, że nikt z nas nie podał-by ręki siostrze Czyńskiego, i że żadna z żon naszych ni córek za nic w świecie nie ukłoniła-by się jęj na ulicy. Spodziewam się, że pan zrozumiał już,

co to za kobieta i jaki to człek, bez ambicyi ni honoru, ten brat, który mógł jój podobne rzeczy przebaczyć, a teraz żyje z nią pod jednym dachem i w najlepszej zgodzie!...

Stosunek mój z Czyńskim trwał już od roku blisko, a ja nietylko, że nie dowiedziałem się o żadnych bliższych szczegółach charakteru jego i domowego życia, ale i nie myślałem wcale dowiadywać się o nie. Parę razy na tydzień, niekiedy częściej, przychodził on do mnie dla zabrania lub odniesienia papierów, których przepisywaniem się trudnił; punktualnie, jak zegarek, wchodził zwykle we wczesnych przedpołudniowych godzinach do gabinetu mego, kłaniał się niezgrabnie, siadał na krzesło, najbliżej przy drzwiach umieszczonem i, milcząc, czekał na me zlecenia. Otrzymawszy je, kłaniał się, powtórnie i odchodził tak milcząco, zwolna, jak przyszedł. Twarz jego i ruchy ożywiały się wtedy tylko, gdy przyjmował z rąk moich za pracę swą wynagrodzenie miesięczne. Wtedy światło owo, które monotonicznie paliło się pod cichą, mętną powierzchnią jego źrenic, błyskało żywiej, kąty warg, w dół zwykle opadające i nadające ustom wyraz melancholijny, podnosiły się nieco, zarysowując ledwie dostrzegalny uśmiech, chód i postać cała zdawały się nabierać różności i siły. Wtedy też stawał się on nieco śmielszym i rozmowniejszym. Raz, gdy po wręczeniu należnej mu sumy, zatrzymałem go jeszcze na chwilę w celu wydobycia z szuflady papierów, które wziąć miał ze sobą, usiadł na zwykłym miejscu swém przy drzwiach, i uważnemi zaciekawionemi oczyma przyglądał się, stojącym na rogach biurka, dwom wazonom z białego marmuru.

— Przepraszam pana, — ozwał się zwykłym sobie przyciszonym głosem, — co to takiego?

— Są to naczynia, w które latem wkładają się kwiaty.

— Kwiaty? — wymówił tonem takiego zdziwienia, jakby nie wiedział lub przynajmniej zapomniał, co wyraz ten oznacza.

— Kwiaty! — powtórzył raz jeszcze cichym szeptem i, nie spuszczać oczu z marmurowych naczyń, parę razy przechylał głowę, z boku na bok, poczem bardzo już nieśmiałym głosem zaczął znowu:

— Przepraszam pana...

— Co? panie Czyński.

— Ile naprzykład kosztować mogą te... te rzeczy?

Wymieniłem mu dość znaczną sumę, którą zapłaciłem za przedmioty, budzące w nim widoczną ciekawość, połączoną ze zdziwieniem. Zdziwienie to wzrosło.

— A! — wyrzekł głośniejszym niż zwykle.

— Czy znajdujesz pan, że wazony są za drogo kupione? — zapytałem, chcąc przedłużyć rozmowę, bo bawiła mnie nieskończenie mina i postawa mego kopisty.

— Nie wiem, prawdziwie nie wiem... dziwi mię tylko, jakim sposobem ludzie mogą na rzeczy podobne wydawać tyle pieniędzy.

Przypomniałem sobie owę admonicę, daną w biurze przez Czyńskiego młodzieńkiemu panu Leonowi za glansowane rękawiczki i cukierki dla pańienek; uśmiechnąłem się wewnętrznie.

— Są ludzie, — rzekłem, — którzy potrzebują mieć przed oczyma swemi rzeczy piękne...

— Piękne, — powtórzył kopista mój takim samym tonem namysłu i niezrozumienia, jakim powtarzał przed chwilą wyraz kwiaty, — czy to jest piękne? — dodał, poruszeniem głowy wskazując wazony.

Nie chciałem i nie mogłem wdawać się w rozprawy estetyczne, odrzekłem więc po prostu:

— Czyż nie czujesz pan, że naczynia te białością swą i kształtem przyjemnie bawią oko?

Wpatrzył się we mnie szeroko otwartemi oczyma, w których jednak było tym razem coś więcej niż uprzednie naiwne zdziwienie. Zdawało mi się, że uczuł się rozgniewanym, czy zasmuconym.

— Nie wiem, — rzekł po chwili, spuszczać głowę i wzruszając lekko ramionami, — nie wiem, czy oczy ludzkie potrzebują bawić się.

Ton mowy jego stał się mrukliwym i jakby niechętnym, gdy dodał:

— Jest wiele ust, które potrzebują jeść, i głów, które potrzebują uczyć się, ale oczy... ja nie wiem... poco oczom zabawa?

Rzekłszy to, powstał i, skłoniwszy się zwykłym sobie niezgrabnym sposobem, cicho wysunął się z pokoju.

Innego dnia spostrzegłem, z jaką uwagą, i zarazem z jakim zdziwieniem przysłuchiwał się on rozmowie mojej z kilku utytułowanymi klientami memi. Gdy wymawiałem tytuły: „hrabia” lub „książe”, rozkwierał szerzej oczy, wpatrywał się z kolei we mnie i w mego gościa, przechylał głowę z boku na bok. Byłem pewny, że gdyby miał dość po temu odwagi, byłby zapytał: „poco ludziom tytuły?” tak, jak pytał kiedyś: „poco oczom zabawa? Najpocieszniejszym jednak i zarazem najcharakterystyczniejszym rysem zachowania się jego była lekliwość szczególna, obawa, trwoga niemal, jakiej doświadczał wobec kobiet. Ile tylko razy, wchodząc do gabinetu mego, znajdował w nim osobę płci żeńskiej, wahał się przestąpić próg, a na usilne zaproszenie moje, przestąpiwszy go nakoniec, nie wiedział widocznie, co uczynić ze sobą, gdzie usiąść, w jaki punkt utkwic oczy. Pewnego dnia, w chwili, gdy, stojąc przy biurku, brał z rąk moich papiery, do gabinetu wbiegła młoda siostra moja z głośnym fruwaniem muslinowych falban, ze srebrzystym, przeciągłym trelem modnej ary jakiejś na ustach. Czyński cofnął się o kilka kroków i przypadł do ściany w ten sposób, jakby pragnął plecami uczynić w niej wyłom i skryć się po drugiej stronie. Na widok tej wysokiej, chudej postaci, która, z żalobnymi włosami, spadającymi na kołnierz szarego wytartego surduta, cisnęła się z całej mocy do ściany, 18 letnia dziewczyna z trudnością powstrzymała wybuch śmiechu. Spojrzałem na nią prosząco, a chcąc zatrzeć wszystko, co-by scena ta mogła mieć dla kancelisty nieprzyjemnego, zwróciłem się do niego.

— Moja siostra, — rzekłem, — życzyła sobie poznać pana...

— Poznać! mnie poznać! — wyszeptał z takim zdumieniem, jak gdyby nikt na świecie nie objawił nigdy względem niego podobnego życzenia.

Patrzył jednak na młodą dziewczynę, która, w białych muszlinach, z jasnymi warokoczami i świeżym rumieńcem wyglądała, jak żywe wcielenie wiosny. Zwrócone ku niej oczy kancelisty mrużyły się, powieki jego drgały. Młodość, zdrowie i wesołość, połączone z wytwornością stroju i układu, sprawiały mu widocznie takie olśnienie, jakiego doświadczała ludzka, pracująca w podziemnych mrokach, gdy źrenice ich spotykają się z nagłą ze światłością, dzienną i blaskiem słonecznym.

— I ja, proszę pana, mam siostrę... — wymówił nakoniec, spuszczać oczy. — Tylko że to co innego... moja siostra jest już niemłoda... trzy lata tylko młodszą odemnie... kiedyś... kiedyś była także... ale teraz... to zupełnie co innego... zupełnie co innego...

Rzekłszy to, powstał, wziął papiery i, oddawszy niezgrabniejszy niż kiedykolwiek ukłon, wyszedł z pokoju.

— Biedak! — poprawiła mię siostra.

Wrażenie, które sprawił na Czyńskim widok młodzieutkiej, wesołej siostry mojej, niczym było przecież w porównaniu z tym, którego doświadczył on, znajdując dnia pewnego w gabinecie moim panią Różę Trońską. Oddawna znana mi szanowna ta dama, właścicielka sporego folwarku i matka czworga dorastających dzieci, z największym właśnie zapałem opowiadała mi o strasznych, niepojętych, pomsty niebieskiej wzywających, nadużyciach i krzywdach, jakich dopuszczali się względem jej łąk i lasów niegodziwi, bezbożni sąsiedzi, a szeroko rozpościerając na kanapie suknię z cieniuchnej i taniiej, lecz jedwabnej materyi, i żywo gestykulując małemi, pulchnemi rączkami, ubranemi w zbyt ciasne rękawiczki, wzywała mię, abym poruszył niebo i ziemię w celu wyjednania dla niej jak najszybszej pomsty, gdy na progu pokoju ukazał się ze swą starą, papierami wypchaną teką pod ramieniem, Joachim Czyński. Na widok jego, z rumianych i okrągłych ust szanownej damy, oprawionych w również rumiane i okrągłe policzki, wyrwał się wykrzyk takiego zdziwienia, jak gdyby stanęło przed nią widmo znaniej kiedyś, lecz dawno już w grobie pochowanej osoby. Ale i na długą, bladą, chudą twarz kancelisty, wytrysnął błyskawicznie krótki, lecz szkarłatny, rumieniec. Gdy zniknął, twarz ta stała się bledszą jeszcze, niż zwykle. Powieki i usta jego drżały, bruzdy na czole poruszały się i falowały, miotane jakby burzą myśli, czy wspomnień, w głowie powstała. Stał w drzwiach, jak przykutym do miejsca, z oczyma błędzącymi niepewnie po twarzy pani Róży. Widocznie nie wiedział znowu, co ze sobą uczynić; postąpić na przód nie miał siły, cofnąć się nie śmiał.

— Mój Boże! — rozpościerając szeroko ramiona, i wraz ze swoją jedwabną suknią miotając się na kanapie, wołała dama, której żywość temperatury i skłonność do wykrzykników były mi dobrze znane; — mój Boże! na tym świecie to widać góra z górą tylko zejść się nie może, a ludzie muszą spotykać się, choć-by ich góry i morza dzieliły! Czy ja się spodziewałam kiedy zobaczyć pana Joachima! Ale, jak widzę, pan Joachim chyba mnie nie poznaje!

Kancelista podniósł głowę i postąpił krok na przód.

— Ja pani nie poznaję? — wyszeptał zwykłym sobie tonem zdziwienia; — jakże ja mógł-bym pani nie poznać?

Kobięta zaśmiała się. Śmiech jej przecież był widocznie przymuszony, a błękitne oczy, które kiedyś musiały być piękne, srebrzyły się wilgocią.

— No, któż ja jestem? — wołała zwykłym sobie donośnym głosem, lecz w którym drgała rzewna jakaś nuta, — niech pan Joachim powie moje nazwisko, to-wtedy przekonam się, że mię poznał.

— Pani Róża! — szepnął kancelista, drżącym ramieniem cisnąc do boku obdartą tekę.

— Poznał! rzeczywiście poznał mię! — zawołała kobięta, splatając ręce, a zwrócona już do mnie, mówiła dalej. — Pan dobrodziej bo nie wie o tém, że my z panem Joachimem jesteśmy znajomi od wieków, i gdyby nie pewne okoliczności... no! ale co to już o tém mówić! co było a nie jest, nie pisze się w registr! tylko, że ja mam takie serce, które gdy raz kogo polubi, to już na zawsze życzliwem mu zostaje, ot, i teraz, jak zobaczyłam pana Joachima, wydało mi się, że jestem sobie jeszcze 18-letnią panienką, i że w różowej sukience, (jak dziś pamiętam, że miałam na sobie wtedy różową sukienkę), siedzę, przy mojej nieboszczce mamie, w bawialnym pokoju mojej nieboszczki stryjenki, a pan Joachim zaprasza mię do tańca...

Myśl o tém, iż niezgrabny i dziko nieśmiały kopista mój, o wycieńczonem ciele i włosach żałobnych, mógł kiedykolwiek zapraszać do tańca młode, różowo ubrane panienki, wydała mi się tak komiczną, że, z mimowolnym uśmiechem i żartobliwem słowem na ustach, zwróciłem się ku miejscu, na którym przed chwilą stał Czyński.

— Gdzież jest pan Joachim? — zawołała pani Róża.

Nie było go już w gabinecie. Przez parę drzwi roztwartych zobaczyłem, jak w przedpokoju, w dziwnie pochylonej, złamanej postawie i, ze szczególniejszym u niego, pośpiechem, kładł na ramiona swój wielki wатовany płaszcz z peleryną. Na biurku mojem leżały przepisane papiery, które odnosił mi dnia tego. W zegarkowej akuratności swój nie zapomniał, pomimo widocznego, silnego wzruszenia, położyć ich na zwykłym miejscu, lecz sam, bez pożegnania i najlżejszego, szelestu wysunął się z pokoju. Po chwili za przygarbionemi plecami jego i zwisającą na nich wielką peleryną, zamknęły się drzwi, do sieni wiodące.

— Uciek! — wymówiła pani Róża nie bez pewnego, jak mi się zdawało, żalu w głosie. — Zawsze był nieśmiały, ale jakże się zmienił! Zaledwem go poznać mogła! Czy wie pan dobrodziej, że przed dwudziestu kilku laty, to jest wtedy, gdyśmy się znali, był wcale przystojnym mężczyzną. Cerę miał wprawdzie i wtedy żółtą trochę i ruchy niezgrabne, ale oczy wcale piękne, wyraziste, włos bujny i głos, choć zawsze cichy jakiś i jakby nieśmiały, ot, tak prosto do serca idący. Dość powiedzieć panu dobrodziejowi, że kiedy oświadczył się o mnie mojej nieboszczce mamie...

Tu Pani Róża przerwała mowę swą i zachichotała z cicha, spuszczać oczy.

— Ot, i wygadałam się! — zawołała. — No, cóż robić! słowo się rzekło; takie to zresztą dawne czasy, że już o nich nie grzech, a czasem to i przyjemnie, pomówić. Otóż trzeba panu dobrodziejowi wiedzieć, że pan Joachim, jak tylko zobaczył mię wtedy, na wieczorze u nieboszczki stryjenki, zaraz zakochał się we mnie na zabój. Tańczył, co prawda, bez taktu, i rozmowny bardzo nie był, ale tak mu jakoś pocziwie z oczu patrzyło, i tak mi głos jego do serca przypadał, że sobie i ja w nim nieco upodobała. A ojciec mój, jak to panu dobrodziejowi wiadomo, był wtedy „naczelnikiem stołu” w tém samem biurze, co i pan Joachim, i miał o nim bardzo dobre wyobrażenie. Było nas zresztą siostr czterech. Gdzie-by tedy wszystkim, i bez grosza posagu, w dodatku, za wielkich panów powychodzić! To téż, kiedy pan Joachim oświadczył się o moje rękę, nieboszczyk ojciec powiedział: dobrze! nieboszczka mama powiedziała: dobrze! a co się tycze mnie, to,

popłakawszy trochę, nie ze smutku, bynajmniej, ale ot, tak sobie, z rozczulenia, powiedziałam także: dobrze! Zaręczyliśmy się, xiądz dziekan Szczepiński włożył nam na palce obrączki, nieboszczka mama zaczęła myśleć o wyprawie dla mnie, i wszystko szło pięknie, ślicznie; gdy nagle pan Joachim wyjechał dokąd-cis na dni kilka, i powrócił z jakąś swoją siostrą...

Tu pani Róża zakaszła ze zmieszaniem, popatrzała chwilę na rozłożone szeroko fałdy swój sukni i, pochrząkując lekko, zaczęła znowu:

— Czy pan dobrodziej nie słyszał nic o tej siostrze Czyńskiego? Ludzie mówili o niej wtedy bardzo brzydkie rzeczy, i dość powiedzieć, że nikt jej na ulicy głową nawet kiwnąć nie chciał. Już ja panu dobrodziejowi i mówić nie będę, co to za kobieta ta siostra... matką dzieci jestem i nie godzi mi się o kobietach tak mówić... dość powiedzieć, że kiedy nieboszczka mama dowiedziała się o tej siostrze i kto ona taka, powiedziała, że za nic nie pozwoli, abym ja z podobną osobą pod jednym dachem mieszkała. Tedy poprosiła nieboszczyka ojca, aby z panem Joachimem stanowczo rozmówił się. „No! panie Czyński, — rzekł nieboszczyk ojciec, — wybieraj pan: żona czy siostra? obu razem w domu mieć nie możesz. Wypraw jedną, to będziesz miał drugą, albo zdejm z palca zaręczynową obrączkę!” Kiedy tak rozmawiali, ja w drugim pokoju patrzyłam przez dziurkę od klucza i myślałam, że pan Joachim trupem zaraz padnie, tak zbladł biedaczysko i tak trząśł się na całym ciecie. „No, — powtórzył nieboszczyk ojciec, — wybieraj, — panie Joachimie: żona czy siostra?” Pan Joachim długo jeszcze milczał, usta trzęsły się mu, jak listki tego drzewa, na którym to mówią, że Judasz Iskaryota obwiesił się, aż odpowiedział po cichu; „siostra, panie”. Nieboszczyk ojciec rozgniewał się bardzo. „Zdejm pan zaraz tę obrączkę z palca!” krzyknął. Ale pan Joachim stanął, jak mur. „Oddam ją pannie Róży, jeżeli ona sama żądać tego będzie!” Sądny to był prawdziwie dzień w naszym domu. Ja płakałam, nieboszczka mama to płakała, to gniewała się, nieboszczyk ojciec gniewał się i krzyczał na pana Joachima za to, że mię przed światem skompromitował temi zaręczynami i tą swoją siostrą, którą nade mnie przekładał. Ale pan Joachim stał jak mur i wciąż swoje powtarzał: „niech państwo pozwolą, abym z panną Różą pomówił. Widząc, że inaczej odczepić się od niego sposobu nie było, nieboszczka mama wepchnęła mnie do bawialnego pokoju, nieboszczyk ojciec wyszedł z domu, i my z panem Joachimem zostaliśmy sam-na-sam. Wziął mię wtedy, panie dobrodzieju, za rękę, spojrzął na mnie takim jakimś wzrokiem, że aż mnie dreszcze po ciele przebiegły, i spytał się: „Czy i pani także, panno Rózo, żądasz, abym moją siostrę z domu mego wypędził, aby módz z panią ożenić się?” W pierwszym momencie, to ot tak, panie dobrodzieju, rzuciła-bym się jemu na szyję i zawołała-bym „rób sobie, co chcesz, a ja cię, dala-bóg nie porzucę”, ale trwoga jakaś mię zjęła i szepnęłam tylko: „kiedy mama i ojciec znajdują, że nie można... Pan Joachim ścisnął rękę moją, aż zabolęła: „Panno Rózo! — rzekł, — siostra moja zginęła-by zupełnie beze mnie, a ja bez pani byłbym bardzo nieszczęśliwy!” Serce krajało mi się w kawaleczki ale i cóż uczynić miałam? trudnoż było woli rodziców sprzeciwić się, a przytém i dumną trochę byłam. Jeżeli, pomyślałam sobie, przekłada jakąś tam... nade mnie, to niechże ją sobie ma; ja znowu nie pierwsza lepsza, żeby jakąś tam... nade umie przekładać! Więc choć mię lzy dusiły, powiedziałaam: „Ja, panie Joachimie, tak jak ojciec i mama... jeżeli pan rozstanie się z siostrą, to dobrze... a jeżeli nie, to nie!” Puścił moją rękę, uklonił się i poszedł. Ach! przypominam sobie, że przy drzwiach jeszcze stanął, odwrócił się, i patrząc na mnie, wymówił cichutko: „panno Rózo!” Żeby tylko głupiego serca mego słuchała, tobym była do niego skoczyła i krzyknęła: „nie idź!” ale lękałam się i byłam bardzo obrażona. Więc stoję sobie na środku pokoju i nic nie mówię. Pan Joachim szepnął raz jeszcze: „panno Rózo!” Ja nic. Wtém podnoszę oczy... aż jego już niema w pokoju. Tak, panie dobrodzieju, rozstaliśmy się, i nie widziałam go aż do dnia dzisiejszego.

— Pani dobrodziejka wiele ucierpieć musiałaś po rozstaniu się z człowiekiem, który, jak mi się zdaje, miał istotne szczęście posiadać jój serce!

— At! panie dobrodzieju! co ja już w życiu mojem ucierpiałam, to jednemu tylko Bogu wiadomo! Co prawda, to opatrność Bozka czuwa nade mną; wyszłam za obywatela, człeka ospałego trochę, prawdę powiedziałwszy, ale uczciwego, dobrego. Ludzie mówili, że świetną partyą zrobiłam, i to jest prawdą, a jednak zsyła Bóg krzyżyki nieraz, zsyła! Ot, i teraz, proszę pana dobrodzieja, ci chłopci Ubrzańscy, czy to nie krzyż pański! las rąbią i rąbią, na łąkach bydło pasą, a mała to rzecz, panie dobrodzieju, w terażniejszym gospo-

darstwie, jeśli komu trawy zabraknie do wiosny... Nadużycie widoczne! słupy granicze są, a i plany przywiozłam tu z sobą, aby panu dobrodziejowi pokazać...

W piersi więc téj zapadłej, okrytej przybrudną koszulą i grubą kraciastą kamizelką, mieszkało kiedyś uczucie żywe, młodzieńcze, dla dziewczyny o błękitnych oczach i okrągłych, rumianych, policzkach! W głowie téj, pochylającej się codziennie nad stosami okurzonych papierów, pod zwisającym od sufitu popielatém ramieniem wstrętnego głowonoga, powstała kiedyś poważna myśl obowiązku i wystąpiła do walki z porywem miłości i pragnieniem szczęścia! W życiu tém, płynącym cicho i w cieniu, była kiedyś burza i walka, boleść serca i tryumf sumienia.

Opowiadanie pani Róży, a bardziej jeszcze gwałtowne wzruszenie, którego, na widok jój, doznawał Czyński, ukazywać mi zaczęły moralną istotę w inném nieco świetle, niż to, w którém ją dotąd widziałem. Głębie upośledzonego, kurzem niby i pleśnią okrytego życia tego, rozkwicily się nagle przede mną światłem dokonanej niegdyś ciężkiej ofiary. Że była ona ciężką, wątpić o tém nie mogłem, wiedząc z licznych spostrzeżeń, jak bardzo, jak niezbędnie pracownikom podobnego rodzaju, pozbawionym wyższego umysłowego światła, wyższych ambicyi i przyjemności ducha, potrzebnymi są ciepło, wesołość i poezya rodzinnego ogniska, jeśli życie ich nie ma być odartem ze wszystkiego ciepła, ze wszelkiej wysokości i poezyi.

Biedny Czyński! jakże posępniemi muszą być jednostajnie płynące, samotne dni jego! jak nieskończenie długie noce, spędzone nad pracą, której owoców nie dzieli on z nikim, prócz chyba z kufrem owym, będącym przedmiotem żartów i zazdrości jego kolegów. Na myśl o kufrze i napełniających go skarbach, uśmiechnąłem się mimowoli. Dziwna to rzecz, pomyślałem, jakimi drogami chodzą uczucia ludzkie! Zawiedziony w słusznych pragnieniach serca, zgnębiony ciężarem przyjętego na się, a życie mu łamiącego, obowiązku, człowiek ten rozkochał się w pieniądzech! Nie używa ich jednak na udogadnienie, uprzyjemnianie sobie życia! Jakąż więc pociechę przynosić mu mogą? Czy witają go na progu uśmiechem i pieśczołą, gdy obciążony taką swą, zgarbiony od długiej, mozolnej pracy, wraca on do domu? Czy czuwają nad nim, gdy jest chory? czy zajmują przy nim miejsce u stołu? czy rozmawiają z nim w czasie długich nocy zimowych, bez snu spędzanych? czy, kiedy tęskni i tłumi nabiegającą do oka łzę żalu po szczęściu straconém, szepcą mu do ucha wyrazy pociechy i nadziei?

Pytania te były szyderskie, lecz anim przypuszczał, jak bardzo twierdzącą otrzymują one kiedyś odpowiedź, jak często rzeczy, uważane przez nas za dzikie i nieprawdopodobne, naturalnemi są i prawdziwemi. Kiedyś, w dniu, którego wspomnienie na zawsze utkwilo w méj pamięci, dowiedzieć się miałem o tém, jaką rolę spełniał w życiu kancelisty, tak niezmordowanie zdobywany i skrzętnie zbierany przez niego, piéniędz...

Tymczasem, kierując poobiednią przechadzkę mą w stronę najuboższej, najnędniej zabudowanej dzielnicy miasta, zbliżyłem się do położonego śród niej mieszkania kopiisty mego. Pociągały mię tam, w części ciekawość, w części sympatyczne, litościwe jakby współczucie, w części interes. Pośpiesznie dnia tego i, jak się zdawało, na-pół nieprzytomnie, dom mój opuszczając, Czyński nie wziął papierów, które niezwłocznie przepisaniem być musiały. Postanowiłem zanieść mu je, a zarazem rzucić spojrzenie w domowe życie i najbliższe otoczenie jego.

Był to biedny, bardzo biedny, mały drewniany domek, którego zapłakane drobne okienka wychodziły z jednej strony na podwórko ciasne, brudne, staremi domowstwami otoczone, z drugiej na wązką, cuchnącą uliczkę. W lecie nie było tam dokoła ani źdźbła zielonej trawki, ani najdrobniejszej kwitnącej gałązki, w zimie śnieg przemieniał się w błoto, a błoto rozlewało się w szerokie kałuże.

Drzwi od małej, ciemnej sionki znalazłem otwarte. W mieszkaniu, położoném na prawo, rozlegał się gwar kobiecych i dziecinnych głosów; w tém, które było na lewo, panowała cisza. Zwróciłem się na lewo i zapukałem do drzwi.

— Kto tam? — zapytał z wnętrza niski, niekoniecznie łagodny i grzeczny głos kobiecy.

Wymieniłem nazwisko me i wnet usłyszałem brzęk odsuwanych ciężkich rygli: Po chwili stanąłem oko w oko z otwierającą mi drzwi, wysoką, barczystą kobietą.

Domyśliłem się, że jest to owa, tak złą sławę posiadająca, siostra Czyńskiego, ale nie miałem czasu uważniej na nią spojrzeć, gdyż w kącie pokoju, z nad stołu okrytego papierami, podniósł się szybko gospodarz domu, i zwykłym sobie, nierównym krokiem postąpił ku mnie. Ubrany był, jak zwykle, w szary swój wynoszony surdut i popielatą grubą kamizelkę, w brzydkie kraty malinowego koloru.

— Może źle przepisałem tę prośbę, którą dziś panu dobrodziejowi odniosłem? — zapytał, patrząc na mnie zmieszonym wzrokiem.

Powiedziałem, że z pracy jego, jak zawsze, zadowolony jestem, i że przyszedłem prosto odwiedzić go, przyczem też przyniosłem mu nową robotę.

Obejrzał się niepewnym wzrokiem po pokoju i przysunął mi krzesło.

— Niech pan dobrodziej będzie łaskaw... — wymówił.

Przybycie moje zmieszało go widocznie. Nie był przyzwyczajony do przyjmowania wizyt; czuł przecież, czy z dawnych czasów przypominał sobie, że należało gościa bawić rozmową.

— Pan Dobrodziej w taką brzydką pogodę... spaceruje... — zaczął. Chcąc uwolnić go od kłopotu prowadzenia rozmowy, zacząłem mówić o tém i owém, o zajęciach biurowych, o znajomych mi urzędnikach i t. d. W dowód uwagi, z jaką mię słuchał, a także i uprzejmej chęci przedłużenia rozmowy ze mną, skłaniał on od czasu do czasu głową, lub wymawiał: tak! tak! albo: wiem! wiem! albo też tonem zdziwienia: doprawdy?

Nie mogłem nie spostrzedz, że w powierzchowności jego zaszły dnia tego szczególne zmiany. Na chudych żółtawych policzkach swych miał on dwie plamy ciemnych rumieńców, oczy jego zdawały się głębszemi i smutniejszemi, a kąty warg niżej zwisającemi niż kiedyś. Martwa niemal cisza, będąca zwykle główną cechą jego twarzy, zmąciła się, i po raz pierwszy, odkąd go znałem, dostrzegłem w spojrzeniu jego i w zarysie zmarszczek, bruźdzących mu czoło, wyraz dolegliwego bólu, niemniej, głęboko ukrytej ale gryzącej, żalości. Wchodząc, już zauważyłem, że przy stoliku, okrytym papierami, siedział on beczynnym, z czołem wspartém na dłoni, którą okrywały opadająca na nią długie pasma żalobnych włosów. Wątpić nie mogłem, że wszystkie te, gwałtem wybijające się na zewnątrz, oznaki smutnych myśli i uczuć, były wynikami zaszłego dziś w obecności méj spotkania.

Mieszkanie Czyńskiego było o wiele mniej biednie i niedbale urządzone, niż sobie wyobrażać mogłem, wnosząc z zaniedbanego ubioru jego właściciela i najogólniej mu przypisywanego sknerstwa. Składało się ono z jednego dużego pokoju i dość obszernej także, widnej, bardzo porządnie wyglądającej kuchenki. W pokoju, oprócz kanapki i krzesełek jesionowych, znajdowały się dwa czy trzy kufry, okryte taniemi dywanikami, wielki stół, pełen papierów, i łóżko z pościelą szczupłą, twardą, lecz czystą i porządną uslaną. Na podłodze, z grubych chropowatych desek złożonej, na ścianach, pomalowanych orzechową farbą, na sprzętach, obitych ciemnym płucienkiem, nie podobna było dojrzeć najmniejszej plamki, najdrobniejszego źdźbła pyłu. Zielone kafle ogromnego pieca błyszcząły, jak szkło. W kuchence, w której wnętrzu widziałem przez drzwi na oścież otwarte, ściany były spoielaciale od dymu, a podłoga czysto wymieciona, stoły i stołki starannie wymyte, a nieliczne narzędzia kuchenne, połyskujące, z pewnym systematycznym porządkiem na półkach ustawione.

We wzorowej czystości téj i pedantycznym niemal porządku, które przyozdabiały szczupły, ubogi kącik ten, czyniąc go wygodnym i prawie wesołym, znać było rękę kobiety czynnej i o dobrobyt mieszkania jego troskliwej.

Kobieta ta, zaraz po otwarciu drzwi, udała się do kuchenki, gdzie usiadła pod oknem na stołku i zajęła się szyciem. Siedziałem naprzeciw niéj i mogłem przypatrzeć się jéj dokładnie. Była wysoka i silnych, rozwiniętych kształtów. Miała na sobie perkalową czystą spodnicę i ciemny kaftan z prostego sukna. Z pod chustki, perkalowej także, czerwonego koloru, tworzącej rodzaj czepka, z tyłu głowy związanego, włosy jéj, kruczo czarne, jak u brata, i gęsto przyprószone siwizną, kilku luźnemi pasmami opadały na czoło wysokie, pięknie zarysowane, lecz drobnemi, głębokimi zmarszczkami całkiem prawie okryte. Twarz jéj schylona nad robotą, uderzała niezwykłą ciemną śniadością cery; nie podniosła jéj ani razu, zdając się zupełnie obojętną na rozmowę, którą prowadziłem z jéj bratem.



Miałem już zakończyć rozmowę tę i odejść, gdy Czyński poruszył się na krześle z pewnym, właściwym mu, zmieszaniem, obawiającym niepokój.

— Może-by pan dobrodziej był łaskaw wypić z nami kawę...

Przypomniał sobie widocznie, że uprzejmość względem gościa objawiać się powinna nie tylko prowadzeniem rozmowy ale i traktamentem.

Chciałem podziękować i wymówić się, ale kobieta, siedząca u okna w kuchni, powstała i, położywszy robotę swą na stole, ozwała się niskim, opryskliwie brzmiącym głosem.

— Kawa zaraz będzie...

— Proszę cię, Marysiu... pan adwokat jest tak łaskaw, że częstuje mię zawsze herbatą, gdy z rana do niego przychodzi...

— No, no! — mrukliwie ozwała się kobieta — już ja tego tylko czekałam, ażebyś ty pana adwokata na kawę zaprosił. Myślałam, że swoim zwyczajem znajdziesz się, jak niedźwiedź jaki...

— Moja siostra — zaledwie dosłyszalnie szepnął Czyński — moja siostra ma charakter trochę prędki... ale to nic dziwnego... gdybyś pan dobrodziej wiedział wszystko, sambyś przyznał, że to nic dziwnego... kiedyś była bardzo łagodna... ale trudno... ludzie zrobili jej wiele złego, a i teraz...

Dziesięć minut nie upłynęło, gdy siostra Czyńskiego wyszła z kuchenki, niosąc w zgrubiałych, ciemnych rękach tackę, obdartą i splowiałą, a na niej dwie szklanki kawy z mlekiem i pokrajaną bułkę. Kiedy stawiała tackę na stole, podniosła na mnie oczy. Były te oczy ogromne, czarne, głęboko zarysowane pod brwią czarną i gęstą. Zdawała się w nich mieszać nieustanna gwałtowna burza. W ogólności zresztą, sprzecznie z powierzchownością brata, wyglądającą jak wcielona cisza, powierzchowność siostry miała pozór wcielonej burzy. Musiała być kiedyś bardzo piękną. Teraz w niezliczonych zmarszczkach, okrywających jej czoło, w goryczkowym blasku zapadłych oczu, w nieujętej goryczy, okrażającej usta, w wyrazie ciągłego rozdrażnienia, malującym się w ruchach jej i w dźwięku głosu, czytać można było długą tragiczną historią cierpień, upadków, niekończących się upokorzeń i niewygasłych żalów...

— Marysiu! — szepnął Czyński nieśmiało — może-by ciastek... wiesz? z tej piekarni...

Kobieta spojrzała na mówiącego z ostrym wyrzutem.

— Ciastek? — rzekła zwykłym sobie opryskliwym tonem — trzeba iść po nie, a wiesz dobrze, jak mi przyjemnie jest przechodzić przez ten przeklęty dziedzińiec wtedy, kiedy te wszystkie więdźmy są w domu.

— Moja siostra mówi o sąsiadkach naszych... — wytłómaczył mi z cicha Czyński, — dziwne bo to rzeczywiście kobiety... bardzo dziwne... nie dadzą nikomu przejść spokojnie.

Nie skończył jeszcze słów tych, gdy Maryanna, z wielką chustą, zarzuconą na głowę i plecy, skierowała się ku drzwiom od sieni.

— Marysiu! — zwrócił się ku niej brat — może-byś lepiej nie szła...

— Niech się pani nie trudzi — rzekłem z pośpiechem.

— No! no! — odparła, nie odwracając ku nam głowy — dam ja już sobie radę. Pan adwokat jest bardzo dobry i grzeczny dla Joachima; nie chcę, ażeby myślał, że my tego zrozumieć i ocenić nie umiemy... Więdźmy te przekłete niech sobie wrzeszczą... głowy mi nie urwą przecież, jeżeli jeszcze dotąd nie urwały...

Z temi słowami wyszła; Czyński spuścił oczy i milczał.

— A! — rzekł nagle, roztwierając drżące nieco ręce — co robić? tacy to już ludzie... nie zapominają nigdy... przebaczyć nie mogą... nie wiem prawdziwie, czemu nie przebaczyć komuś, kto źle robił, ale już przestał i teraz nikomu w drogę nie wchodzi? at, nie mogą... ale to nie ich wina... oni nie wiedzą, jak to było...

Umilkł znowu, ale widocznie było, że chciał jeszcze coś powiedzieć, tylko nie śmiał, lub nie umiał myśli swęj wyrazić. Podniósł nakoniec na twarz moję wzrok niespokojny i zaczął z wahaniem:

— Chciał-bym bardzo wiedzieć, jak pan dobrodziej o tém myśli, bo mnie się zdaje, że... że gdyby ludzie więcej wiedzieli... więcej rozumieli, byli-by bez porównania lepszymi...

— Masz pan najzupełniejszą słuszność — odparłem. — Najlepszym, jedynym może środkiem łagodzenia serc ludzkich, niszczenia w nich uczuć nienawistnych i okrutnych, jest oświata!

Gdy to mówiłem, utkwione we umie oczy kancelisty migotały żywym blaskiem.

— Bardzo dziękuję panu — rzekł po chwili głośniej i śmieliej, niż zwykł był przemawiać — bardzo dziękuję panu, że pan mi to powiedział... Ale zdaje mi się... zdaje mi się, iż, wiele umiejac i rozumiejac, ludzie stac się mogą nietylko lepszymi, ale i szczęśliwsiymi.

— Niezawodnie; oświata udziela ludziom źródeł pociechy i szczęścia, nieznanym tym, którzy jój nie posiadają...

— Tak! tak, tak! — wymówił Czyński, za każdym wyrazem nizko skłaniając głowę. Twarz jego promieniała głęboko uczuwanem wewnętrznem rozradowaniem.

Patrzałem na niego z ciekawością i ukrywanym uśmiechem. To żywe zajmowanie się abstrakcyjnymi myślami o źródłach, z których wypływa dobroć lub złość, szczęście lub nieszczęście ludzkie, wydawało mi się w tym nieoświeconym, zgnębionym, w zbieraniu pieniędzy najwyższą uciechą życia znajdującym człowieku, jednem dziwactwem więcej. Nie mogłem przecież nie zauważyć, że postać jego wyprostowała się i jakby zmętniała a twarz wyszlachetniała, gdy z tym samym, co wprzódy, wyrazem tajemnego rozradowania w spojrzeniu i uśmiechu, rzekł jeszcze:

— Dziękuję panu, że pan mi to powiedział. Biednemu nieuczonemu człowiekowi lżej robi się na sercu, kiedy ktés, rozumniejszy i uczeńszy od niego, mówi, że prawdą, jest to, o czém on myśli zawsze... zawsze...

W téj chwili dał się słyszeć w sieni głośny hałas trzech klócących się głosów kobiecych. Wyraz twarzy Czyńskiego zmienił się nagle. Z niepokojem i widocznem zmartwieniem spojrzal na drzwi, za któremi slychać było sypiące się jednocześnie z trojga ust kobiecych wyrazy grubiańskiego łajania.

— Otóż to tak zawsze — szepnął Czyński, spuszcżając głowę — nie dadzą jój nigdy przejść spokojnie... czepiają, się do niej, Bóg wie za co... to im ona drzwi za często na podwórze otwiera... to stuk w domu robi... to naczynie jakie wywróci, które umyślnie na drodze jój stawiają, aby potém módz łajac ją i wysmiewac...

Czy uwierzy pan dobrodziej, że dawniej co rok prawie zmieniałem mieszkanie, myśląc, że natrafie na lepszych... litościwszych sąsiadów... ale gdzie tam! tak się po mieście całém roztrąbiło, że wszyscy o tém wiedzą i wszędzie pamiętają...

— Pamiętają — dodał, wstrząsając smutnie głową — a jednak dwadzieścia kilka lat... dwadzieścia już kilka lat kobieta ta pokutuje...

Drzwi otwarły się z trzaskiem i wpadła przez nie Maryanna, z ciemną twarzą swą, szkarlatnie zarumienioną, z oczyma ciskającymi błyskawice. Z pod chusty, którą była okryta, wymykały się na czoło pasma siwiejących, roztarganych w téj chwili, włosów. W ręku niosła talerz z kilku ciastkami.

— Cóż tam znowu, Marysiu? — cichym, smutnym tonem, lecz nie podnosząc oczu na siostrę, zapytał Czyński.

— A cóż? — krzyknęła, ze stukiem stawiając na stole przyniesiony talerz — to, co i zawsze! postawiły mi dzbanek z wodą tuż przed progiem, tom go i przewróciła, idąc! Umyślnie to robią, aby przyczepkę mieć jaką, a potém wypadają jak furye i łają od ostatnich wyrazów!

— Żebyś mogła nie odpowiadać im, Maryanno, nie uważać na ich łajanie... może-była się łatwiej uspokoiły i odczepiły od ciebie — nieśmiało szepnął brat.

— A niedoczekanie ich, tych wiedźm przeklętych, abym ja im milczeć i ustępować miała! — oburknęła kobieta i, jak się zdawało, przez wzgląd tylko na moję obecność, wstrzymując się od dalszych objawów i wynurzeń gniewu, poszła do kuchni. Tam ze stukiem postawiła stolek przy oknie i wzięła opuszczoną przed kwadransem robotę. Widziałem jednak, że ręka jój, trzymająca igłę i w nierównych przestankach podnosząca się w górę, drżała, a pierś, okryta sukienym kaftanem, oddychała szybko i z trudnością.

— Nie jest łagodną — szepnął do mnie Czyński — nie, nie można powiedzieć, aby była łagodną... gdyby nie miała tak prędkiego charakteru, może-by łatwiej zapomnieli i dali jój pokój... ale trudno...

— Czy pan dobrodziej zauważył — zapytał nagle, podnosząc głowę — czy pan zauważył, że kiedy kto jest bardzo nieszczęśliwym, to mu i dobrym być bardzo trudno...

W kilka minut potem podawałem Czyńskiemu rękę na pożegnanie. Odprowadził mię do progu, przy drzwiach zatrzymał się i, po widocznym chwilowym wahaniu, wyrzekł niepewnym głosem:

— Proszę pana... czy... czy pani... Trońska często u pana bywa?

— Widzi bo pan — mówił dalej, nie czekając na odpowiedź; — osoba ta obchodzi mię trochę... kiedyś... bardzo... bardzo dawno temu, znałem ją z bliska.

— Wiem o wszystkim — przerwałem — pani Trońska mówiła mi, że byliście państwo zaręczeni ze sobą.

— Mówiła? — zawołał kancelista; — mówiła! — zadziwił się raz jeszcze i ledwie dosłyszalnie szepnął — więc nie zapomniała.

Usta mu drżały, plamy ciemnych rumieńców wybijały się znowu na żółte i zapadłe policzki.

— Proszę pana — zaczął znowu po chwili — obchodzi mię to bardzo... chciał-bym wiedzieć, czy jest szczęśliwą?

Powiedziałem mu, że, o ile wiem, położenie rodzinne i majątkowe pani Róży nic nie pozostawia do życzenia.

— Dzięki Bogu! — szepnął Czyński, z tak gorącym uczuciem, z takim wyrazem rzewnej radości w oczach, że nie mogłem powstrzymać się od silnego uściśnienia chudej, kościstej, dziwnie dnia tego rozpalonej, jego dłoni.

Przechodziłem ciasne i brudne podwórko, na którym hałaśliwie bawiło się kilkoro dzieci, gdy niedaleko już bramy usłyszałem za sobą ciężkie, szybkie stąpanie i niski gruby głos kobiecy, mówiący:

— Proszę pana, niech pan będzie łaskaw wstrzymać się chwilę...

Obejrzałem się i zobaczyłem Maryannę, która, w swą wielką chęć, zarzuconej na głowę, stanęła przede mną.

— Mam do pana prośbę — rzekła zwykłym sobie opryskliwym tonem.

— Słucham pani.

— Brat mój — zaczęła łagodniej nieco — ma dla pana wielką przychyłność. Mówił mi on kilka razy, że nie zna człowieka, który-by był tak grzecznym dla niego, jak pan.

— Bardzo rad jestem, że zasłużyłem sobie na życzliwość brata pani.

— Nie o to idzie — przerwała mi z porywczym, niecierpliwym ruchem — wiem dobrze, że pana nie obchodzi życzliwość, czy tam nieżyczliwość takiego biedaka, jak mój brat. Ale choć bardzo rzadko rozmawiam z ludźmi, zdarzyło mi się słyszeć, że pan masz dobre serce. Nie bardzo to ja poprawdzie wierzę w te dobre serca ludzkie, ale może pan już jesteś takim ot, jak Joachim, wyjątkiem... Otóż jeśli pan naprawdę jesteś dobrym i umiesz czasem litować się nad ludźmi, to może pan i nade mną zlituje się, bo ja doprawdy nie mogę już z nim sobie poradzić.

— Z kim? — zapytałem, nie rozumiejąc dokąd zmierza jej mowa.

— A z Joachimem! — sarknęła na-pół gniewnie, na-pół żałośnie — zabija się, proszę pana; formalnie zabija się pracą, niespaniem i niejedzeniem. Czy pan uwierzysz, że nie sypia on nigdy więcej, jak pięć albo cztery godziny, a resztę czasu pisze i pisze, to w biurze, to w domu, to w domu, to w biurze..! a tygodniami czasem całymi mięsa nie je, mówiąc, że mu się nie chce, i rumianek zamiast herbaty pije, mówiąc, że mu to zdrowo; ale ja wiem dobrze, że to tylko dlatego, żeby grosz jaki oszczędzić. I żeby on, proszę pana był taki już skąpiec ostatni, toby i niedziwota była; ale dla mnie naprzykład to on, proszę pana, gotów ostatniego rubla oddać, żebym ja tylko miała wszystko, co trzeba. Dla mnie i mięso co dzień powinno być, i herbata; i bułki świeże; ale sam o krupniku postnym i kawałku chleba gotów cały rok żyć, byle mniej pieniędzy wydać. I żeby pieniędzy nie było, no to i cóż robić? ale są, proszę pana! jest ich więcej niż potrzeba, a komuż one zostaną?... dzieci o nie ma, a dla mnie... co tam o tym i mówić! dla mnie po jego śmierci to już było-by tylko iść co najprędzej do grobu, choćbym zresztą i wory złota miała...

Mówiła to wszystko prędko, opryskliwie, ale przy ostatnich wyrazach niski głos jej zadrżał, a w czarnych palących się oczach, które wlepiła w twarz moją, ukazała się wielka łza. Powściągnęła ją przecież szybko i, jakby zawstydzona, czy niezadowolona okazanym na chwilę rozrzewnieniem, dodała gniewnym niemal tonem:

— Niechże pan będzie łaskaw powie mu, żeby szanował się choć trochę, żeby choć trochę odpoczął i pozwolił mi gotować mu codzień zdrowe i posilne potrawy. Już ja mówię

o tém i mówię, i proszę, i łaję, bo człowiekowi cierpliwości nieraz braknie... cóż pocznę, kiedy nie słucha... z wielkim gwałtem wymogłam na nim, aby codzień pił kawę... dawniej nie szkodziło mu to tyle... młodszym był, ale teraz... jeżeli to zabijanie się dłużej potrwa, to i będzie prędko po wszystkim... ani obejrzy się, jak w grób wlezie.

Mowa jęj zaczynała być bezładną. Za każdym prawie wymówioném słowem, oglądała się w stronę kilkorga dzieci, które, hałasując na dziedzińcu, przysuwały się ku niej coraz bliżej ze złośliwemi zaczepnemi minami. Przewidywała jedną z tych napaści, które spotykały ją widać w każdej dnia porze i na każdym miejscu; oczy jęj błyskały coraz buźliwiej.

— Niech pan nie uważa na te bębny — mówiła, szybko głową wskazując dzieci — ze mnie to one śmieją się, i mnie te figi i języki pokazują... Matki je tego powyuczały, ażeby mi dokuczyć... staram się też w dzień jak najrzadziej wychodzić z domu, a po sprawunki idę, bardzo rano, kiedy te widzmy i bachory śpią jeszcze, albo też wieczorem, gdy już ciemno... Ale teraz musiałam wyjść za panem, bom już dawno wybierała się do pana z tą prośbą...

Dwaj malcy, o białych i nieprzyjemnych twarzach, wykrzywiając usta i dając sobie znaki, zbliżali się na palcach, aby stanąć za jęj plecami. Maryanna widziała manewr ten nieprzyjaciela i mówiła coraz pośpieszniej; zarazem wkoło ust jęj zbierał się, rzecz można, wyraz goryczy, a zmarszczki na czole pogłębiały się i falowały.

— Niech pan będzie łaskaw, zrobi to, o co pana proszę... Prawdę powiedziawszy, gdyby nie moja ciężka niedola, inném było-by może życie jego... z mojej głowy nieszczęście przeszło na jego głowę... żałuję, że nie utopiłam się wprzód, nim zamieszkałam u niego i świat mu zawiązałam... ale trudno... młoda wtedy byłam... później już chciałam nieraz porzucić go i iść w świat, dokąd oczy poniosą, ale bałam się zawsze i zostawałam... Ach! ten świat, świat szeroki! kogo on utraktował tak pięknie, jak mnie, ten go się lękać musi!

Zapomniała zupełnie o zbliżającej się napaści; wielka łza, powstrzymana przed chwilą, toczyła się teraz z wolna po ciemnym jęj policzku, w czasie gdy oczy mętném spojrzeniem utonęły w przestrzeni, jakby z trwożném i wstrętu pełném przerażeniem wpatrując się w oddalone widmo straszego świata tego, o którym mówiła.

— Postaram się uczynić wszystko, co będzie zależało ode mnie, aby nakłonić brata pani...

Nie wymówiłam jeszcze ostatniego wyrazu, gdy dwaj malcy, dawno już za plecami Maryanny czatujący na sposobną chwilę, korzystając z jęj zamyślenia, z całej siły czterech rąk pochwycili z tyłu chustkę, którą była okryta i, zdarłszy ją z niej, uciekali z głośnemi śmiechami i wywieszaniem języków w stronę domu. Chustka wlokła się za nimi po błocie, a goniąca towarzyszy, bosa, rozczochrana dziewczynka, deptała po niej. Uczyniłam parę kroków w celu zgromienia dzieci i odebrania im pochwyczonego i w błocie tarzane-go przedmiotu, ale Maryanna nie dała się uprzedzić. Z iskrzącemi się oczyma, z dyszącą pierśią, jak lwica zraniona, poskoczyła za dziećmi i w mgnieniu oka dużemi swemi, ciemnymi, silnemi dłońmi, pochwyciła jednego z malców za włosy, drugiego za kołnierz od szpencerka.

— A wy, niegodziwe bachory! — krzyczała na całe podwórko, — czy dacie wy mi pokój kiedykolwiek! Co ja wam złego robię! łotry, rabusie!

Każdemu z wyrazów tych towarzyszyły targnięcia za włosy jednego z dzieciaków, za kołnierz drugiego. Malcy wrzeszczeli z bólu i złości. Na głos ich ukazały się przed domem dwie mieszczki, w spódnicach, fartuchach, z rękawami po łokcie zatoczonymi. Walka zawrzała. Krzyki kobiece i dziecinne, łajania i przekleństwa napełniały podwórko, gdy we drzwiach domu ukazał się Czyński.

— Maryanno! — zawołał przyciszonym swym głosem.

Rozwścieklona kobieta rzuciła na niego przelotne spojrzenie, nie przestała przecież krzyczeć i rozmachywać rękoma w stronę krzyczących także i giestykułujących sąsiadek.

— Maryanno! — powtórzył Czyński — pójdź do domu!

Na twarzy jego malowała się boleść, głos posiadał dźwięk rozkazu bardziej, niż prośby.

Kobieta spojrzała znowu w stronę mówiącego, głos jęj zniżył się, iskrzący się wzrok utkwiał w ziemi; po chwili jakby pogardliwym ruchem i nie podnosząc oczu, wyrwała z rąk sąsiadki odebraną przez dzieci chustkę, i zrumieniona do szkarłatu, lecz milcząca już i z pochyloną głową, szybkim, ciężkim krokiem poszła za bratem w głąb domu.

Grubiańska, lecz pełna bolesnego znaczenia, scena ta sprawiła na mnie przykre wrażenie. Jakkolwiek były niezrozumiałe mi cechy charakteru Czyńskiego, jakkolwiek mogła być przeszłość jego siostry, życie dwojga ludzi tych, odgrodzonych od świata, wyśmiewanych, wzgardzonych, wlokących mroczne, zimne, bezbarwne istnienie, było zbyt posępne, aby mogło nie budzić głębokiej litości.

W pierwszej też stosownej chwili spełniłem żądanie Maryanny i, najłagodniej, w sposób, jak mogłem, najbardziej przekonywający, przedstawiłem Czyńskiemu, iż powinien więcej dbać o swe zdrowie, mniej pracować, mniej nocy bezsennych spędzać i nie odmawiać sobie rzeczy, koniecznych do utrzymania sił i życia. Słuchał mnie z razu ze zdziwieniem, potem markotnie trochę, nakoniec uśmiechnął się i, lekko wzruszając ramionami, rzekł:

— Pewno to już Maryanna wsadziła tu swoje trzy grosze... widziałem, że szła za panem, i wiedziałem z góry, o czym panu będzie gadała! Ale niech pan jej nie wierzy... mnie wszystko to nie szkodzi... wcale nie szkodzi... a siostra niespokojna, wiadomo, jak siostra... Prawdę panu powiem, że ona dokucza mi często tém swoim: a jedź! a śpij! a przestań już pisać! Ale trudno... inaczej być nie może... wszak nas tylko dwoje na świecie!...

Widziałem dobrze, iż przedstawienia moje nie wywarły na niego najłżejszego wpływu i że żyć on będzie dalej tak, jak żył dotąd, zamęczając się pracą nad siły i rozlicznymi umartwieniami ciała.

To też zaniepokoiłem się mocno, gdy, wbrew pedantycznej swojej akuracności, nie zjawił się on u mnie dnia pewnego o zwykłej godzinie.

Mniemałem, że zachorował, a domysł mój wydał mi się niewątpliwie trafny, gdy, przybywszy za interesami do biura, ujrzałem miejsce, na którym siadywał zazwyczaj, niezajęte.

— Nie wiecie, panowie, co się dzieje z Czyńskim? zapytałem dwu, czy trzech, bliżej mi znajomych urzędników. — Nie był dziś u mnie i tu go nie widzę. Czy nie zachorował?

Ku wielkiemu zdziwieniu memu, a trochę i rozgniewaniu, całą odpowiedzią na zapytanie moje były odzywające się przy dwu, czy trzech, stolikach, stłumione śmiechy i wesołe szepty.

— Jest to, proszę pana, bardzo zabawna historia — tłumiąc wybuch śmiechu, ozwał się nakoniec kancelista ów o żółciowej cerze i złośliwych oczkach, który, jak się zdawało, najmocniej nie lubił Czyńskiego, i najżywiej zazdrościł mu zebranych przez niego skarbów.

— Cyt, panie Wincenty! — chichocąc także z cicha, szepnął młody, barczysty, z beznamiętną twarzą chłopak, siedzący tuż przy obywatelskim synu, młodziutkim panu Leonie.

— Pan Wincenty gotów zaraz wszystko rozgadać! — sarknął pan Leon, ale z miny jego widać było, że czuł się dziś pomiędzy kolegami w roli przywódcy i tryumfatora.

— No, opowiedźcież wszystko, jak było, pana Rolickiemu, a to jeszcze gotów pomyśleć, że tam coś bardzo złego się stało — podnosząc rumianą twarz z nad papierów i uśmiechając się pobłaźliwie, wymówił jowialny naczelnik biura.

Pan Wincenty nie dał sobie dwa razy powtarzać słów pozwolenia i zachęty. Otarł starannie pióro, zdmuchnął z papieru rozsypane na nim ziarenka piasku a mrugając złośliwymi oczkami i przerywając sobie wybuchami żółciowego śmiechu, opowiedział mi, jako w panu Leonie prawdziwy dyabeł siedzi, bo nikt takich figłów wymyślać i tak ich płatać nie umie, jak on; jako następnie ów pan Leon (mówię panu, wcielony szatan wesołości), postanowił nastraszyć Czyńskiego, co postanowiwszy, dobrał sobie dwóch tęgich, jak on, kompanów, i wraz z nimi wkradł się po północy na podwórkę domu, w którym mieszka Czyński. Kiedy na mieście zrobiło się zupełnie cicho, a w domu wszyscy spali, jak zabici, pan Leon (ten wyborny pan Leon!), z kompanami swymi otworzyli cichutko okiennicę u jednego okna, i zaczęli niby to okno otwierać.

Czyński siedział jeszcze i pisał, ale, usłyszawszy szmer za oknem, zerwał się przestraszony (pocieszenie wtedy wyglądać musiał, zwłaszcza, że nie miał na sobie surduta, tylko swoją sławną kamizelkę w malinowe kraty. Zerwał się i jednym susem przyskoczywszy do kufra, usiadł na nim. Pan Leon wtedy, (niech go tam wszyscy... jaki z niego sprytny urwis!) zmieniając głos, mówi za oknem: — Pieniądze, albo życie! — Czyński nie ruszył się z miejsca. Oczy mu tylko w ślup stanęły, a rękoma kufer obejmował! Nasi chłopcy

(walne, jak Boga kocham, chłopaki), dawaj znów oknem trząść, aż tu z kuchni wypada wielka Marysia...

Tu opowiadanie rozradowanego kancelisty przerwaniem zostało wybuchającymi wśród obecnych śmiechami. Sam pan naczelnik śmiał się do rozpuku.

— Teraz dopiero zaczyna się prawdziwa tragedia!... — zawołał kolega o apatycznej twarzy i leniwych ruchach. — Marysia Herod-Baba... i czupryna pana Leona...

— Cyt! nie przeszkadzajcie! mów dalej, panie Wincenty! mów dalej!

— Koniec wieńczy dzieło! — zawołał pan Wincenty, uderzając się dłońmi o kolana — Marysia, jak furja przypadła do okna, otworzyła je i podobno kogoś tam z figlarzy śliczną łapką swoją po włosach pogładziła...

— Nie prawda! nie prawda! — odkrzyknął barczysty i rubaszny kompan pana Leona — nie złapała żadnego z nas! uciekliśmy!

— Zrejterowaliśmy w porę!

— Ale co przeląkł się, to przeląkł ten sknera! Ręczę, że mu jeszcze do tego czasu włosy na głowie stoją!

— Musieliście mu dobrze za skórę zajechać, kiedy dziś do biura nie przyszedł!

— Wstydzi się!

— Febry dostał z przelęknienia!

— Jak zapamiętam, Czyński raz jeden tylko w biurze nie był... lat temu będzie z dziecięć może, wtedy, kiedy mu Jaś Liski, pamiętacie go? odciął połą od płaszcza... Nie powiedział nikomu ani słowa, tylko na trzeci dzień przyszedł w nowym płaszczu, to jest tym, który do dziś dnia nosi!

Opowiadania o figlu pana Leona, jak i wszystkich przyklaskujących mu wykrzyków i śmiechów, słuchałem z żywym oburzeniem.

— Dziwi mnie to — rzekłem z cicha do naczelnika biura — jak pan może pozwalać kolegom swym i podwładnym, na wyrządzanie psot podobnych człowiekowi niemłodemu, spracowanemu i nic zresztą złego nikomu nieczyniącemu.

— At, panie dobrodzieju! — odszepnął niezmiernie wesół człowieczek — zwyczajnie młodzi ludzie, lubią pobawić się, pośmiać! Zresztą, przyznam się panu memu, że gdyby to z kogo innego, ale z tego dziwaka i sknery, to nie grzech pożartować trochę!

Zbliżyłem się do stolika, przy którym siedział pan Leon wraz z towarzyszami nocnej swej wyprawy, i rzekłem głosem dość podniesionym, aby mnie i żółciowy pan Wincenty, i apatyczny kolega jego, usłyszeć mogli.

— Przykro mi, że to panom powiedzieć muszę, ale w żaden sposób pochwalić nie mogę postępków panów z Czyńskim. Lubię go i zostaję z nim w stosunkach życzliwych; ktokolwiek więc na przyszłość wyrządzi mu psotę jaką, lub krzywdę, ze mną mieć będzie do czynienia.

— Ależ, proszę pana... — spróbował oburzyć się pan Leon; ale spotkawszy się z moim wzrokiem, zarumienił się, spuścił głowę i umilkł.

Tęgo samego dnia, w poobiednich godzinach, zamierzałem właśnie wyjść z domu, aby odwiedzić Czyńskiego, gdy cicho, jak zwykle, i z nieodstępną swą teką pod ramieniem, wszedł on do gabinetu mego.

— Pan Dobrodziej gniewa się może na mnie, dziś z rana nie odniosłem mu papierów... ale... miałem noc niespokojną i byłem trochę niezdrów...

Mniemałem, iż nie wie o tém, że nocnymi napastnikami byli jego koledzy, a chcąc oszczędzić mu smutku i upokorzenia dowiedzenia się o tém, powiedziałem, że słyszałem, iż jakoby złoczyńcy jacyś dobierali się tej nocy do jego mieszkania. Uśmiechnął się smutnie trochę, ale bez cienia gniewu, lub zażalenia, odpowiedział:

— Ej nie! panie dobrodzieju! nie byli to żadni złoczyńcy, tylko pan Leon, pan Piotr i pan Erazm... ci, proszę pana, co to piszą przy stoliku na lewo... niedaleko ściany... Siostra zaraz ich poznała, gdy tylko przybliżyła się do okna; zna ona ich bowiem wszystkich z widzenia.

Milczał chwilę, potem dodał:

— Ot, rozbili mi tylko dwie szyby i musiałem dziś zapłacić za wstawienie nowych.

Patrzałem na niego ze zdziwieniem. W całej tej więc upokarzającej go awanturze, jedyną przykrą dla niego rzeczą było to, że z powodu jej wydać musiał parę złotych. Co

za szalone skąpstwo! jaki brak uczucia własnej godności, czy też jakie martwe, ponure przyzwyczajenie do obelg i naigrawań ludzkich!

— Koledzy pana bardzo źle postąpili... — zacząłem.

Przerwał mi poruszeniem ręki, oznaczającym lekceważenie, czy pobłażliwość.

— Co to dziwnego, proszę pana, że mnie nie lubią? żyję inaczej, zupełnie inaczej, niż oni... zarabiam więcej... zazdroścą mi tej odrobiny grosza, którą zbierałem... gdyby wiedzieli, dlaczego zbieram... może-by... może-by się im inaczej zdawało, ale tak.. trudno...

Wyraz *dlaczego* zaciekał mnie żywo.

— Wyjaw więc pan kolegom swym cel ten, dla którego usiłujesz jak najwięcej pracować i zbierać, a zmieniają oni zapewne usposobienie swe względem pana.

— Wyjawić! — powtórzył ze zdziwieniem — ja miał-bym im to wyjawić?

Milczał chwilę i patrzył w ziemię.

— Nie — rzekł nagle, podnosząc oczy — nie mogę im tego powiedzieć... sam nie wiem dlaczego, ale nie mogę... Kiedyś... wkrótce zapewne, przyjdzie taki dzień, w którym powiem panu... tak, panu naprzód, a potem dowiedzą się i wszyscy, tylko nie ode mnie! I wie pan dobrodziej...

Tu przerwał sobie na chwilę, podniósł głowę, a gięstem energiczniejszym, niż zwykle bywały ruchy jego, składając dłoń na stole, dokończył:

— I wie pan? będzie to najszcześniejszy dzień w moim życiu.

Wyrazy te wymówił szeptem prawie, ale w oczach jego zapalił się blask gorący, po ustach krążył uśmiech pełen zachwytu, a na twarz całą spadł wyraz niemój, wewnętrznej ekstazy.

Tym razem nie nazwałem go już w myśli dziwakiem, ani skąpcem, lecz przeciwnie, doświadczyłem uczucia instynktowego niemal szacunku dla tej myśli nieznannej mi, która mieszkała w nim cicho, lecz uparcie, na twarz jego wynędniała rzucała od czasu do czasu blaski gorących zachwyty, zdawała się, być główną osią, około której obracały się wszystkie dni i minuty smutnego jego życia. Od dawna już miewałem przebłyski pojęcia, że kocha on pieniądze nie dla nich samych, zbiera je nie dla samej tylko przyjemności ich zbierania. Teraz własne słowa jego potwierdziły ten domysł mój, ale o słowo zagadki nie zapytałem go ani razu, wiedząc, że uczucia szlachetne i wzniosłe bywają istotom pewnym trudniejszymi do wyjawienia, niż innym ciężkie i zawstydzające grzechy.

---

Przeszło jeszcze kilka miesięcy. Wróciłem był właśnie z dość dalekiej i długo trwającej podróży, gdy powiedziano mi, że od tygodnia przeszło Czyński nie ukazał się ani u mnie, ani w biurze.

— Wiész pan? — rzeki, widząc mnie wchodzącego do kancelaryi naczelnik biura — siostra Czyńskiego niebezpiecznie podobno zachorowała. Prosił on mnie o uwolnienie od zajęć na czas jakiś. Piérwszy to raz w życiu przytrafia mu się cały dzień w biurze nie pisać. Słyszałem, że wczoraj było tam kilku doktorów na konsylium. — Skorzystałem z piérwszej chwili swobodnego czasu, aby odwiedzić Czyńskiego. Wchodząc do mieszkania jego, ujrzałem rzeczywiście Maryannę leżącą w gorączce, na łóżku, umieszczonem naprzeciw drzwi od sieni, które teraz osłonięte były starannie dywanikiem spłowiałym, zdjętym z jednego z kufrów. Była na-pół nieprzytomną, głowę miała związaną tą samą czerwoną chustką, którą nosiła zwykle. Gdy wchodziłem, przy łóżku stał Czyński i, pochylony nad chorą, wlewał jój w usta łyżkę lekarstwa. Usłyszawszy mnie wchodzącego, odwrócił się i, kiwnąwszy głową na powitanie, oczyma wskazał mi krzesło.

— Niech pan będzie łaskaw... — szepnął, poczem zajął się znowu daniem lekarstwa chorój. Ale i Maryanna, usłyszawszy niezwykle szmer w pokoju, z ciężkością starała się zwrócić twarz w moją stronę.

— Marysiu! — prosił brat — weź lekarstwo.

— Co ty mnie tam męczysz z temi lekarstwami! — sarknęła kobieta — idź już sobie ztąd! daj mi pokój!

Odrąciła ręką łyżkę, którą przy ustach jój trzymał, i z wysileniem podniosła się na łóżku.

— Kto to? — zapytała, wlepiając we mnie rozpalone gorączką oczy. — Aha! — rzekła po długiej chwili wysilenia przyćmionego wzroku i umykającej pamięci — zdaje się, że to pan adwokat... to dobrze... to dobrze. — Z widoczną trudnością zbierała i porządkowała w głowie rozpieczętowane, powikłane myśli; potem zaczęła znowu głosem, którego zwykłą grubość i opryskliwość zwiększał jeszcze gorączkowy pośpiech, i przyspieszony, trudny oddech.

— Dobrze, że pan przyszedł... ja tu leżę i ciągle, ciągle myślę o tym, żeby pana poprosić... co to ja chciałam mówić? Aha! jeżeli ja umrę, niech pan będzie łaskaw zlituj się nad nim i przychodzi tu czasem, aby z nim pogadać, bo tu żaden żywy duch nigdy do niego nie zajrzy, i niech pan będzie łaskaw... niech pan będzie łaskaw dopilnuje czasem, żeby on kawałek mięsa zjadł, albo szklankę kawy wypił, bo, jak mnie nie będzie, to on zamorzy się... zamorzy się głodem...

— Marysiu! — przerwał Czyński, którego twarz w czasie mówienia kobiety dziwnie drgała i mieniła się, — po co o takich rzeczach mówić! Wyzdrowiejesz i będziesz żyła...

W głosie jego odzywały się jakby niepodobne do powstrzymania lękliwe tony.

Kobieta opadła na poduszki.

— No, już ty tylko bądź cicho ze swemi jękami! — sarknęła gniewnie. — Czego tu jęczyć? Boże Świąty! umrę, to umrę! Nagrzesałam dużo, a nacierpiałam się jeszcze więcej! To i dobrze, że wszystko raz się już przecie skończy! W grobie cicho i ludzi niema, i te wiedźmy przeklęte ze swemi bachorami nie będą już mnie... nie będą... co to ja chciałam mówić? aha! Kamień ci spadnie z karku... weź tylko sobie służącą jaką, żeby ci izbę wymiatała... szkoda, że nie wcześniej, bo może-bys się był ożenił.

Zwróciła znowu z ciężkością twarz ku mnie i zaczęła:

— Niech pan adwokat będzie łaskaw, namawia go, żeby on w nocy nad tym pisa- niem... on pana bardzo szanuje i lubi... może posłucha...

Nie mogła więcej mówić. Przytomność odbiegła ją już całkiem. Pochwyciła się obu dłońmi za głowę, i z jękami wymawiać zaczęła niezrozumiałe jakieś wyrazy.

Nazajutrz, gdy o tej samej porze przyszedłem do Czyńskiego, Maryanna leżała cicha i nieruchoma ze splecionymi na piersi dłońmi i zamkniętymi oczyma.

— Doktor powiedział, że niema żadnej nadziei — szepnął mi bardzo cicho Czyński — wypowiadała się już. Ksiądz tylko co poszedł...

Na twarzy jego nie malowało się żadne gwałtowne uczucie. Usta tylko i powieki drga- ły mu nerwowo od chwili do chwili, a na zapadłych policzkach widać było dwie plamy ciemnych rumieńców.

Usta Maryanny poruszyły się z wolna.

— Boże bądź miłościw mnie grzesznej! — wymówiła kilka razy, uderzając się ręką w piersi. Po chwili z pod powiek jej zamkniętych wypłynęły dwie łzy i ciche stoczyły się po wychudłej, gorączką rozpalonej, twarzy.

— Boże bądź miłościw mnie grzesznej! — powtórzyła raz jeszcze z głębokim wes- tchnieniem.

Czyński pochylił się nad łóżkiem i przycisnął usta do czoła chorej.

— Bóg lepszy od ludzi — szepnął. — On ci pewno przebaczył!

W dwa dni potem, z niskiego, drewnianego domku, czterej posługacze kościelni wnosili na ciasne, brudne podwórko, trumnę czerwono pomalowaną, w której spoczy- wały zwłoki Maryanny. Przed trumną szedł ksiądz z krzyżem, za nią postępował Czyń- ski i prócz mnie... nikt więcej. Dopóki skromny wielce i cichy orszak ten przesuwiał się omglonemi drobnym wiosennym deszczem, ulicami, dopóty Czyński nie podniósł ni razu opadłej na piersi głowy i, zanurzony w ciężkiej zadumie, nie spostrzegł, że idę tuż obok niego. Za miastem dopiero, w polu, podniósł zaczerwienione powieki i, zoba- czywszy mnie, wydał się z razu zdziwionym mocno. Po chwili jednak, oczy jego utkwily znowu w czerwonej trumnie i nie opuściły jej póty, dopóki nie okryły jej żółte warstwy wilgotnego piasku. Wtedy zwrócił się do mnie i drgającymi ustami rzekł: Dziękuję panu!

Chciał jeszcze coś mówić, ale brakło mu głosu. Skłonił tylko raz jeszcze głowę i, prze- bywszy bramę cmentarza, wyszedł znowu na ścieżkę, polem do miasta wiodącą. Postępo- wałem za nim z dala, nie chcąc w tej chwili być mu natrętnym towarzyszem. Szedł kro- kiem powolnym i nierównym. Wiatr szamotał gwałtownie peleryną jego płaszcza i rzucał



mu w oczy fale zimnego deszczu. Ścigałem okiem wysoką, cienką postać tę, samotnie sunącą po szarém tle mgły i zmroku, dopóki nie zniknęła w głębi gwarnéj i ludnéj ulicy miasta.

Spełniając ostatnią prośbę biednéj Maryanny, starałem się jak najczęściej odwiedzać małe mieszkanie jéj brata, jak najdłuższe prowadzić z nim rozmowy, jak najusilniej przekonywać go, iż powinien zmienić dotychczasowy swój sposób życia, jeśli chce, aby go siły nie odstąpiły wkrótce w zupełności.

— Ej! co tam! — odpowiadał mi zwykle — zdrow jestem, jak ryba... nigdy mnie nawet nic nie boli...

A jednak pracował coraz mniej i coraz gorzej. W biurze ogarniało go nieraz zamyślenie, do osłupiałości podobne. Kwadransami całemi trzymał pióro zawieszzone nad papierem, ale nie pisał, tylko szklanym wzrokiem i z rozwartemi nieco ustami patrzył w przestrzeń. Niekiedy mrużyły mu się powieki i głowa kłoniła się w dół pod ciężarem nieprzewyciężonej sennosci. W domu znajdowałem go też niekiedy drzemającym w dzień biały, lub siedzącym beczynnym nad rozłożonemi przed nim papierami. Parę razy zauważyłem, wchodząc, że oczy jego utkwione były w stołek, umieszczony przy oknie kuchenki, na którym siadywała zwykle z robotą swą Maryanna. W mojej téż obecności, rzucał od czasu do czasu na stołek ten przelotne spojrzenia. Znać było, że oczyma wyobraźni widział tam nieustannie postać kobiety, dla której wiele cierpiał, z którą przepędził sam-na-sam długi szereg lat monottonnych i smętnych. Teraz nie było już ich „dwojga na świecie”. Jak ptak, powiewem wichru odbity od stada swego, tak on, szczególném zrządzeniem losu, odbił się od reszty ludzi, a jedyna istota, która dbała o niego, z którą związały go wspólne wspomnienia i smutki, zniknęła. Czy tęsknił za nią? czy czuł tę bezdenną samotność, która go otaczała? nie wiem. Nie skarżył się nigdy. Wzdychał niekiedy, ale rzadko i bardzo cicho. Tylko siwe pasma jego włosów rozszerzały się coraz i pochłaniały sobą resztki tych, które były jeszcze czarnymi; twarz stawała się coraz cichszą, żółtszą i chudsza, wzrok coraz senniejszym, chód słabszym i nierówniejszym. Wkrótce upadanie to na siłach zostawiać zaczęło ślady swe w robocie, którą z jednaką zawsze gorliwością spełniać usiłował, lecz nie mógł. W piśmie jego zachodziły omyłki coraz częstsze i grubsze. Stawał się roztrągnionym, zapominał o terminach, naznaczonych mu dla wykończenia pracy. To téż dwaj koledzy moi, u których od lat wielu trudnił się przepisywaniem papierów, odmówili mu wkrótce roboty.

— Czy i pan odprawi mnie także? — zapytał smutnie po opowiedzeniu mi tego, co go u kolegów moich spotkało.

Nie myślałem naturalnie sprawiać mu téj nowéj przykrości, jakkolwiek, w tajemnicy przed nim, miałem już innego kopistę, który spełniał to, czego on dokonywać nie był zdolny.

Coraz widoczniejszém stawało się dla mnie, że życiowa karyera Czyńskiego miała się ku końcowi. Nie można było powiedzieć w istocie, aby był chorym. Nic go, jak mówił, nie bolało. Było to poprostu wyczerpanie sił, śmiertelne znużenie, powolne gaśnięcie.

Przyszło mi raz na myśl, że długi, zupełny odpoczynek, jako téż wiejskie powietrze i zdrowe wiejskie pokarmy, przywróciły-by może, choć w części, siły utracone. Powiedziałem mu téż, iż gdyby tylko chciał, to-bym wyjednał mu u prezesa biura uwolnienie od zajęć na dwa, lub trzy, miesiące, które mógłby spędzić na wsi w małym folwarku, położonym w bliskości miasta, a do siostry mojej należącym.

— Ja miał-bym wyjeżdżać na wieś? — powtórzył ze zdziwieniem — po co?

— Musiałeś pan być przecież na wsi kiedykolwiek; wiesz więc, jak tam jest w lecie zielono, świeżo, zdrowo.

— Urodziłem się i dzieciństwo moje spędziłem na wsi, ale to już tak dawno było.

— Ale i przez te lata, które przepędziłeś pan w mieście, musiałeś niekiedy czynić wycieczki w okolice miasta, chodzić na przechadzki...

— Na przechadzki — powtórzył — poco? A! — dodał po chwili — prawda! była kiedyś wielka majówka za miastem... ja wtedy byłem zaręczony z panną Różą i na majówkę poszedłem, bo i panna Róża tam była. Ale to bardzo dawno... lat temu ze dwadzieścia siedm...

— A potem to już nigdy nie znalazłeś się pan w czystym polu?

Przypominał sobie chwilę.

— Potem? — rzekł — a byłem raz... trzy miesiące temu... wtedy, jak wracałem z pogrzebu Maryanny.

Tak więc człowiek ten przez lat dwadzieścia siedm ni razu ani na chwilę nie opuścił twardego bruku miejskiego i dusznych ścian miasta. Zapomniał już nawet, jak wygląda piękny świat Boży z błękitem nieba i zielenią pól, ze śpiewem ptaków swobodnych i blaskiem słońca, niczym nieprzyćmionym. Trzeba mu go pokazać, ten świat zapomniany przezeń, świat wolnej, bogatej przyrody — pomyślałem — a może zgodzi się potem na kilkomiesięczny, tak niezbędny mu, pobyt na wsi!

Powiedziałem mu dnia pewnego, że, chcąc nie chcąc, musi uwolnić się na dzień jeden z biura i pojechać ze mną do folwarku mojej siostry. Nie bardzo przypadło mu do smaku to przedstawienie. Lenił się trochę, nie chciał opuszczać zajęć biurowych, a przedewszystkiem obawiał się zostawiać na dzień cały mieszkanie swe pustym i znajdujące się w niem skarby niestrzeżonymi.

— Mieszkanie pańskie zamknijemy starannie — rzekłem — a zwierchnicy jednodniowego opuszczenia biura za złe ci nie wezmą. Pojedziemy.

Miałem nad nim, od czasu szczególniejszej śmierci Maryanny, wpływ niejaki. Garnął się do mnie, jak do jedynego na świecie człowieka, który nie odrzącał go, lecz owszem, okazywał mu życzliwe zajęcie. Przystał więc w końcu na moje żądanie, i nazajutrz zaraz wyjeżdżaliśmy obaj z miasta, lekkim, odkrytym powozem.

Dzień czerwcowy panował nad światem w całej swjej okazałości, ciepły choć nieupalny, woniejący, barwisty, złoty. Wśród zbóż i drzew zielonych przebyliśmy szybko kilkowieśną drogę. Jadąc, dopatrywałem uważnie zmian, które, jak wyobrażałem sobie, zająć były powinny w twarzy towarzysza mego, na widok przedmiotów, znanych mu dawniej, lecz dziś stanowiących dla niego świat całkiem obcy. Ku wielkiemu zdziwieniu memu, twarz ta pozostała zupełnie taką samą, jaką bywa zwykle; cichą, nieśmiałą, znękaną. Jedynym uczuciem, którego widocznie doświadczał w podróży, była bojaźń. Tak dawno już nie przenosił się on z miejsca na miejsce inaczej, jak pieszo, że każde przechylenie się na bok powozu, każde stuknięcie koła o kamień, każde głośniejsze parsknięcie konia, napełniało go strachem. Niewzruszenie wytrwały i spokojny wobec moralnych cierpień samotności i upokorzenia, był on pozbawiony w zupełności fizycznej odwagi. Drgnął raz gwałtownie i podniósł rękę giestem obronnym, w chwili, gdy wesoła ptaszyna jakaś, przelatująca nisko nad drogą, zafrunęła skrzydłami tuż nad jego czołem.

W folwarku nie mieszkał nikt, prócz oficjalistów i czeladzi. Przybywszy na miejsce, zaprowadziłem towarzysza mego do cienistego, starannie utrzymanego ogrodu, i posadziłem go na brzoźowej ławce pod cieniem rozłożystych, kwitnących właśnie w porze tej, kasztanów. Prosiłem go, aby zaczekał na mnie w tym miejscu, dopóki nie załatwię kilku gospodarskich zleceń, danych mi przez siostrę. Bawiłem niespełna pół godziny. Wracając, znalazłem Joachima, siedzącego na tym samym miejscu i w tej samej, w jakiej go zostawiłem, postawie. Nie wstał ni razu z miejsca, nie poruszył nawet głową, by obejrzyć się dokoła.

Bo też wśród ram, uplecionych z błękitu, kwiatów i zieloni, wyglądał on na kształt źdźbła zeschniętego mchu, oprawionego w złoto i dyamenty. Dokoła wychudłej jego postaci, sztywnie i nieruchomo siedzącej na białej ławie, drgały, migotały, przelewały się szmery i dźwięki, olśniewające światła i przezroczyście wzorzyste cienie; u stóp jego, wśród puszystej murawy, kwitły stokrocie i gwoździki, nad czołem zoranym i wyżółkłym zwisały ciężkie od kwieciana gałęzie drzewa i świegotały ogłuszająco radosne roje ptaków.

Wązki, złoty promień słońca wił się po ciemnych, pomarszczonych, splecionych nieruchomo jego rękach i po malinowych kratkach szarej jego kamizelki. W chwili, gdy zbliżałem się, jedną z krat tych okrył rozpiętymi skrzydłami wielki błękitnawy motyl. Na widok zlatującego mu na pierś pięknego owadu, Czyński drgnął cały. Poruszenie to odpędziło motyla, lecz zarazem wstrząsnęło zwisającą nad głową jego ciężką gałęzią, która zakolysała się i zrzuciła mu na siwe włosy deszcz kwiatowych listków i pyłków...

— Czy pojedziemy już? — zapytał, gdy stanąłem przed nim.

— Nie jeszcze — odpowiedziałem — musimy zjeść obiad.

Wkrótce przyniesiono pod kasztany stół biało nakryty i zastawiony prawdziwie wiejską ucztą, złożoną z kurcząt, salaty, śmietany, jaj i jagód. Czyński powiódł spojrzeniem po zastawie tej i z uśmiechem niedowierzania zapytał:

— Czy to obiad?

Potraw, które stały teraz przed nim, nie widział już od czasu, kiedy przestał wyglądać za mury miasta; wszystko zaś, co różniło się w jakikolwiek sposób od trybu codziennego, rozpaczliwie monotonnego jego życia, dziwiło go niewypowiedzianie. Jadł też bardzo mało, jakkolwiek mówił mi w drodze, że czuje się trochę głodnym. Ale kurczęta, mleko i jagody nie smakowały mu. Widocznym było, że przełożył-by nad nie przydymiony krupnik i obrzydliwą pieczeń, które mu od śmierci Maryanny przynoszono codziennie z miejskiej garkuchni.

Wyprowadziłem go potem na przechadzkę w pole, do brzozowego gaju, nad kręty strumień, mruczący po kamieniach wśród olch i brzoź płaczących. Zjęty szczególnie uczuciem litości i jakby poszanowania dla tego steranego, uwiędłego życia, szczerze pragnąłem, aby upodobał sobie w tych miejscach, i mieszkając w nich czas jakiś, wzmocnił swe siły, orzeźwił umysł, przedłużył dni swego istnienia. Ale, ku zdziwieniu i smutkowi memu, jedynym widocznym śladem, który pozostawiał na nim widok przyrody, było — zmęczenie. Powieki jego drgały i mrugały, jak od olśnienia, pierś, za słaba dla przelatywania woniami napelnionych powiewów, oddychała z trudnością. Zaraz też po powrocie z przechadzki zabrałem się do wyjazdu.

Słońce zaszło już było prawie, szkarłatne obłoki mieszały się na niebie z ciemnym, fioletowym i bladym błękitem, wśród drzew brzęczały roje owadów w powietrzu z głośnym huczeniem przelatowały chrząszcze, i wraz z orzeźwiającą wilgocią mgieł białych rozlewał się upajający zapach skoszonej trawy. Przed wsiadaniem do powozu zwróciłem się do Czyńskiego.

— Cóż? — rzekłem — nie namyślisz się pan? nie zechcesz przebyć tu parę miesięcy? — Potrząsł z wolna głową.

— Nie — odpowiedział — wolę moją ciupę... w mieście. Tu jakoś obszernie bardzo i jasno. Czy mnie zabolaly i w uszach mi od tego wszystkiego szumi!

Kiedy lekki powóz nasz toczył się szybko drogą równą i gładką, gwiazdy świecić zaczęły przez gałęzie drzew przydrożnych, nad polami zaległa cisza głęboka i biała para przesłoniła zieloność łąki. Ale Czyński nie patrzył ani na gwiazdy, ani na pola uśpione, ani na fantastyczne fale mgły wieczornej. Kiedy po przebyciu kilku wiorst spojrziałem na niego, oczy miał zamknięte. Usnął.

Stracił już był widocznie zmysł pojmowania i odczuwania piękności wszelkiej. Zapomniał, jak wyglądają kwiaty. Lękał się ptaków i motyli. Tak długo żył w rozłączeniu zupełnym z przyrodą, że nie miała już ona dla niego głosu, ni powabu. Jedynym wrażeniem, jakie wywierały na niego widoki jej i dźwięki, było poczucie przestrzegającego bezmiaru i odurzającego gwaru. Mimowoli przypomniałem sobie owego na suficie wymalowanego głowonoga, i zdawało mi się, że widzę kręte, galaretowate ramię potwora, wpijającego się w głowę tę, uśpioną wśród poduszek powozu i przybraną jeszcze w kilka drobnych listków kasztanowego kwiecia.

Wkrótce potem, korzystając z wakacyjnej pory, udałem się w zwykłą coroczną podróż, trwającą parę miesięcy, a niezbędną mi dla zdrowia tak umysłu, jak ciała. Gdym wrócił, domownicy moi powiedzieli mi, że Czyński przez parę tygodni przychodził codziennie i zapytywał, kiedy mianowicie oczekiwany jestem w domu, ale od tygodnia przeszło nie widziano go już więcej, ani tu, ani w biurze. Domyśliłem się smutnej przyczyny tego zniknięcia z przed oczu ludzkich kopisty mego i, załatwiwszy się z pilnymi interesami, w parę dni po powrocie poszedłem go odwiedzić. Przelotny promień radości przebiegł mu twarz, gdy ujrzał mnie wchodzącego. Leżał w ubraniu na łóżku i widziałem, że z bolesnym wysileniem podniósł się, aby mnie przywitać.

— Myślałem — rzekł z bladym uśmiechem — że nie zobaczę już pana...

— Czy jesteś pan chory?

— Ot, tak jakoś! sam nie wiem! Nic mnie nie boli, ale czuję się słabym. Codzień ubieram się i chcę iść do biura, albo przynajmniej siąść i pisać w domu, ale nie mam siły.

W tydzień potem zaprzestał już prób nadaremnych. Nie wstawał wcale z łóżka. Przychodziłem do niego najczęściej, jak tylko mogłem, ale, mając czas bardzo zajęty, nie

byłem zdolen zaradzić skutecznie tej przerażającej samotności, wśród jakiej teraz przebywać musiał. Widać było jednak, że człowiek ten, czując w sobie gasnące życie, doświadczył nagle gwałtownego pragnienia twarzy, głosów, a może i przyjaznych serc ludzkich. Zdejmująca go tęsknota niewymowna napelniała mu oczy wyrazem cichój, jakby dziecięcej, żalości. Nigdy przecież żadna głośna skarga z ust mu nie wyszła, i na twarzy jego nie zapłonął ni razu żaden gorzki, lub gwałtowny bunt ducha. Na prośbę moją, siostra moja posyłała mu codziennie wzmacniające pokarmy i napoje, ale wpływ ich nie mógł zastąpić niedostających mu ciągłych, troskliwych starań. Od śmierci Maryanny małe mieszkanie zmieniło bardzo pozór swój. Powietrze w nióm było stęchłe i duszne, grube warstwy pyłu okryły ściany i sprzęty, śmiecie, zgarnięte z lekka ze środka izby, napelniło jęj kąty... Żadne namowy moje skłonić nie mogły Czyńskiego do najęcia sobie stałej służącej. Obawiał się być okradzionym i poprzestawał na dorywczęj i niechętnęj posłudze, niezgrabnęj, rozczochranęj dziewczyny, którą mu za umówioną zapłatę przysyłała parę razy dziennie właścicielka domu. Nocami pozostawał samotnym zupełnie, i nie mogłem bez pewnego mimowolnego wzdrygnięcia myśleć o tém, iż może on tak kiedy zgasnąć śród ciemności i ciszy, bez słowa pociechy i pokrzepienia, bez przyjaznęj ręki, która-by dłoń jego pożegnała ostatnim uściskiem, lub która-by przynajmniej kroplą wody zwilżyć mogła spieczone jego usta. Inaczej jednak stać się miało. Pewnego dnia, w obiadowęj porze, przybiegła do mieszkania mego owa rozczochrana dziewczyna, która pełniła przy Czyńskim niezbędne usługi, i oznajmiła, że bardzo usilnie pragnie on jak najprędzej widzieć się ze mną.

Poszedłem natychmiast. Przywitał mnie spójrzeniem tak jasnym i uśmiechem tak swobodnym, jakich dawno u niego nie dostrzegłem. Wyciągnął ku mnie wychudłą swą rękę i rzekł z cicha:

— Dziękuję panu, że pan przyszedł. Dwie godziny temu wypowiadałem się... myślę, że dziś już będzie po wszystkim...

Chciałem prosić go, aby nie oddawał się tak smutnym przewidywanióm, ale skinął powoli ręką.

— Tak to już jest — rzekł — zaledwie mogę oddychać i chwilami robi mi się zupełnie ciemno w oczach... doktor zresztą, którego pan tu przysyłaś, nie tai przede mną tego, że mi sił braknie... zupełnie braknie.

— No — dodał po chwili spoczynku, uśmiechając się znowu — będzie ich jednak dosyć, sił tych, aby z panem pomówić godzinkę jaką.

Wsparł się łokciem o poduszki i, ze skronią, na dłoń pochyłoną, mówić zaczął cichym i słabym, potem coraz silniejszym głosem:

— Czy pamięta pan, że kiedyś, nie wiem doprawdy, jak dawno temu, powiedziałem panu, że przyjdzie taki dzień, w którym ja wyjawię przed panem jeden sekret... otóż teraz przyszedł już ten dzień i ja muszę prosić pana, żeby pan wysłuchał mnie naprzód, a potem poradził mi i dopomógł... Ale wprzód trzeba, żeby opowiedział, jak wszystko było i działo się bo inaczej nie zrozumiał-byś pan... nie, z pewnością nie zrozumiał-byś dobrze ani tego, o czém ja myślę, ani tego, czego chcę...

— Obawiam się tylko — przerwałem — aby mówienie długie nie zmęczyło cię zbyt...

— Mniejsza o to — rzekł — niech pan mi tylko nie przeszkadza i nie przerywa, bo czasu już mało, a roboty będzie około tego trochę... Otóż widzi pan, ja i Maryanna urodziliśmy się na wsi, w małej folwarczynie ojcowskiej... Matki nie pamiętamy oboje, umarła, kiedyśmy byli bardzo jeszcze mali, a ojciec, odpuść mu panie, zapijał się często i niebardzo dbał o nas. Oddał mię jednakowoż do szkół, a Maryannę ciotka nasza szycia i różnych robót uczyła. Kiedy skończyłem cztery klasy i miałem lat szesnaście, ojciec umarł, folwarczynę sprzedali za długi, a ja wstąpiłem do biura...

— W szesnastym roku do biura! — zawołałem mimowoli.

— Tak, teraz już nie przyjmują w tym wieku, ale wtedy przyjmowali... brałem przez pierwsze kilka lat po cztery, albo pięć rubli miesięcznie, i siostry wziąć do siebie nie mogłem, bo sam ledwie jeść co miałem, i w dziurawych butach chodziłem. Mieszkała ona z początku u ciotki, a potem poszła za pannę służącą do jakiejś bogatęj pani, z którą wyjechała gdzieś daleko, tak, że długo bardzo nie wiedziałem, gdzie jest i czy żyje. Kiedy już z lat dziesięć pisałem w biurze, i dosłużyłem się dwudziestu rubli miesięcznie, a byłem

pewny, że dosłużę się kiedyś daleko większych rzeczy, poznałem pannę Różę, pokochałem ją i, jak pan wieś, mieliśmy się pobrać, gdy otrzymałem list od Maryanny.

Umiała ona trochę pisać, bardzo źle, ale umiała trochę. Napisała więc tylko te słowa:

„Joachimie! jest nas dwoje tylko na świecie, ty i ja. Jedna matka nas rodziła i, jak byliśmy jeszcze oboje w domu, ty mnie lubiłeś i ja ciebie lubiłam. Teraz jestem w takim położeniu, że, jeżeli za dwa tygodnie nie przyjedziesz i nie zabierzesz mnie ztąd, pójdę do rzeki i utopię się. Nie myśl, że kłamię, bo tak jest, i zlituj się nada mną. Będę sługą twoją, będę proch pod twemi nogami zmiatać, tylko mię ztąd zabierz”.

Pisała, panie, ten list z miasta, niebardzo dalekiego. Cóż było robić? Serce mię zabolalo, przed oczyma stanął mi ten moment, jak żegnaliśmy się przed wyjazdem jęj w dalekie strony i jak wtedy całowaliśmy się i płakali oboje. Pojechałem. Znalazłem ją... o! panie! jak... gdzie ją znalazłem?...

Tu przerwał sobie mowę; ledwie dostrzegalne drgnienia poruszały przez chwilę ustami i powiekami jego. Potem mówił dalej:

— Zwyczajna to była historia biednych, ładnychdziewczyn, służących w garderobach pańskich. Panicz w nięj sobie upodobał i ona w nim. Potem wypędzono ją w świat. Dziewczyna była płocha, kochliwa, chichotka. Znalazł ją ktoś drugi i znowu porzucił.

Potem... potem panie, była ona już tam... była ona, panie w piekle... ale widać Pan Bóg nie chciał potępić na wieki jęj duszy, bo nie mogła wytrzymać... wyplakiwała oczy... zrywała się... chciała służyć... nikt jęj już nie przyjmował... tedy przypomniała sobie o mnie i napisała... Niech pan będzie litościwym dla nięj i nie sądzi jęj srogo... odpokutowała. —

I znowu milczał chwilę. Splótł ręce i wyszeptał kilka niedosłyszalnych wyrazów. Prosił może Boga o przebaczenie dla tęj, o której mówił, lub może do nięj samęj słał słowa litości i przebaczenia.

— Wziąłem ją więc do siebie. Z początku myślałem, że wszystko, co było, zostanie w sekrecie; ale gdzie tam! ludzie jeżdżą po świecie i gadać dużo lubią... rozniosło się... Koledzy powiedzieli, że człek bez wstydu i ambicyi... zaczęli śmiać się ze mnie i nie lubić mnie... niektórzy nie kłaniali mi się już na ulicy, a inni przychodzili, żeby ją zobaczyć i spróbować u nięj szczęścia... Ona rzucała im się w oczy, jak osa, a ja dwu, czy trzech, za drzwi wypchnąłem... Ciernie, panie, ostre ciernie zaczęły wlażyć mi w nogi... ale trudno! wyprawić jęj od siebie nie mogłem... żałowałem jęj... chciała zostać uczciwą, a bez mojęj pomocy nie mogła...

Wszystko to jednak nic nie znaczyło, dopóki panna Róża... ale pan wieś o tęj historii? prawda? i ja myślę, że nie trzeba panu opowiadać, jak mię serce bolało... bardzo i długo. Ona, panie, była taka śliczna i taka dobra... poszedł-bym dla nięj w ogień i polazł-bym w wodę, ale wepchnąć siostry napowrót do piekła nie mogłem...

— A Maryanna wiedziała o tém, jaką ofiarę pan dla nięj czyniłeś? — zapytałem, gdy opowiadający umilkł na chwilę, o władnięty nieprzewyciężoném, wspomnień i westchnień pełném, zamyśleniem.

Podniósł wzrok i tonem pytania powtórzył:

— Ofiarę? jaką ofiarę?

Nie pomyślał nigdy o tém, aby postępkowi swemu miano to nadać.

— Ja nie wiem, czy to była jaka ofiara... inaczej zrobić nie mogłem. Maryanna późnięj dopiero, nie prędko, dowiedziała się o wszystkiém...

Milczał jeszcze chwilę, potem mówił dalej:

— W mojem życiu, panie, raz tylko słońce jasno świeciło... wtedy, kiedy byłem ręczonej z panną Różą... potem zgasło i nie zaświeciło już nigdy... Nie byłem śmiałym do kobiet, nie upodobałem już sobie nigdy w żadnej, a jeżeli kiedy i pomyślałem o której, że może-by... to wiedziałem dobrze, że dla tęj samęj przyczyny, co i panna Róża, żadna za mnie nie pójdzie, a jeżeli-by i poszła, to czy pogodziła-by się z Maryanną? czy mogła-by zapomnieć o tém, co było? czyby jęj życia piekłem nie zrobiła? Prędko zresztą, bardzo prędko przestałem zupełnie myśleć o tém, ale pomyślałem o czém inném... Nie umiem, panie, opowiedzieć... nie pamiętam już teraz dobrze, jak do tego przyszło, ale zacząłem coraz więcęj pracować i zbierać pieniądze... nie dla siebie! nie! dla ludzi, panie... o czém myślałem, kiedy to robić zaczął, co czułem... nie umiem opowiedzieć... wiem tylko, że

był taki dzień, w którym pomyślałem sobie: nie będę miał nigdy własnych dzieci! i zapłakałem po cichu nad samotną starością, co mię czekała. Niech-że ja cokolwiek choć dla cudzych dzieci zrobię! Niech-że ja zrobię tak, żeby przeze mnie choć dwoje, albo troje, ludzi szczęśliwszą dolę miało, niż dola moja i Maryanny... Szukałem, panie, roboty wszędzie, gdzie mogłem... oszczędzałem grosz, jak tylko mogłem, i oto, panie, teraz w tej szkatułce jest 8,000 rubli w biletach, i jeszcze coś drobnych asygnat i srebrnej monety...

Mówiąc to, z wysileniem wielkiem wy dobył z pod poduszki małą szkatułkę, którą zapewne przed ostatecznym położeniem się w łóżko, wyjął był z kufra.

— Niech pan ją otworzy i przeliczy wszystko, co tam jest — prosił, zdejmując z szyi zawieszony na sznurku mały klucz.

— Cóż chcesz uczynić z pieniędzmi temi, kochany przyjacielu? — zapytałem, mimowoli ujmując rękę jego w obie dłonie, bo z na-pół jeszcze tylko zrozumiałych słów, które wymówił, wielkie światło uderzyło mię w oczy. Zaczynałem pojmować, jak ciężką, srogą omyłkę popełnili ludzie względem człowieka tego.

— Otóż to, że nie wiem dobrze, jak to zrobić? — odpowiedział mi znacznie już cichszym, słabszym głosem, niż wprzód, — ale pan będziesz pewno wiedział... Chciał-bym, panie, aby za procent od tych pieniędzy... rozumie pan? za procent... edukowano jednego chłopca i jedną dziewczynę... czy tak można?

— Nic nie staje temu na przeszkodzie, a suma jest dla celu tego wystarczającą — rzekłem wzruszony.

Słowa moje rozświeciły mu twarz promieniem radości.

— Dzięki Bogu! — szepnął, splatając ręce. Ale zdaje się... zdaje się, że to trzeba napisać...

— Trzeba wistocie, abyś podyktował mi ostatnią twoją wolę, bo napisać ję sam nie będziesz miał siły.

— Niech pan napisze... pan już wie jak, a ja podpiszę.

Usiadłem przy stole i napisałem szybko akt stosowny. Potem przywołani przeze mnie dwaj mieszczanie rzemieślnicy, jako też i lekarz, który przyszedł właśnie odwiedzić chorego, podpisali się na nim, jako świadkowie. Zajęło to niespełna godzinę, podczas której Czyński żywo zajmował się zdawał wszystkiem, co się dokonywało, niezwykle błyszczącymi oczyma spoglądał dokoła, ale, z wyjątkiem koniecznych odpowiedzi na zapytania świadków i lekarza, które dawał głosem drżącym, lecz wyraźnym, nie mówił nic. Kiedy nakoniec tak szkatułka z pieniędzmi, jak i akt testamentowy, zostały opieczetowane, a trzech obcy ludzie opuścili izbę, podniósł on w górę drżące ręce, i słabym głosem zawołał:

— Dzięki Bogu!

Poczém, zwracając się znowu do mnie, rzekł z promiennym uśmiechem:

— Słońce zaświeciło znowu...

Przymknął oczy i zdawało mi się, że usnął, ale po kilku minutach podniósł znowu powieki i zaczął bardzo cicho:

— Żebyś pan wiedział, jak ja o tém ciągle... ciągle myślałem... i w biurze, i przy stole, i te długie noce, kiedy na świecie cicho było, jak w grobie, a ja jeden siedziałem tam przy stoliku i pisałem tak długo, aż mi ręka zmartwiała... Myślałem, że będzie ich dwoje, którzy przeze mnie... przez moją pracę, lepszej doli doświadczą, niż ja i Maryanna... a potem znowu dwoje... i tak długo... długo... Ludzie nie lubili mnie i wyśmiewali... dokuczali mi i prześladowali Maryannę; a ja myślałem sobie, że dzieci tych samych może ludzi, co nas tak prześladowają, będą kiedyś miały przeze mnie trochę rozumu w głowie i słońca w życiu... myślałem tak i cieszyłem się bardzo z tego, że za te kamienie, co oni na mnie ciskali, ja kiedyś oddam im chlebem...

Milczał chwilę, potem rzekł jeszcze:

— Chciałem zrobić jak najwięcej... jak najwięcej... ale już więcej nie mogłem... dzięki Bogu i za to...

Siedziałem tuż przy łóżku i, trzymając rękę jego w obu mych dłoniach, nie spuszczałem oczu z jego twarzy, która, uciszona, spokojna, z zamkniętymi oczyma i uśmiechniętymi ustami, woskową żółtością odbijała od bieli poduszek. W izbie cicho było zupełnie, za małymi oknami zapadał szary zmrok jesiennego wieczoru. Parę razy jeszcze otworzył oczy, a gdy spójrzanie jego spotkało się z mojem, usta jego wyszeptaly cicho:

— Dzięki Bogu!

Byłem pewny, że, gdyby miał dosyć siły po temu, dodał-by jeszcze; że nie umieram sam jeden! Bowiem promienna, głęboka wdzięczność zaświeciła mu w oczach, gdy, usiłując uścisnąć moją rękę, zaledwie dosłyszalnie szepnął:

— Jaki pan dobry dla mnie!... dziękuję...

Ostatniem tedy uczuciem tego biednego, znękanego, wzgardzonego, ciemnego życia, była wdzięczność, ostatniem słowem jego — słowo dziękczynienia.

Nie podniósł już potem powiek i nie otworzył ust ani razu. Żadne konwulsyjne drgnienie nie wstrząsnęło jego ciałem, żaden chrapliwy oddech nie ozwał się w piersiach. Umarł tak, jak żył: bez szmeru, jęku, ni skargi, wśród ciszy i mroku.

# PANI LUIZA

*Nowella*

Dość dawno już temu, pewnego przedpołudnia, znalazłem na biurku mojem, wśród innych korespondencyi liścik niewielkich a bardzo zgrabnych rozmiarów, w kopercie fijołkami pachnącej zamknięty, i na welinowej ćwiartce, poniżej cyfry spowitej w bluszczowe gałązki, następujące wyrazy zawierający:

*Szanowny Panie!*

„Jak jestem kobietą, i jak z powodu niedyspozycyi domu w tych dniach nie opuszczam, mam śmiałość prosić pana o wizytę, w celu konferowania z nim o moich interesach, które rada-bym bardzo powierzyć światłym widokom i sumiennym staraniom Jego, tyle mi przez xiędza X. rekomendowanym. Przyjmuję codziennie od 3-jej do 7-jej po południu.

Chciej pan przyjąć wyrażenie uczuć moich, zupełnie dystyngowanych.

*Luiza ze Żmurskich Wielogrońska.*”

Przeczytanie listu tego obudziło we mnie na przód śmiech, potem gniew. Tak ogólny styl pisma, jak przedewszystkiem wyrażane mi uczucia *zupełnie dystyngowane*, rozśmieszyły mię z razu; potem przyszło mi na myśl, iż ktoś zażartować chciał sobie ze mnie lub zmistyfikować przesyłając mi pismo podobne, i rozgniewałem się trochę na tego, co mi czas zajmował niepotrzebnymi żartami. Po dłuższym jednak namyśle, zacząłem przypuszczać, że list, który, śmiejąc się mimowoli odczytałem raz jeszcze, nie był żartem ani mistyfikacją, ale utworem jakiegś może cudzoziemki, która z językiem miejscowym dostatecznie obznajmioną nie była, a własnego używać nie chciała nie wiedząc, czy zrozumianą przeze mnie będzie. Ależ znowu podpis u dołu listu umieszczony, a brzmiący tak bardzo po polsku zbijał to przypuszczenie. Ze Żmurskich Wielogrońska! Ani cienia cudzoziemszczyzny w obu tych nazwiskach. Poprzedzało je wprawdzie imię Luiza, więc z francuzka brzmiące...

Nagle przypomniałem sobie, tak, jak to często przypomina się o rzeczach tu i owdzie zasłyszanych, lecz zupełnie obojętnych, więc do pamięci z trudnością wracających, iż w bliskości miasta naszego znajdowały się dobra obszerne do jakiegś pani Wielogrońskiej należące, i że w samem mieście naszym przebywała od pewnego czasu osoba, nazwisko to nosząca. Nazwisko to obijało się nawet nieraz o uszy moje, ale komentarzy towarzyszących mu, wcale a wcale, już nie pamiętałem. Zdawało mi się tylko, jako-bym nieraz spotkał się z niem w domu xięcia X, którego interesami prawnymi często zajmowałem się, i u którego bywałem nietylko już jako prawnik i pełnomocnik, ale jako dawny i dobry znajomy, a także, iż znajdując się raz na mieście, widziałem damę jakąś, jadącą zgrabnym, leciuchnym koczykiem, w aksamit i sobole otuloną, i że ktoś, co mi w chwili owęj na ulicy towarzyszył, nazwał damę tę panią Wielogrońską.

Wspomnieniami temi upewniony, iż osoba, która chciała interesy swe powierzyć *światłym widokom* moim, nie była mytem, ani wymyśloną dla zażartowania ze mnie mistyfikacją; postarałem się o adres jęj, którego mi nie przysłała w przekonaniu zapewne, iż nikt z żyjących o miejscu pobytu jęj nie wiedzieć nie mógł, i około 4-jej z południa udałem się do jęj mieszkania.

Mieszkanie to zajmowało całe piérwsze piętro jednéj z najobszerniejszych i najzdobniejszych kamienic naszego miasta. Po wschodach wszedłem do przedpokoju, gdzie spotkał mię bardzo poważnéj powierzchowności lokaj, czy kamerdyner i, dowiedziawszy się o mojem nazwisku, uprzedzony już snadź przez swoją panią, roztworzył z ukłonem przede mną drzwi salonów. Kiedym zdejmował paltot mój, uderzony zostałem znajdującym się w przedpokoju przedmiotem bardzo cennym i niepospolicie pięknym. Były nim wielkie wieszadła ułożone z rogów łosich i jelenich, powikłanych ze sobą w sposób niezmiernie kunsztowny, a przytwardzonych do postumentu artystycznie z dębowego drzewa wyrzeźbionego. Sprzęt ten, tak pospolity zwyczajnie, mógł tu śmiało nosić nazwę dzieła



sztuki. Dwa duże salony, przez które przechodziłem, a które wiodły do mniejszego saloniku i ukazującego się za nim gabinetu czy budoaru, nosiły na sobie charakterystykę szczególną i mogącą zwrócić uwagę każdego, byle choć trochę myślącego, przybysza. Były one nie tylko napełnione, lecz przepelnione sprzętami najrozmaitszego rodzaju i użytku, które zdawały się tam tłoczyć i mieszać ze sobą w nagromadzeniu, na pierwszy rzut oka, zbyt wielce i niemal chaotycznym. Kanapy, kanapki, kozetki, szelągi, małe foteliki, taburety, stoliki, etażerki, lampy i kandelabry stały tam w ugrupowaniach najrozmaitszych, niby różnorodne wojsko, w popłochu rozrzucone na zbyt ciasnej dla niego przestrzeni. A jednak dosyć było jednego dłuższego rzutu oka, aby w chaosie tym spostrzedz przewodniczący mu miękki, rozpieszczony smak. Były to nie salony, lecz raczej obrazy, ze wszystkich powyżej wymienionych sprzętów i sprzęcików ułożone, a wśród których wyobraźnia marząca i rozpieszczona z lubością zatrzymywać-by się mogła na różnych ciepłych, potulnych kąciach, gdzie słyszałaś, zda się, przytłumione gwary leciuchnych światowych rozmów, lub szepty poufnych gawędek. W trzecim dopiero saloniku, znacznie mniejszym niż dwa poprzednie, a zatopionym w delikatnej jakiejś, blado-błękitnej barwie, oko przybysza spocząć mogło na przedmiotach, już poważniejszego znaczenia. Były to, wiszące na ścianach obrazy wielkiej ceny i mistrzowskiego pędzla, a także spoczywające na stołach, kosztowne bardzo albumy włoskich, flamandzkich i francuzkich malarzy. Pod jedną ze ścian stał pyszny fortepian paryzki, z pulpitem, napełnionym nutami do grania i śpiewu, a u okna, obok stalugi z rozpoczętym krajobrazem jakimś, leżały w nieładzie rozrzucone wszelkie przybory do pastelowych robót malarskich.

Znajdowałem się tedy w przybytku Muz, i wątpić nie mogłem, że *dystygowane uczucia* właścicielki przybytku tego zwracały się przeważnie, jeśli nie wyłącznie, w kierunku artystycznym. Po kilku minutach oczekiwania, uchyliła się przede mną blado-błękitna draperya przyslanająca całkowicie drzwi przyległego pokoju, a z za niej wpłynęła raczej, niż weszła do małego saloniku postać kobieca, wcale na pierwszy rzut oka niepiękna.

Kibić pani Luizy, ze wzrostem swym mniej niż średnim i z nazbyt nieco podniesionymi ramionami, nie wydawała się ani okazała, ani kształtna. Twarz jej, o zmęczonej nieco, acz bardzo białej i przezroczystej cerze, zarysowaną była nieprawidłowie i z niedyskretną wielce szczerością wydawała cyfrę trzydziestu kilku przeżytych już wiosen. A przecież, gdy pani Luiza postąpiła ku mnie kilka kroków, gdy z uśmiechem i lekkim skłonieniem głowy podała mi rękę, a potem tą ręką ukazując mi fotel, usiadła sama na kanapie; gotów byłbym powiedzieć, że kobieta, która na pierwszy rzut oka wydała mi się zupełnie prawie brzydką, była przeciwnie, jeżeli już nie doskonale, to bardzo pociągająco piękną. Ależ też suknia, która spływając z niezbyt wysokich i szerokich jej ramion, opływała ją całą miękkiemi, a jak świat długimi fałdami, dodawała nizkiej i krępej nieco jej kibici wiele powagi i wysmukłości. Nie umiem doprawdy, w przybliżeniu choćby określić kroju i rodzaju tej sukni. Wiem tylko, że był to axamit, mieniący się, jak skrzydła niektórych gatunków gołębi, zielonemi i szafirowemi barwami. Zresztą ręka pani Luizy, wychylająca się z prawdziwego puchu muslinów i koronek, była jak śnieg prawie białą, uśmiech ust jej, bladawych i trochę za szerokich, posiadał w sobie nieujęty wyraz dobroci i rzewności, a powłóczyście i łagodne spojrzenie jej szafirowych, wilgotnych oczu, przypominało wzrok potulnego, lęklivego nieco dziecięcia, lub dziewicy, z rozmarzonym sercem patrzącej w gwiazdy.

Rozmowa pomiędzy nami zawiązywała się z razu z trudnością, jak zresztą bywa najczęściej, gdy dwie osoby nieznające się dotąd wcale, i nieposiadające ze sobą nic wspólnego, spotykają się nie dla towarzyskiej tylko rozrywki, lecz w ważniejszych nieco celach. Ważniejsze te zresztą cele, dla których właśnie tu przybyłem, wydawać się musiały pani Luizie przedmiotami rozmowy wielce suchymi i do podjęcia trudnymi, bo, o ile tylko mogła, zwlekała chwilę mówienia o nich. Przez kwadrans dobry obracała ona rozmowę około przedmiotów nic wcale nieznaczących, zachwycała się pięknnością dni wiosennych, ubolewała nad brzydką i ubogą powierzchownością miasta naszego, które nie posiada ani malowniczych widoków, mogących sprawić przyjemność oku, ani artystycznych zbiorów i zasobów, które-by chwilowo przynajmniej mogły urozmaicić czas i zabawić umysł.

— Nie pojmuję prawdziwie, — rzekła, — jak ludzie mogą spędzać tu całe swe egzystencje. Co do mnie bowiem, mieszkam tu od roku niespełna, a doświadczam takiego uczucia, jakbym całkiem już wyłączoną została z pośród świata ucywilizowanego.

— Przebacz pani, — odparłem żartobliwie, — że, w imieniu stałych mieszkańców miasta naszego, do których sam należę, zaprotestuję przeciw jęj wyrokowi i upewnię, że nie wszyscy przynajmniej należymy do europejskich Eskimosów albo Niam-Niamów.

Zrozumiała prędko niewłaściwość odezwania się swego, i wpół zmieszana, wpół rozweselona żartem moim, zaśmiała się cichutko.

— O! nie wątpię, — zawołała, — że ztąd do kraju Kongo jest bardzo daleko! Chciéj pan jednak przyznać nawzajem, że równa pewno odległość dzieli ludność tutejszą, (o wyjątkach nie mówię) z krajami najwyżéj posuniętymi w cywilizacji.

— Nie będę o to sprzeczał się z panią... pozwolę tylko sobie uczynić uwagę, że, ze względu na pewne szczególne okoliczności, i to jeszcze za zasługę poczytać nam należy, iż z plemienia białego nie przemieniliśmy się jeszcze dotąd w czarno lub czerwonoskóre...

Marzące, wilgotne jęj oczy patrzyły na mnie z wyrazem naiwnego zdziwienia.

— Doprawdy? — rzekła. — Tak, w istocie słyżałam wiele o tém wszystkim... szczególnóów jednak smutnych tych historii nie znam dobrze. Ostatnie lat dziesięć przepędziłam całkiem prawie za granicą, a tu nikt mię dostatecznie poinformować nie mógl. Jedynymi blizkimi znajomymi moimi są tu książę Andrżę X., mój chrzestny ojciec, i syn jego...

Tu, niewiadomo dla czego, żrenice pani Luizy zmąciły się nagle, a powieki jęj na chwilę w dół opadły.

— Książęta X., — mówiła dalej, — przebywali także za granicą, i niewiele mi o tém powiedzieć mogli. Jestem bardzo osamotnioną...

— Pani nie masz tu krewnych, ani dawnych przyjacióów, znajomych?...

— Żadnych, żadnych przyjacióów ani znajomych! Wszystkie stosunki moje są tam, gdzie przepędziłam całe prawie życie... tu zaś jestem w położeniu cudzoziemki, którą-by burza wyrzuciła na nieznanne jęj lądy!

Mówiła to ze smętym uśmiechem, a słowa jęj, jakkolwiek dość dziwne dla mnie, miały wszelki pozór prawdy. Ustnie wyrażała się wprawdzie po polsku daleko lepiej niż piśmiennie, widocznie przecieź przychodziło jęj to z niejaką trudnością. Zatrzymywała się często w mowie szukając słów i wyrażéń, których jęj niedostawało, a wymowa, pełna wdzięku, posiadała w sobie pewien odcień cudzoziemszczyzny. W uchu mojęm przecieź brzmiały wciąż dwa nazwiska: ze Żmurskich, Wielogrońska!

— Matka pani musiała być zapewne cudzoziemką? — zapytałem.

— O nie! — odparła, — matka moja była z domu M-lle Wronicz. Straciłam ją bardzo wcześnie. Ojciec mój zaś, który po śmierci mojęj matki został młodym wdowcem, wysłał mię na wychowanie do klasztoru Świętej Klary w Paryżu, w którym jedna z zakonnice była blizką krewną mojęj matki, *une M-lle Wronicz aussi*. Wzrosłam pod okiem téj świętej kobiety, a po wyjściu z pensyi wydano mię bardzo prędko za pana Wielogrońskiego, który w dwa lata później umarł. Jako wdowa miałam zupełną możność urządzania sobie życia według upodobań własnych, to téż zamieszkałam tam, gdzie mi było lepiej, w miejscu, z którym wiążą mię najgorętsze sympaty i najlepsze wspomnienia, to jest w Paryżu.

Zdaje mi się, że gdybym był ciekawym, mógl-bym był, w téj zaraz piérwszej chwili poznania, dowiedzić się mnóstwa szczegóów z życia i przeszłości pani Luizy. Jak wszystkie dusze miękkie i wiecznie smętne, była ona widocznie niezmiernie skłonną do zwierzeń, w których użalenie się nad tém, co jest, i wspomnianie tego, co było, odegrywa ogromną rolę. Nie byłem przecieź jeszcze dość zaciekawiony, aby na podobnych rozmowach tracić czas, którego nie miałem zanadto. Postarałem się więc zwrócić uwagę pani Luizy na jedyny powód, który mię do jęj domu sprowadził.

— Interesom to więc majątkowym zapewne przypisać należy terażniejszy pobyt pani w kraju?

Trudno mi było wtedy odgadnąć, dlaczego na tak proste to moje zapytanie zmieszala się nieco i spuściła oczy.

— Tak, — odparła po chwili wahania, — jakkolwiek interesa te wzbudzają we mnie wstręt, ale to wstręt śmiertelny, muszę przecieź je raz uregulować, dlatego przynajmniej, aby módz potem nie myśleć już o nich. Przybywszy tu przed rokiem blizko prosiłam pana L., aby zajął się uregulowaniem moich interesów, i dałam mu stosowną plenipotencją. Ale jestem prawdziwie zdesperowaną, że powiedzieć muszę, iż pan L. wcale, wcale nie usprawiedliwił zaufania, jakie w nim pokładałam.

Powiedziała to z żalem, a nawet z bardzo widocznym, lubo powściąganym gniewem. Zdziwiło mię trochę oskarżenie to dotyczące, jak się zdawało, honoru i uczciwości kolegi mego, którego znałem z najlepszej strony.

— Nie zdaje mi się, — rzekłem, — aby pan L. zdolnym był zdradzić czyjekolwiek, położone w nim, zaufanie. Jest to człowiek, który z pewnością nie dopuścił się nigdy żadnego nieuczciwego postępku.

— Ja go też o żadną nieuczciwość nie obwiniam wcale! — zawołała pani Luiza żywo i z widocznym zdziwieniem. — Pan L. okazał się tylko względem mnie niedelikatnym, do najwyższego stopnia niedelikatnym...

— Czy podobna? jest to jednak człowiek dobrze wychowany i należący do dobrego towarzystwa!

— *C'est possible!* a jednak był on bardzo niewzględnym dla mnie. Głównym poleceniem, o którego spełnienie prosiłam pana L., było ułożenie pewnego bilansu, z którego dowiedzieć-bym się mogła, ile też naprawdę mogę mieć z majątków moich pewnego rocznego dochodu. Otóż pan L. pojechał do Żmurowszczyzny, objeżdżał podobno wszystkie folwarki, składał jakieś sesye z dzierżawcami i komisarzami, a wróciwszy, oświadczył mi, *il a eu la hardiesse de me dire, że nie mogę spodziewać się więcej, jak ośmiu, najwyżej dziesięciu tysięcy rubli!* Upewniam pana, *que c'était de la dernière absurdité et Vous comprendrez, że, po podobnym oświadczeniu, nie mogłam już dłużej korzystać z rad i pomocy pana L.*

— Jak wnoszę z tego, co usłyszałem, pani posiadać musi pewne dane, dla których cyfra przez pana L. wystawiona, wydaje się jój tak zupełnie nieprawdopodobną.

— *Mais comment donc!* — odparła, — posiadam na to najpewniejsze dane! Otrzymywałam zawsze z majątków moich około dwudziestu tysięcy. Od kilku lat dopiero cyfra ta zmniejszać się zaczęła, a będąc pewną naturalnie, iż staje się to, dzięki nierzetelności i chciwości dzierżawców i rządów, przyjechałam tu sama głównie dlatego, aby nadużyciom tym koniec położyć. *Ces gens la sont tellement imbéciles et tellement rapaces! n'est ce pas?*

— Być może; jednak to prawda, że w ostatnich właśnie kilku latach dochody wszystkich w ogóle posiadłości wiejskich w kraju naszym zmniejszyły się ogromnie.

— Doprawdy? — zapytała z nowym zdziwieniem — *et pourquoi?*

— Reforma stosunków włościańskich, zwiększone podatki, stagnacja w handlu i w kredycie... — zacząłem, ale przerwała mi pani Luiza.

— *Au nom du ciel!* — zawołała, uśmiechając się i z giestem prośby składając białe swe rączki. — *Au nom du ciel! ne m'en parlez plus, Monsieur.* Słyszałam już nieraz i od pana L., i od innych osób całą tę nieszczęśliwą nomenklaturę, której znaczenia w żaden sposób objąć nie może moja biedna kobieca głowa. *Que voulez-vous?* Wszystkie te reformy, stagnacje, handle i kredyty, są dla nas kobiet zupełnie niepojętymi. *C'est le royaume des élus:* urzędników i kupców! Co do mnie, wiem to tylko, że jest zupełnym, ale zupełnym niepodobieństwem, abym utrzymać się mogła z tych ośmiu czy dziesięciu tysięcy, które mi pan L. łaskawie przyobiecać raczył...

— Jestem zupełnie pewną, — dodała z uśmiechem tak uprzejmym i słodkim, iż nieledwie za serce chwytającym, — że pan lepszych, a raczej... prawdziwszych dostarczysz mi wiadomości.

— Czy będą pomyślniejsze, nie wiem, ale że będą prawdziwe, o tém upewnić pani nie potrzebuję, — odparłem. — Ponieważ jednak wkładać pani raczy na mnie obowiązek, który ja znowu z przyjemnością przyjmuję, prosił-bym o plany i inwentarz dóbr, wedle których mógł-bym oryentować się, gdy będę już na miejscu.

— Plany... inwentarze... — powtórzyła z razu jak przez sen, wlepiając w twarz moją szafirowe źrenice swe, które przybrały wyraz dziecięcej niemal naiwności. Po krótkiej jednak chwili, śmiejąc się ze swobodą także dziecięcą, zawołała:

— *Mais Vous me parlez de nouveau en grec, Monsieur!* z kądkie mogła-bym mieć te plany i te in... inwen... *comment l'avez-vous dit?* in... inwentarze? Co to właściwie znaczy? Może to tam gdzieś w Żmurowszczyźnie się znajdzie!

— W braku planów i inwentarzy, — rzekłem, — racz mię pani objaśnić w przybliżeniu przynajmniej, jaką jest rozległość dóbr jój, na ile folwarków są one podzielone i jakie obarczają je rządowe lub prywatne ciężary?

Patrzała na mnie długo, a w oczach jęj przebiegały i na rozwartych nieco ustach drgały powstrzymywane uśmieszki.

— Jak widzę, — rzekła, — panowie wszyscy jednostajnym przemawiając językiem. Sam nawet książę Andrzej łaje mię nieraz, że nie wiem sama, co mam, i nazywa mnie z tego powodu małą filozofką. W istocie nigdy pojąć nie byłam zdolną, jak można zajmować się podobnymi rzeczami, troszczyć się o te wszystkie majątkowe sprawy i na tych materialnych dobrach szczęście swoje zakładać. Co do mnie, chciej mi pan wierzyć, iż wszystko to nuży i nęka mię niewypowiedzianie, i że czuła-bym się prawdziwie poniżoną we własnych oczach, gdybym choć jeden dzień cały poświęciła tym powszednim, poziomym zachodom i rachubom...

Mówiła to z widoczną nieudaną szczerością. Słuchałem ją zdumiony.

— Łaskawa pani! — rzekłem, — jakże więc pojmować mam gniew jęj, który kolega mój miał nieszczęście ściągnąć na siebie, oświadczając, iż cyfra dochodów jęj osiągnąć nie może owym dwudziestu tysięcy...

— O! — przerwała, — to wcale co innego! Ja tyle mieć muszę, aby módz się utrzymać!

Szczególna to była logika! Później dopiero przekonałem się o tém z wielokrotnego doświadczenia, że prawne zawikłania z kobietami bywają najczęściej mniejszém lub większém morzem, do wypicia mężom prawa dawaném. Podówczas jednak nie posiadałem jeszcze doświadczenia tego i uczulem się zdziwionym, a bardziej jeszcze zakłopotanym.

— Cóż tedy rozkażesz mi pani uczynić? — zapytałem. — Do kogo lub gdzie udać się mam po nieodzownie mi potrzebne papiery, rejestra, dokumenta?

W chwili, gdy czynilem to zapytanie, wzrok pani Luizy pobiegł ku stojącemu w rogu salonu bardzo ozdobnemu zegarowi. Od kilku minut już rzucała ona na zegar ten przelotne i zaniepokojone nieco spojrzenia.

— *Pardonnez moi de grâçe, Monsieur!* — odrzekła z roztargnionym uśmiechem, — nic o tém wszystkiém nie wiem! Nic a nic! Może zechcesz pan zapytać pana L., w jaki sposób radził sobie, albo zgłosisz się do dzierżawcy Żmurowszczyzny, pana Łudzińskiego...

Uśmiej jęj i mowa były pełne roztargnienia. Widoczném było, że zaledwie dosłyszała pytanie moje i, że odpowiadając na nie, myślała zupełnie o czém inném. Ale wymówione przez panią Luizę nazwisko dzierżawcy uderzyło mię. Było mi ono dobrze znaném.

— Więc to pan Łudziński jest dzierżawcą głównego majątku pani? czy nie pan Władysław Łudziński? — zapytałem.

— *Oui...* zdaje mi się, że mu na imię Władysław.

Władysław Łudziński był szkolnym kolegą moim. Z przyjemnością pomyślałem, że spotkam się znowu z przyjacielem pierwszjej młodości mojej, dla którego zachowałem na zawsze przyjazne wspomnienie, i chciałem właśnie zapytać panią Luizę, na jakich warunkach dzierżawi on jęj dobra, gdy rozmowa nasza przerwana została odzywającym się za plecami mymi stłumionym i niezmiernie uniżonym głosikiem kobiecym.

— Upadam do nówek pani hrabiny!

Obejrzałem się i zobaczyłem wchodzącą do saloniku pannę Zuzannę Krzaczkowską, którą znało dobrze całe miasto, której zatem i ja nie znać nie mogłem. Była to kobiecina malutka i szczuplutka, z wiecznie, jak do pacierza, poniżej piersi splecionemi rękoma i z nieznikającym ani na chwilę uniżonym uśmieszkiem na żółtych wargach, otoczonych rojami dziwnie przykro wyglądających zmarszczek. Słodziutka i pokorniutka osóbką ta miała jednak nadzwyczaj bystre, przenikliwe i błyszczące małe oczki czarne, któremi strzelała na prawo i lewo z niezmierną wprawą i niezmierném zamiłowaniem w rzemiośle podpatrywania spraw i grzechów cudzych. Z czego panna Zuzanna żyła i za co kupowała sobie bardzo czyste zwykłe i wąskie czarne sukienki, płaszczyki z dziwaczniemi pelerynkami i kapturki atlasowe, które zwyczajny i całemu miastu znany strój jęj stanowiły — nie umiem doprawdy powiedzieć. Podobno zajmowała się wyrabianiem siatek jakichś i haftów, które roznosiła po domach, otrzymując w zamian tu trochę pieniędzy, ówdzie obiad, gdzieindziej wieczrę i t. d. W ogóle była to jedna z tych ptaszyn, które, nic wcale albo bardzo niewiele orząc i siejąc, jadają przecież i piją do syta. Ptaszyn podobnych zresztą pełno jest w społeczeństwie naszém, a im która żwawiej i ostrzej szczebiocze, tém hojniejsze dary sypią się w dość żarłoczny zwyczajnie jęj gardziołek.

Kokolwiek bądź, obecność ubogiej kobieciny tej, znaniej ze złośliwego plotkarstwa i uniżonego pochlebstwa, w domu tak wytwornym i wysoko w hierarchii społecznej

postawionym, jakim był dom pani Luizy, zdziwiła mię trochę. Zdziwienie to moje tém bardziej było usprawiedliwioném, że panna Zuzanna weszła do saloniku w sposób nadzwyczaj poufały, przez drzwi z wnętrza domu, więc zapewne przez garderobę i sypialnię wiodące, a pani Luiza poufałość tę przyjęła, jako rzecz bardzo zwyczajną i, z wdzięcznym uśmiechem skłaniając głowę ku przybyłej wskazała ję ręką krzesło, stojące nieco opodal od kanapy, na której siedziała sama.

— Proszę siadać, kochana panno Zuzanno, — rzekła, — proszę siadać, musisz być pani bardzo zmęczona... pogoda tak jest brzydka.

— Pokornie dziękuję pani hrabinie dobrodziejce, pokornie dziękuję! — kłaniała się i uśmiechała pokorna kobiecina. — Już to prawda, że dzisiejszy dzioneczek nam nie dopisał, a ja nawet wczoraj w wieczór modliłam się na tę intencją, aby Pan Bóg obdarzył nas dziś słoneczkiem, bo wiem, że pani hrabina tęskni zawsze za słoneczkiem, i że zdrowiecko pani hrabiny cierpi bardzo na tém, kiedy chmurki niebo pokryją i światek zrobi się taki ciemny, że choć płakać ze smutku!

— W istocie, — zwróciła się do mnie pani Luiza, — dziwnie drażliwą jestem na wszelkie zmiany pogody. Widok słońca i pogodnego nieba rozwesela mię, dni zaś chmurne i dżdżyste wprawiają w smutek lub w stan nieprzewycięzonej apatyi. Zdaje mi się, że jestem arfą, na której strunach brzmią z kolei wszystkie tony zewnętrznej natury. Dlatego też klimat tutejszy, tak ostry i zmienny, blade lub chmurne niebo tutejsze działają na mnie dziwnie boleśnie i rozstrajająco...

— Pan Bóg łaskawy pozwoli pewno, że dla pani hrabiny wkrótce zaświeci znowu ciepłe słoneczko francuzkie. Pani hrabina uleci od nas, uleci, jak ta ptaszyna złota, a my tylko już chyba oczy sobie wypłaczymy po naszej opiekunce i dobrodziejce!

— Kochana panno Zuzanno! — mówiła pani Luiza, spojrzeniem i uśmiechem, pełnym serdecznego uczucia, dziękując pokornej babinie, która, jękliwym tonem słowa swe wymówiwszy, przesunęła prędko chustkę po oczach, niby dla szybkiego i niewidzialnego otarcia łez, roszących ję oczy.

— Tak, — zwracając się do mnie, rzekła gospodyni domu, — kiedy mówiłam panu przed chwilą, że nie mam tu nikogo, ktoby mi był przyjaznym i szczerze oddanym, myliłam się. Zapomniałam o kilku duszach, które przywiązały się do mnie prawdziwie i gorąco, które są mi wdzięczne bez granic za jakąś odrobinę dobrego, ode mnie otrzymaną. Ale, — dodała po francuzku, — są to dusze takie oto, jak tęg kobiety, którą pan widzisz... dusze proste i skołatane niedolą...

Mówiąc to, czuła się widocznie rozrzewnioną. Nie mogłem mylić się. Była dość naiwną, aby pokorne ukłony, słodkawe uśmieszki i jękliwym tonem wypowiedane pochlebstwa panny Zuzanny, przyjmować za czyste złoto gorących uczuć przywiązania i wdzięczności.

Przerwa zresztą, którą w rozmowie naszej sprawiło wejście pokornej a gadatliwej kobieciny, zdawała się przybywać dla pani Luizy nadzwyczaj w porę. Kilkadziesiąt wyrazów, któreśmy zamienili między sobą o interesach majątkowych i piędźnych, zmęczyły ją, znękały nieledwie. Pod wpływem znękania tego, rysy ję sztywnieć już zaczynały, a na czole i wkoło oczów gromadziły się zmarszczki, których wprzódy nie spostrzegłem. Zniknęły też one, jakby za dotknięciem czarnoksięskiej różdżki, pod różową falą rumieńca, który nagle opłynął twarz i szyję pani Luizy, od grubych splotów pięknych, ciemnych włosów aż po puszyste zwoje białych koronek, okalających u góry aksamitną ję suknią. Domyśliłem się od razu, dlaczego wprzódy spoglądała tak często na zegar. Oczekiwała gościa, którym był wchodzący w tęg chwili do saloniku syn księcia Andrzeja, młodziutki książę Jan X.

Książę Jan był tak młodziutkim, że wśród domowych i przyjaciół, a nawet wśród szerszej nieco publiczności nie nazywano go inaczej, jak księciem Jasiem. Miał rok 21, wysmukłe i doskonale harmonijne kształty Antinousa, twarz o rysach prześlicznych i ciemnej południowej cerze, wśród której łagodnym ogniem paliły się duże czarne oczy i purpurą koralu rozkwitały pełne, drobnouchnym zaledwie czarnym wąsikiem ocienione, młodzieńczo świeże usta. Oprócz tęg niepospolicie pięknej powierzchowności, książę Jaś miał bardzo dobre serce, niezmiernie łagodny, potulny charakter i temperament, wbrew południowej cerze twarzy, więcej flegmatyczny, niż żywy. Była to zresztą indywidualność bardzo mało wybitna, nie w pełni jeszcze rozwinięta, z wolą osłabioną nieco despotyzmem

ojcowskim starego księcia, z umysłem z natury już dość słabym, ku poezji i miękkim, melancholijnym marzeniom zwracającym się przeważnie.

Pani Luiza powstała z kanapy z żywością poruszeń niemal dziewczęcą i wyciągnęła rękę ku młodziutkiemu książątce, które złożyło na niej pocałunek pełen, jak mi się zdawało, synowskiego uszanowania. Najpiękniejszy uśmiech rozkwitał na bladawych jej wargach, oczy błyszczały żywo i rzewnie zarazem, twarz jej cała, z której nie zniknął całkiem płomienny przedtę, a teraz blade różowy już tylko rumieniec, przybrała przez te kilka sekund pozór o lat dziesięć przynajmniej młodszy. Książę Jaś, w kilku z cicha wyrzeczonych słowach, oświadczył pani Luizie uprzejme pozdrowienie od księcia ojca swego, poczem przywitał się ze mną w zwykły sobie bardzo serdeczny sposób.

Od wejścia księcia Jasia rozmowa toczyć się zaczęła po francuzku. Jakkolwiek uważałem zawsze zwyczaj używania obcego języka w codziennych stosunkach i rozmowach za bardziej jeszcze śmieszny, niż grzeczny, nie miałem tym razem nic innego do wyboru, jak popełniać śmieszność tę wraz z gospodynią domu, w którym gościłem, lub dopuścić się względem niej niegrzeczności. Wybrałem naturalnie pierwsze. Mówić zacząłem po francuzku. Pani Luiza z zachwyceniem widocznym słuchała żartobliwego opowiadania mego o dzieciństwie księcia Jasia, które pamiętam z dawnych jeszcze czasów, gdy rodzice moi sąsiadowali na wsi z księstwem X. Powstała potem i lekko, wdzięcznie przeszedłszy salon, przyniosła nam wielką, kosztownie oprawną księgę, którą, jak mówiła, dziś właśnie otrzymała z za granicy. Był to poemat jakiś, przez Dorégo illustrowany. Pani Luiza przetrzucała karty księgi i ukazywała nam z kolei ilustracje, które wydawały się jej najbardziej godnymi oglądania. Dało jej to sposobność do czynienia różnych uwag, tak o treści poematu, jak o szczególnych cechach odznaczających olbrzymi talent rysownika, który go illustrował. Mówiła o tém wszystkiém z wielką łatwością i nieporównanym wdziękiem słowa. Znać było, że posiadała wysokie bardzo ukształcenie w rzeczach artystycznych i niemniejsze w nich zamiłowanie. Książę Jaś, który także uwielbiał poezją i w ogóle sztuki piękne, potwierdzał najczęściej zdania pani Luizy, a ożywiając się stopniowo, z uniesieniem mówić począł o różnych arcy-mistrzach i arcydziełach pędzla i ołówka. Wspomniął o Gavarnim.

— Gavarni! — podchwyciła pani Luiza, — oceniam go wedle wartości, ale kochać i uwielbiać jak Dorego nie mogę. Gavarni jest realistą, brak mu wzniosłego poczucia ideału. Stare żebaczki jego zachwycają mię mistrzostwem rysunku i charakterystyki, ale, gdy długo na nie patrzę, zdaje mi się, że czuję obok siebie nieprzyjemny zapach lachmanów.

— A jednak, — zarzucił nieśmiało książę Jaś, — w żebaczkach Gavarniego dopatrują niektórzy bardzo wiele głęboko pojętych dramatów.

— Przekładam idylle nad dramata, — odparła z lekkim uśmiechem pani Luiza, — każdy z nas, żyjących na smutnym tym świecie, we własnej piersi nosić musi mniej lub więcej głęboki dramat swego życia. Przyjemnie więc nam być musi, gdy pod przewodnictwem sztuki wznieść się możemy w idealne sfery kryształowo czystych uczuć i niezmaconego szczęścia. Dlatego też, — dodała, — wolę o wiele niebo Danta nad jego piekło. Owe tłumy ciał nagich, wijących się w niewymownych męczarniach na dnie otchłani piekielnych, przejmują mię grozą i dziwnie bolesnym politowaniem. Mogę nawet powiedzieć, że widok ich wiedzie mię nawet do grzechu zwątpienia. Mimowoli bowiem zapytuję siebie: czy podobna, aby Bóg nieskończonego miłosierdzia rzucał miliardy stworzeń swych w te miejsca cierpień bez miary ni końca. Ale gdy, idąc za myślą poety, tak mistrzowsko uwyraźnioną ołówkiem rysownika, patrzę na Beatrycę, spotykającą Danta u wrót niebieskich, lub wyobraźnią stąpam po śladach św. Matyldy, wiodącej za rękę wieszczka ku najwyższemu Empireum, wtedy z pamięci i oczu moich znikają wszelkie nędze i szpetoty świata tego, wtedy czuję, jak dziwna pocięcha jakaś wstępuje w me serce, wtedy najmocniej i wszystkiemi siłami istoty mój wierzę i ufam...

Mówiła to z głębokim przejściem się, z zapalem naprzód, potem z niewymowną rzewnością, która wilgotnym wruszeniem oszklili błyszczące, prześliczne w tej chwili jej oczy. Mówiąc, patrzała na księcia Jasia, a gdy wspominała o Beatrycy, spotykającej u wrót nieba włoskiego wieszczka, i o tej niewymownie błogiéj ufności, którą obraz ten przepelniał jej serce, nie wiem, dlaczego wydało mi się, iż ufność ta nie ściągała się ku czemu innemu,

jak tylko ku dalekiej jakiegóś, nieznanój, zaziemskiej przyszłości, śród której daném będzie jój samój odegrać rolę Beatryczy, otwierającój niebo przed — księciem Jasiem.

Rozmowa, w podobnym tonie prowadzona, trwała więcej niż kwadrans, a ja ani spostrzegłem, iż bytność moja u pani Luizy przeciąga się dłużej, niż mi na to czas, a może i względy etykiety światowój, pozwalały. Wśród pełnych treści, lecz suchych, zajęć mego zawodu, rzadko bardzo miałem sposobność spotykać się z tak pięknymi przedmiotami sztuki, jak te, które ukazywała mi teraz pani Luiza, i przysłuchiwać się podobnym rozmowom, jak ta, którą prowadziła ona z młodym księciem. Ozwały się we mnie zgłuszone poniekąd zachodami powszedniego życia instynkta i gusta człowieka cywilizowanego. Przerzucane z kolei przez panią Luizę albumy i illustrowane stronicy, a bardziej może uwagi, które czyniła ona nad niemi, zajęły mię żywo. Przyznałem w myśli, iż nowa klientka moja, raz znalazłszy się we właściwej sobie sferze, była niezmiernie przyjemną gospodynią domu, kobietą pełną ujmującego wdzięku i porywającój żywości słowa i uczuć. W chwili właśnie, gdy ostatnia uwaga ta przesunęła mi się przez głowę, pani Luiza zamknęła księgę, którój przepatrywanie wspólnie z nami skończyła, a ja podnosząc głowę, mimowolnie rzuciłem spojrzenie w przeciwną stronę saloniku. Mógłbym śmiało powiedzieć, że przy spojrzeniu tém wzrok mój spadł nagle z niebieskich wysokości pomiędzy najniższe sfery ziemskie. Przy jedném z krzesel, pod ścianą umieszczonych, ujrzałem stojącą pannę Zuzannę. Niby w ciasny futerał opięta w wąską swą czarną sukienkę, pokorna kobiecina stała w postawie naprzód nieco pochylonój, z małemi rączkami swemi splecionemi, jak zwykle, poniżej piersi, ze zwykłym swym słodziutkim uśmiechem wśród małej, pomarszczonej twarzyczki. Mimowoli pomyślałem, że postać ta kobieca, którą wewnętrzne usposobienia i cały sposób życia przyoblekały piętnem najtrywialniejszych, najnikczemniejszych może cech, jakie odznaczać mogą poniżoną i poniżającą się istotę ludzką, szczególną bardzo stanowiła ilustracją tak wysoce artystycznego salonu pani Luizy. Jakież jednak było zdziwienie moje, gdy ujrzałem, iż panna Zuzanna, oczyma i całą nieledwie postacią swą, wykonała, ku mnie wyraźnie zwrócone a dziwne jakieś, znaki telegraficzne. Patrzała w twarz moją, jak w tęczę, przyczém podnosiła rudawe brwi swe, mrugała żółtemi powiekami i, nie rozplatając dłoni, jak do pacierza złożonych, wskazującym przeciw palcem, z czarnej dziurawój rękawiczki wyglądającym, wyraźnie mi drzwi ukazywała. Pojąć nie mogłem, czego mianowicie żądała ode mnie ta kumoszka. Gdy jednak znaki telegraficzne, które mi przesyłała, nietylko nie ustawały, ale wzmagaly się z każdą chwilą w sposób coraz natarczywszy i nieznośniejszy, zacząłem przypuszczać, że uboga kobiecina ma może do mnie osobisty jakiś a ważny dla niej interes, a znakami temi prosi mię, abym wyszedł co prędzej i jój wysłuchał. Ponieważ zresztą i tak już bawiłem u pani Luizy może dłużej, niż wypadało, powstałem i wzięwszy kapelusz, chciałem jeszcze przed odejściem powiedzieć słów kilka względem powierzonych mi spraw majątkowych.

Zaledwie jednak wymówiłem parę wyrazów, pani Luiza przerwała mi błagalnym niemal giestem ślicznój swój ręki. Przynęto spojrzenie jój, zmieszane, niespokojne, pobiegło po twarzy księcia Jasia. Zrozumiałem, że mówienie w tój chwili o interesach i pieniądzech sprawiło-by jój przykrość niewymowną. Rozmowy podobne nękały i mieszały ją zawsze, ale, gdy cichy i marzący Antinous ten obok niój się znajdował, atmosfera, którą oddychali oboje, pozostać musiała nieskazitelnie idealną; inaczej pani Luiza splonęła-by chyba od wstydu albo, zalała-by się łzami nieprzewycięzonej żalości. Poprosiłem więc tylko, aby mi nazajutrz udzieliła swój audyencyi, gdyż z tém, co wiedziałem dotąd, ani domyślić się nie mogłem, czego mianowicie żądała ode mnie i od czego zaczynać miałem powierzane mi dzieło regulowania jój interesów.

— O! — zawołała, podając mi obie ręce, — chciój pan przychodzić do mnie jak najczęściej, nietylko jako prawnik, ale jako gość i dobry znajomy. Tu, na okropnój pustyni tój, spotkanie kogoś, z kim rozmawiać można, jest prawdziwie dobrą szansą, którój, wierząc mi pan, nie wyrzekła-by się z łatwością!

Jeżeli powitanie pani Luizy było grzeczném i pełném uprzejmego wdzięku, sposób, w jaki mię pożegnała, nazwać się już mógł śmiało serdecznym i przyjacielskim. Czulem, że bliska znajomość moja z książętami X., zbliżyła mię też znakomicie do mój nowój klientki, a wprawa, jaką posiadałem w mówieniu po francuzku, utworzyła pomiędzy nią a mną rodzaj moralnego braterstwa. Tak dalece prawdą jest to, w co zawsze wierzyłem, że najbliższemi ze sobą powinowatymi są ci, dla których najdroższe duchowi ludzkiemu

pojęcia: prawdy, cnoty, miłości, wolności, nauki, w jednostajne przyoblekają się brzmienia.

Opuszczałem mieszkanie pani Luizy ze szczególnym jakimś zmieszaniem ciekawości i sympatycznego politowania, które-to uczucia, sam jeszcze nie zdawałem sobie sprawy, dlaczego obudziła we mnie nowa klientka moja, gdy tuż przed wschodami spotkałem się oko w oko z panną Zuzanną. Mała kobiecina opuszczała jednocześnie ze mną mieszkanie swjej dobrodziejki i tylko wychodziła z niego drzwiami innymi, przez ukryte dla innych gości pokoje i kuchnię prowadzącymi. Ujrzawszy ją, zatrzymałem się, acz z lekką niechęcią.

— Zdaje mi się, — rzekłem, — że pani życzyłaś sobie mówić ze mną. Czy masz pani do mnie jaki interes?

— Uchowaj Boże, — dygając i uśmiechając się, odrzekła kobiecina, — żadnego interesiku nie mam, chwała Bogu Najwyższemu! żadnego interesiku! Zkądże-bym znowu ja biedna kobieta interesu jakiego do pana adwokata mieć mogła? Niech pan adwokat będzie łaskaw nie zatrzymywać się dla mnie, ja z panem adwokatem podejść mogę kawałeczek dróżki!

Zapowiedziane mi towarzystwo to niezbyt mię ucieszyło. Chciałem jednak dowiedzieć się znaczenia owych dawanych mi w salonie, telegraficznych znaków.

— Dlaczegoż więc pani mrugałaś na mnie i drzwi mi wskazywałaś? — zapytałem, wpół śmiejąc się, wpół z niecierpliwością, którą wzbudzały we mnie drepcące tuż obok mnie drobne kroczyki kumoszki.

— Ja to zaraz panu adwokatowi dobrodziejowi wytłumaczę, — zniżając głos i przybierając tajemniczą minę, szeptała panna Zuzanna. — Niech pan adwokat nie gniewa się na mnie za to, że ja, niemądra kobiecina, ośmielę się panu dać radę. Ale pan nie zna jeszcze naszej kochanej pani hrabiny...

— Powiedz mi pani naprzód, — przerwałem, — dlaczego panią Wielogrońską tytułujesz hrabiną? O ile wiem, ani Żmurscy, ani Wielogrońscy, nigdy hrabiami nie byli.

Pomimo, że nie patrzałem na nią, widziałem jak małe oczki panny Zuzanny przemknęły po mojej twarzy i złośliwie błysnęły. W mgnieniu oka jednak wzniosła je ona w górę, a splecione rączki swe także do wysokości twarzy swjej podnosząc, zawołała:

— O, panie mój! ja-bym anioła tego nie tylko hrabiną, ale królową i cesarżową nazywała! Święta to pani! Aniołek niebieski! opatrność wszystkich biednych i pociechy potrzebujących!

— No, dobrze już, dobrze, — przerwałem, — ale dlaczego pani mrugałaś na mnie? Babina znowu nastroiła się tajemniczo.

— Widzi pan adwokat — szepnęła — ten śliczny książę Janiunio, daj jemu, Stwórco Wszchemogący, zdrowieczko i najdłuższe lata...

— No, ale cóż tedy książę Janiunio...

— Oto to, widzi pan dobrodziej, że jak książę przychodzi z wizytą, nasza pani hrabina bardzo nie lubi, aby kto więcej u niej był... Ja to już tam jestem jakby domowa, ale wychodzę, zaraz wychodzę, jak tylko książę przychodzi, bo nasza hrabina nie chce wtedy mieć nikogo, broń Boże nikogo, ani z domowych, ani z gości...

Z oburzeniem spojrzałem na obłudnicę.

— Co pani wygadujesz? — rzekłem ostro, — czy pani nie wstyd...

Przerwała mi giestem pełnym przerażenia.

— Wstyd! — zawołała — a czegoż to, proszę pana adwokata dobrodzieja, wstydzic-bym się miała? Czy to ja tego anioła świętego nie kocham, jakby, nie przymierzając, samego Pana Boga. Daj Boże, ażeby wszyscy tak ją kochali i uwielbiali, jak ja! W ogień piekielny wskoczyła-bym za nią! Ale co wiem, to wiem, i panu adwokatowi powiedzieć muszę, bo nie trzeba, uchowaj Panie Boże, gorzej jeszcze męczyć téj nieboraczki, jedyną tę jej pociechę odbierać...

— Nie rozumiem i proszę panią... — zacząłem.

Ale stara nie pozwoliła sobie przerwać. Pomimo, że umyślnie szedłem bardzo prędko, dreptała ona obok mnie drobnymi kroczkami swemi niezmordowanie i, wyprzedzając mię nawet nieco, w twarz mi zaglądała.



— A tak, tak — mówiła dalej, ledwie mogąc od szybkiego biegu i mówienia oddech pochwycić. — Tak, tak! nieboraczka ona, sama jedniutka, jak palec... bez familii, bez opieki, niby ta dziecina biedneńka, na szeroki świat rzucona... nie dziwota, że serduszko odezwało się, i że biedaczka przywiązała się do tego ślicznego książątka, daj jemu Panie Boże, wszystko dobre... Dziecko to po prawdzie w porównaniu z nią... synem jój może mógł-by być; ale pan dobrodziej sam pewno wie... serce nie sługa, nie zna, co to pany...

Ostatnie wyrazy stara wymówiła na-wpół z patetycznym akcentem, na-pół z uśmiechem, który, roztwierając żółte jój wargi, ukazał z-za nich parę czarnych, kołyszących się zębów. Widząc, że nie pozbędę się jój inaczej, przywołałem gościem stojącą opodal nieco dorożkę. W téjże saméj prawie chwili szybko mijala nas chodnikiem kobieta, którą téż wspólnie z całym miastem znałem i często widywałem, koleżanka panny Zuzanny, co do głównych usposobień i całego sposobu życia, tém tylko różniąc się od niéj, że, gdy panna Zuzanna wyglądała na malutką kobiecinę, pani Kuniewiczowéj nie podobna było nazwać inaczej jak *dama*. Wysoka była i bardzo zgrabna, chód i ruchy miała nadzwyczaj poważne i dystyngowane, niezmiernie wiele szlachetnéj dumy w spojrzeniu i ukłonie. Ubierała się w ozdoby ogoniaste suknie, a nierzadko i w aksamitne paltoty. Na siwiejących włosach nosiła kapelusze lub czepeczki z kolorowymi wstążkami. Zarówno jak panna Zuzanna, *dama* ta trudniła się wyrabianiem różnych robótek ręcznych, za które, bez względu na okazałość postaci jój, kosztowność stroju i dumną wyniosłość oblicza, naiwne a litościwe duszyczki, miasto nasze zamieszkujące, płaciły dziesięć razy wyżej nad istotną wartość. Oprócz siatek i kołnierzyków, pani Kuniewiczowa wyrabiała jeszcze sztuczne kwiaty i inne różne ornamenta, któremi przyozdabiała miejscowe świątynie, co stawiało ją bardzo wysoko we względach arystokratyczno-klerykalnego stronnictwa, w mieście naszym istniejącego, i jak mi się zdaje, przynosiło bez porównania więcéj korzyści jój saméj, niż chwały Panu Bogu. Powolnym, jak zwykle, krokiem i z dumnie smutną twarzą przechodząc koło nas, pani Kuniewiczowa spostrzegła płaczącą się koło mnie pannę Zuzannę i pozdrowiła koleżankę wyniosłym skinieniem głowy.

— Byłaś dziś pani u hrabiny? — zapytała.

— Byłam, byłam, ale nie pójdę już, aż chyba wieczorem... i pani nie idź tam także...

— A to dlaczego?

— Książę jest dziś tam na obiedzie... zabawi do szóstej... — tajemniczo szepnęła kobiecina.

*Dama* skinęła głową w znak zrozumienia.

— To co innego — rzekła — muszę nawet wrócić i powiedzieć pani Mięćickiéj, żeby nie szła także, bo wiem, że się wybierała.

Nie zaręczam za prawdziwość faktu tego, ale tak mi się zdawało przynajmniej, że, mimowoli, słuchając rozmowy tych dwóch kobiet, zarumieniłem się ze wstydu. Wstydzilem się może za rodzaj ludzki. To tylko pewno, że oprócz wstydu tego, uczulem żal nad panią Luizą, którą, jak to spostrzegać zaczynałem, szarpały nielitościwie te właśnie języki, które znajdując się przy niéj, najdośnośniej chwałę jój wyśpiewywały. Zmierzałem co prędzej do nadjeżdżającej dorożki. Miałem już siadać, gdy panna Zuzanna dogoniła mię jeszcze i pochwyciła za rękaw od paltota.

— Panie dobrodzieju kochany! — szeptała — nie zapominaj tylko, zlituj się, o przestrodze mojej... jak książę Janiunio tam jest, nikt więcéj być nie powinien... Trzeba ją biedaczkę szanować.

Zniecierpliwiła mię już ostatecznie. Uwolniłem ubranie moje od uścisku jój małéj, suchéj, ale dziwnie silnéj i żyłastéj ręki, i nie pamiętam już jaką, ale wcale niegrzeczną dawszy jój odprawę, odjechałem. Na zakręcie ulicy zobaczyłem, że panna Zuzanna stała na miejscu, na którym ją zostawiłem i uporczywie spoglądała za mną. Byłem pewny, że uczyniłem z niéj sobie śmiertelnego wroga i na myśl tę zaśmiałem się szczerze.

---

Nazajutrz około południa otrzymałem znowu list od pani Luizy. Tym razem pisała po francuzku. Bardzo nagląco prosiła, abym przyszedł do niéj dziś jeszcze jak najprędzej, natychmiast, ponieważ zaszedł wypadek, który przestraszył ją i zakłopotał ogromnie. Nie pisała wcale, jakiej natury był wypadek ten, ale ze słów jój wnosić mogłem, że było to coś dla niéj bardzo niemilego i groźnego. Przy końcu listu prosiła mnie, abym określić

chciał cyfrę wynagrodzenia pieniężnego, którego żądać będę za zajmowanie się interesami. Wzmiankę tę otoczyła tylu wstępami, przeprosinami i różnymi stylowymi floresami, iż wnosząc ze wszystkich tych nieśmiałości, ostrożności i drażliwości, myśleć-by można, że pani Luiza proponować mi ma popełnienie wielkiej jakiegóż zbrodni, co najmniej czynu grubijańskiego, o którym pisać nawet bardzo jest trudno, ale co mówić ustnie, to już w żaden sposób niepodobna, bez wstydu i nieprzyzwoitości. To też pani Luiza długą i krętą przemowę swą kończyła następnymi słowami: „Chciój pan na listowne zapytanie moje odpowiedzieć też listownie. Kwesycie podobne załatwiają się daleko lepiej za pomocą korespondencji, niż ustnej rozmowy”.

Po załatwieniu spraw najpilniejszych, poszedłem do nowej klientki mojej, tak bardzo dnia tego, jak widać było z listu, przerażonej i zmartwionej. Kiedy przechodziłem dwa wielkie salony, trzeci mniejszy salonik poprzedzające, do uszu moich zaczął dolatywać bardzo donośny głosik kobiecy, jednostajnym, piskliwym tonem i z nadzwyczajną szybkością a wymownością wypowiadający, co następuje:

— Zamordowali go, jak mego ojca kocham, zamordowali go i zabili, pani hrabino! Byłam sama na sądach i wszystko słyszałam i rozbójników tych na własne moje żywe oczy widziałam. Biedny człowieczyzna jechał sobie wózkiem i jednym koniem przez las. Noc ciemna, choć oko wykol! Las gęsty! Wicher dmie i szumi! W tém odezwał się w powietrzu jakiś gwizd okropny! Z za drzew wypada trzech ludzi!...

Tu usłyszałem słabiuchny wykrzyk trwogi, w którym poznałem głos pani Luizy. Piskliwy zaś głosik opowiadającej podniósł się jeszcze o jedną nutę wyżej i ze zdwojonym zapalem opowiadał dalej:

— Widziałam ich wszystkich trzech na moje żywe oczy, którzy siedzieli na ławie za kratkami! Chłopy wielkie jak dęby, z rozczochranemi włosami i z twarzami osmalonemi! A oczy, to jak pani hrabina mię tu żywą widzi, świecą się u nich tak, jak główne! Aż mi gorąco robiło się w plecy od tych oczu! Wypadli z-za drzew, zatrzymali konia, zwlekli nieboraka z woza i zamordowali! Ale co oni dokazywali z nim, pani hrabino, to aż strach opowiadać! Wyklóli mu oczy, powyrywali włosy, połamali ręce...

Tu wejście moje przerwało mówiącej, którą była pani Mięcicka, kobieta krępa, silna, ogorziała, dość młoda jeszcze, w całym mieście znana pod nazwą *prawnika w spódnicy*. Wdowa po urzędniku niskiego stopnia, który, umierając, żadnego wcale funduszu nie zostawił, krzątała się ona ciągle około załatwiania różnych drobniotek, a niekoniecznie czystych sprawek i interesików mieszczańskich, lub małoszlacheckich. Załatwianie to dokonywało się naturalnie nieinaczéj, jak za pomocą biegania do urzędników i adwokatów, proszenia, jęczenia, dowiadywania się, szperania, podsłuchiwanie i szpiegowania. Zawsze jednak było wielu ludzi, którzy wierzyli sprytowi i zwinności tego pokątnego doradcy żeńskiego rodzaju i o pomoc ją w swych sprawkach prosili. Uczęszcziała też ona na sądy wszelakie z wytrwałością, niczém niezrażoną, i teraz właśnie zabawiła panią Luizę sprawozdaniem z jakiegoś posiedzenia sądowego, przy którym była obecną.

Ujrzawszy mię, pani Mięcicka zmieszała się trochę i umilkła. Adwokatów nie lubiła w ogólności, uważając ich za współzawodników swych, najniesprawiedliwiej przez prawo protegowanych i chleb jéj odbierających. Oprócz pani Mięcickiej, znajdowała się jeszcze w saloniku pani Kuniewiczowa, która z wyniosłą jak zwykle postawą i dumnie smutną twarzą, najbliżéj gospodyni domu siedząc, ze wzgardliwą obojętnością zdawała się słuchać tragicznych opowiadań koleżanki, i panna Zuzanna Krzaczkowska, która, na niskim taboreciku umieszczona, wychylała z za poręczy kanapy malutką swą żółtą i pomarszczoną twarzyczkę, napiętowaną teraz wyrazem podobnie błogiego zaciekawienia, jakiego doświadczać zwykły tłumy na widok spadających z rusztowania głów zbrodniarzy. Cała reszta atmosfera ślicznego saloniku przesiąknięta była tajemniczą jakąś grozą, gdyż i pani Luiza, z pobladłą widocznie twarzą i szerzéj niż zwykle rozwartemi oczyma, powstała na moje przyjęcie.

— Jakaż-to okropna historia! — rzekła, podając mi rękę i giestem zapraszając, abym usiadł przy niéj na fotelu — jakaż to okropna historia tego morderstwa, o którym opowiadała nam przed chwilą pani Mięcicka. Musisz pan także znać wszystkie szczegóły téj przerażającej zbrodni.

— Znam je wybornie — odpowiedziałem z uśmiechem — bo, zarówno jak pani Mięcicka, byłem na posiedzeniu sądowym, które sprawę tę roztrząsało. Jestem w możno-

ści nawet dokonać w opowiadaniu pani Mięcickiej kilku poprawek. Tak na przykład, oczy morderców nie wyglądają bynajmniej, jak rozpalone główne i nie smałą pleców osób, na których wzrok swój zatrzymują. Przeciwnie, są to mgliste, senne, na-pół idyotyczne oczy ludzi, którzy, pozbawieni wszelkiego umysłowego światła i wszelkiej moralnej dźwigni życia, czynili zło, jedynie pod wpływem instynktów, z których sami sobie zdać sprawy nie umieli. I jeżeli oczy te palić mogą boleśnie cokolwiek, to z pewnością nie plecy, ale chyba sumienie szczęśliwszych i oświećszych współbraci, którzy nic nie uczynili, aby oświałą i umoralnieniem okiełzać i uszlachetnić zło ich instynkta. Oprócz tego upewnić mogę panią, że nie było tam ani oczu wyklótych, ani włosów powyrywanych, ani rąk połamanych, ani żadnych tym podobnych okropności. Było jedno tylko uderzenie toporem w głowę, ale to wystarczyło zupełnie, aby odjąć życie nieszczęśliwemu podróżnemu.

Poprawki te moje zostały przez całe obecne towarzystwo jak najgorzej przyjęte. Pani Mięcicka sponsowała z gniewu a może i ze wstydu, żem bujną jej improwizacją w krainę mytów spychał, i szybkim wejrzeniem porozumiała się z koleżankami, które, każda po swojemu, wstrząsnęły głowami i mrugały powiekami w znak obrazy i śmiertelnego ku mnie wstrętu. Ale i sama pani Luiza zdawała się być z poprawek moich wcale niezadowolona. Uproszczona w ten sposób zbrodnia przedstawiała drażnić jej nerwy i dostarczać pokarmu dla jej wyobraźni. Oczy zbójców, mętne i na-pół idyotyczne, były oczyma daleko prozaiczniejszymi od rozpalonych głów pani Mięcickiej, a jedno tylko uderzenie toporem w głowę sprowadzało wersją całą z wysokości potwornych, wstrząsających okrucieństw, na poziomy zbrodni, spełnionej w sposób ordynaryjny i zupełnie pierwotny.

— Myślę jednak — rzekłem — że zmartwienie i przerażenie, o których dziś w liście pani wyczytałem, miały źródło w czém inném, niż w doszłych do pani wiadomościach o owém morderstwie...

— O! zupełnie w czém inném! — odpowiedziała pani Luiza. — Nie wyobrazi pan sobie, jak przykrém wrażeniem dzień dziś rozpoczął. Zaledwie obudziłam się, wręczyli mi jakieś pismo...

Tu pani Luiza powstała i zbliżyła się do stojącego w rogu salonu ślicznego różanego biurka, na którém wielkimi urzędowymi pieczęciami zaopatrzony, spoczywał arkusz grubego papieru. Pani Luiza wzięła papier ten w dwa palce tak zupełnie, jakby brała w rękę albo rozpalone żelazo, albo wstrętliwie ślizką ropuchę.

— Nie wyobrazi pan sobie — rzekła, podając mi ten przedmiot obrzydzenia swego — jak byłam przestraszona i zakłopotana, pismo to otrzymując. Nie umiem go przeczytać, gdyż pismo jest w nieznanym mi języku. Wiem jednak z góry, że musi to być coś bardzo przykrego dla mnie, coś, co może ostatecznie już zrujnuje mię, albo przynajmniej nieznośnych nabawi kłopotów. Chciję mię pan nie oszczędzać i powiedzieć szczerze, co to takiego. Jestem przygotowaną na rzeczy najgorsze.

Gdy pani Luiza to mówiła, trzy obecne kobiety zdawały się całe swe dusze na ustach jej zawieszać. Ciężkie westchnienia wydzierają się z ich piersi, a głowy ich kołysały się, wybijając niby do słów jej takt żalony.

— Oj, te kruczki! te kruczki! przyczepki! zdzierstwa! — jęczała pani Mięcicka — znam ja je dobrze i umiem sobie z niemi radzić, ale dla takiej delikatnej osoby, jak pani hrabina, musi to być ciężar nad siły!

— Okropny ciężar! moja kochana pani Mięcicka! — potwierdziła z cicha pani Luiza, osuwając się na kanapę.

— Co to jest, kiedy kobieta zostanie samą na świecie, a takich aniołów, jak pani hrabina, mało. Niéma więc czemu dziwić się, że szatani anioła na wszystkie strony szarpią! — z poważną boleścią w głosie i na twarzy zawyrokowała pani Kuniewiczowa.

Ja tymczasem przebiegłem oczyma tak fatalne dla pani Luizy pismo i nie mogłem powstrzymać się od uśmiechu.

— Łaskawa pani! — rzekłem — rzecz ta jest tak drobną, iż przez omyłkę tylko zapewne zakomunikowaną została pani, nie zaś miejscowej dóbr jej administracyi.

— Okropna omyłka! — szepnęła pani Luiza. — Ale cóż to jest *au nom du Ciel*, Monsieur, czego ci ludzie chcą ode mnie?

— Ci ludzie — rzekłem — uwiadomają panią, że jeden z mostów, na gruntach jej istniejących, zepsuty został, i że według przepisów administracyjnych obowiązują pani jesteś dostarczyć z lasów swych drzewa dla jego naprawy...

— *Mon Dieu!* — z ogromną ulgą w głosie, szepnęła pani Luiza — możnaż podobnemi drobnostkami dręczyć i kłopotać ludzi! Myślałam doprawdy, że idzie tu o cały mój majątek!

— Ależ to okrucieństwo prawdziwe, ażeby tak nie mieć względu na słabe nerwy i delikatne zdrowie pani hrabiny! — jęknęła, składając dłonie, pani Mięcicka.

— To dopiero rozbójniki, katy, ludożercy! — oburzała się panna Zuzanna.

— Albo to terazniejszy świat szanuje cokolwiek? albo to dla terazniejszych ludzi dama wysoko urodzona znaczy cokolwiek? — z goryczą wypowiedziała pani Kuniewiczowa.

Pani Luiza siedziała chwilę z oczyma przysłonionemi.

— Doprawdy — rzekła, podnosząc głowę i ze zmieszaniem pełnym wdzięku patrząc na mnie — wstydę się doprawdy, że przyjmuję pana w dziwném usposobieniu. Ale oprócz tego okropnego pisma miałam dziś jeszcze jedno bardzo dotkliwie zmartwienie...

— Z innej strony znowu — dodała, podnosząc się z kanapy i uśmiechając się — mam też i pociechy moje... chciał pan zobaczyć moją wczorajszą i dzisiajszą robotę...

Wskazywała mi niewielkich rozmiarów obraz, w złożone ramy oprawny, a przed sztalugami malarskimi, u okna stojącemi, na podniesieniu umieszczony.

— Obraz ten — rzekła — należy do księcia Jana! Robię z niego dla siebie kopię. Co za cudowny krajobraz! nie prawdaż?

Był to wizerunek dość wdzięcznego kątku ziemi. Wśród zielonej łączki, w głębokim rozdole ścielącej się, stała chatka wieśniacza, smętnemi jodłami ocieniona. Dokoła osłaniały ją obrosłe lasem góry i nagie piętrzące się skały, w dalekiej perspektywie płynął kręty strumyk, a w górze przeciągały po błękitach stada drobnych chmur białych.

Widziałem i uznawałem, że był to krajobraz dość ładny, biegłym bardzo i subtelnym pędzlem wykonany. Jakim sposobem przecież stanowić on mógł dla pani Luizy pociechę w jej strapieniach? nie rozumiałem. Wytłómaczyła mi to sama.

— Nie prawdaż? — rzekła — jaka cisza niezmacona, jaka nieskalana niewinność wieje z krajobrazu tego, przedstawiającego zapadły, górąmi zakryty kątek ziemi! Nic niema dla mnie ponętniejszego nad dziką, samotną naturę; za niczem bardziej nie tęsknię, jak za tą pierwotną prostotą życia, która, wobec podbojów dzisiejszej cywilizacji naszej, gdzie nigdzie już tylko pozostała, niby na świadectwo minionych złotych wieków ludzkości.

— Wierź mi pan — dodała po chwili ciszej, — że była-bym najszcześliwszą, gdy-bym gdziekolwiek na świecie posiadała chatkę podobną i żyć w niej mogła, nieznaną światu i wzajem go nieznająca!

Gdy mówiła to, usta jej drżały trochę, a oczy wpatrywały się wciąż w jeden punkt obrazu. Poszedłem za kierunkiem jej wzroku i spostrzegłem pewien szczegół krajobrazu, którego dotąd nie zauważyłem. Była nim w niewyraźnych zarysach, za mgłą jakby i na najdalszym planie ukazana para ludzi, górali jak się zdawało, którzy, stojąc nad strumykiem czerpali wodę, czy zrywali kwiaty, czy też może innemu jakiemuś, równie sielskiemu, oddawali się zajęciu. Byli to nieśmiertelni owi i niezbędni snadź, tak w krajobrazach, jak w romansach: Numa i Pompiliusz. W mojem wyobrażeniu idylliczna para ta szkodziła raczej obrazowi, niż go przyozdabiała. Przypomniały mi się na jej widok sielanki Floryana i królowe z XVIII wieku, przebierające się za pasterki i dojące krowy. Ale inaczej wcale rzecz tę rozumiała pani Luiza. Dla niej Numa i Pompiliusz stanowili niezbędną okrasę, a może nawet i główną osnowę tak każdego dzieła sztuki, jak i wszelkiego ludzkiego istnienia. W olbrzymim poemacie włoskim uwielbiała najżywiej Danta i Beatrycę; wśród krajobrazu górskiego, wzrok jej najsilniej przykuwali do siebie pasterz i pasterka.

— Czy mogę teraz spojrzeć na kopię? — zapytałem.

Zawahała się chwilę i zarumieniła trochę. W ogólności rumieniła się często, co nadawało chwilami przywidłej nieco jej twarzy pozór świeżej i skromnej dziewiczości.

Odsłoniła jednak robotę na stalugach umieszczoną. Malowała wprawnie i z wielką znajomością sztuki, ale przeniewierzała się oryginałowi, który naśladować chciała. Para pasterzy, usunięta na oryginalnie w najdalszą głąb perspektywy, występowała w niej na plan bliższy, w znacznie powiększonych rozmiarach. Co więcej, rysy pasterza przypominały w sposób uderzający, ściągłą, gorąco bladą, twarz pewnego znajomego mi, utytułowanego Antinousea.

Wiele jeszcze potem i w sposób bardzo uroczy pani Luiza mówiła mi o nieporównanie pięknych widokach górskich, które widywała w Szwajcaryi i południowej Francyi.

Wyobraźnia jęj zatrzymywała się najchętniej śród dzikich samotnych zakątków ziemi, tuliła się pomiędzy wysokie, świat gwarny zakrywające skały, zawisała nad umajonemi dzikim bluszczem dachami niskich ubogich chatek, i na tle tém lekkimi a żywemi rysami malowała obrazy jakiegoś fantastycznego Edenu. O bogactwie, o konforcie, o sprzętach miękkich i atlasem obitych, o malutkich fotelikach palisandrowych, jedwabnych firankach i wieszadłach, układanych kunsztownie z jelenich rogów — o tém wszystkiém słowem, co przepelniało mieszkanie pani Luizy, w obrazach tych, przez wyobraźnię jęj malowanych, najlżejszej nie było wzmianki. Panowała wśród nich prostota zupełna, pierwotna niemal prostota ubóstwa, a oprócz prostoty jeszcze było tam wiele ciszy, poezyi, niewinności i, jak już sam domyślałem się, samotności we dwoje. Cokolwiekbądź, pani Luiza, raz wpadłszy na jakikolwiek ulubiony sobie temat, stawała się prawdziwie wymowną. Z ożywionych rysów jęj twarzy, z blasku, którym zapalało się jęj oko, z trafności i subtelności jęj wyrażęń, poznać można było wtedy, że umysł jęj był z natury żywy, pojętny, zdolny do szlachetnych, acz niezmiernie jednostronnych, zapalów i uniesięń.

Z tém wszystkiém wizyta moja, jakkolwiek przeciągnęła się dość długo, stała się dla interesów bezpłodniejszą jeszcze od poprzedzającej. Dnia tego stanowczém już było niepodobieństwem skłonić panią Luizę do mówienia o rzeczach, tyjących się jęj spraw majątkowych. Zacząłem spostrzegać, iż zadanie, które przyjąłem na siebie, trudniejszym będzie do spełnienia, niż mniemałem z razu, i że pochłonie mi ono więcej czasu, niż go bez szkody dla innych zajęć moich ofiarować mogłem. Ale pani Luiza nic wcale o czasie i wysokości cenie jego nie wiedziała i wiedzieć nie chciała. Kiedy na uprzejme zaproszenia jęj odpowiedziałem, że pomimo prawdziwej przyjemności, jaką znajduję w jęj towarzystwie, nie będę mógł z powodu braku czasu, bywać u nięj codziennie, zawołała z prześlicznym uśmiechem:

— Oh, *mon Dieu!* nie wiem doprawdy, co panowie zwykle z tym swoim czasem czynicie! Życie jest jednak tak długie, tak nieskończenie długie...

— Myślałem zawsze, — rzekłem, — że jest ono, przeciwnie, zbyt krótkiem dla wszystkiego, co człowiek myślący pragnął by, a może i mógł-by zdziałać na świecie.

— Musisz pan być bardzo szczęśliwym, jeżeli życie wydaje mu się krótkiem.

— W istocie, — odpowiedziałem, — nie uznaję siebie wcale za człowieka nieszczęśliwego. Mam rodzinę, którą kocham, i zajęcia, w których zużytkować mogę siły mego umysłu i dni mego życia, nie bez korzyści dla siebie i innych.

Patrzała na mnie z zamyśleniem.

— Doprawdy? — wymówiła z wolna. — To dziwne! myślałam zawsze i myślę, że szczęścia niema wcale na ziemi... Wszakże, — dodała prędko, — skoro pan masz rodzinę, którą kochasz i przez którą wzajem kochanym jesteś, wierzę, iż możesz pan czuć się szczęśliwym...

— Chcięj pani koniecznie do tego zadowolenia serca dodać zawód mój, który zadawalnia mi umysł i sumienie.

Uśmiechnęła się.

— Nie mogę w żaden sposób uczynić tego, — rzekła. — Nie pojmuję bowiem, jakim sposobem zawód, mający do czynienia z kodexami, procesami i różnemi pieniędzmi albo zbrodniczymi sprawami, stanowić może integralną część czyjegokolwiek szczęścia!

— I nie przypuszczasz pani, że w zawodzie tym odkryć można stronę filozoficzną, która, rozszerzając widnokreęgi jego i uszlachetniając treść, czyni go wysoce zajmującym i pożytecznym...

Zaśmiała się srebrzyście i nieco filuternie.

— Filozofia kodexów i procesów! — zawołała. — Rzecz to nowa i najzupełniej niepojęta dla mnie. Przebac pan, ale w nią uwierzyć nie mogę.

— A w filozofią nauk przyrodniczych, czy nie wierzysz pani również, jak w filozofią prawa?

— Nie wierzę w nią bardziejęj jeszcze. Nauki przyrodnicze... to suchy zbiór faktów, odnoszących się do zwierząt i kamieni. Nie może w nich być ani filozofii, ani poezyi żadnej.

— A filozofia historyi? — zagadnąłem jeszcze.

— To co innego, — odparła, — historia zajmuje się ludźmi...

— Zdaje mi się, — rzuciłem nieśmiało, — że nauki przyrodnicze i prawne niezupełnie też są obce rodzajowi ludzkiemu...

— Być może, ale ja nie wierzę w to, bo nic wcale o tym nie wiem, — odpowiedziała z doskonałą tym razem logiką.

Przy ostatnich wyrazach, na ruchomej, dziwnie delikatnej jej twarzy ukazało się zmęczenie. Kilka ostatnich zdań, które zamieniliśmy ze sobą, znudziło ją już i znużyło! Była to rozmowa zbyt dla niej sucha i ciężka. W kilka dni potem wspominając o rozmowie tej przed księciem Jasiem, nazwała ją rozmową naukową.

— Pan Rolicki, — rzekła z żartobliwym przekąsem, — pan Rolicki stanowczo jest materyalistą. Utrzymuje, że kodexy i procesy mają swoją filozofią, a nauka o kamieniach i zwierzętach jest bardzo poetyczną!... Rozpoczął też ze mną w tym przedmiocie rozmowę naukową, ale ja prowadzić jej nie chciałam. Nie mam najmniejszej ochoty, — dodała, śmiejąc się — zostać uczennicą Darwina i razem z nim zgubić na wieki moją duszę...

— Być-że to może, abyś pani czytała Darwina? — zażartowałem.

Spojrzała na mnie z nieudanym przerażeniem.

— *Dieu m'en garde!* — zawołała głośno. — *C'est un monstre!*

Już to w ogólności, piśmiennictwo całe świata ucywilizowanego rozpadało się w jej oczach na dwa działy. Pierwszy z nich uwielbiała bez granic, drugiego tknąć-by nie chciała choć-by końcem delikatnego paluszka. Środka pomiędzy dwiema ostatecznościami temi nie było. Czytywała jednak wiele. Z dziedziny belletrystyki ulubionymi jej utworami były romanse francuzkie, tak zwane sensacyjne, albo też powieści angielskie, należące do szkoły, która utwory swe niezmiennie prawie tytułuje w sposób następujący: *Różyczka wiosenna*, *Różyczka mojego brata*, *Sen różany*, *Dziewczyna w różowej sukni* i t. p. Raz pokazała mi jakąś książkę, mówiąc:

— Zaręczam panu, że musi to być coś nieporównanie pięknego!

Zauważyłem, iż sądzić o tym nie mogła, ponieważ kartki książki były jeszcze nie rozcięte.

— A tytuł? — rzekła. — *Fleurange!* Z samego już brzmienia tytułu tego wnosić można, że...

— Że będzie tu mowa o kwiatach i aniołach, — dokończyłem, żartując.

— Cóż może być wdzięczniejszego, jak przypatrywanie się kwiatom i aniołom? — rzekła.

— A ludzie? — zagadnąłem.

— Oh! *j'en ai assez!* mam ich dość w rzeczywistości. Od książki wymagam, aby unosiła myśl moją w sfery jaśniejsze, wyższe...

Przemocą niemal, śmiejąc się tak wdzięcznie, jak tylko ona jedna śmiać się umiała, wcisnęła mi raz w rękę Medytacye Lamartina.

— Mam nadzieję, — rzekła, — że uwielbiony mój Lamartine, wyleczy pana z tej okropnej suchości wyobraźni, której nabawiła pana pewnie filozofia kodexów i procesów. Wymagam od pana stanowczo, abyś dziś jeszcze przeczytał parę ustępów...

Nazajutrz odniosłem jej książkę.

— *Eh bien!* — zapytała, ciekawie mi w twarz patrząc, — czy uleczyłeś się pan?

— Uleczyłem się... z bezsenności, która od kilku dni mię trapiła, — odpowiedziałem.

— Odpowiedź ta zmartwiła ją widocznie i rozgniewała trochę.

— Mój Boże! — rzekła, — jak to trudno, aby dwie dusze ludzkie porozumieć się mogły ze sobą doskonale na biednym tym świecie! Pan i ja, na przykład, należymy do ludzi ucywilizowanych, a jednak jak bardzo różnymi się w poglądach i upodobaniach naszych.

— *Et savez vous?* — dodała, — że ten sam rozdźwięk panował zawsze prawie pomiędzy mną a ogromną większością ludzi, których spotykam w mém życiu. Nie wiem doprawdy, czy ja nie rozumiem świata, czy też świat mnie zrozumieć nie może.

— Albo też nie chcesz go pani zrozumieć, — rzekłem poważnie.

— I owszem; chciała-bym przypatrzeć się kiedykolwiek tym tłumom biednych, zapracowanych istot. Cóż, kiedy nikt o nich pisać nie umie inaczej, jak na-pół tylko literami a na-pół cyframi. Wszelkie zaś cyfry są dla mnie rzeczą, niepodobną do wyczytania, a jeżeli kiedy i przymuszę się, aby kilka z nich wyczytać, wnet wylatują mi z pamięci.

— Jak widzę, — odezwałem się, — mogła-byś pani w takim tylko razie zabrać znajomość z potrzebami, cierpieniami i interesami ogółu ludzi, jeśli-by one przedstawionemi były pani w szeregu oper, pieśni lub obrazów, mistrzowsko w dodatku wyśpiewanych lub wymalowanych.

— Można-ż na temat ten układać wielkie pieśni lub prawdziwie piękne obrazy? — rzekła. — Byłyby to chyba piosnki uliczne, lub obrazy, przedstawiające karczmy...

Obok wyniosłej téj wzgardy dla ogółu śmiertelnych, w sercu pani Luizy istniała żywa litość cierpień ludzkich, które szczególnym wypadkiem jakimś podpadały jéj pod oczy. Pewnego dnia znalazłem ją klęczącą przy aksamitnej kozetce, na której leżało wybladłe, zemdlale, łachmanami okryte, dziecko.

Ujrzawszy mnie wchodzącego, zawołała.

— Zobacz pan, co to za biedne stworzenie! Widziałam dziś przez okno, jak tragarze, niosący coś ciężkiego, obalili je na chodniku. Dziecię to, słabe, zziębłe, zgłodniałe, i widocznie zemdlale. Kazałam je tu przynieść i staram się przywrócić do życia...

Mówiąc to, nachyliła się nad biedną dzieciną ze łzą w oku i wyrazem głębokiej tklivości na twarzy. Nagle odwróciła głowę.

— *Dieu!* — szepnęła, — jaka to brzydka rzecz, te łachmany! *que cela sent mauvais!*

Na grubą, podartą sukmanę dziecka wylała całą buteleczkę przedziwnéj jakiejś perfumy, a kiedy dziecię otworzyło oczy, posadziła je na niskim tabureciku, i przez dobry kwadrans karmiła je własnoręcznie wybornymi cukierkami, których koszyk stał u niéj zawsze na stole.

— Wolal-bym, — rzekłem, — abyś pani, zamiast rozlewać na dziecię te kosztowne perfumy, dała rodzicom jego trochę pieniędzy. Pożyteczniej téż było-by, zamiast cukierków, dać mu tęgiego bulionu i kawałek chleba lub bułki.

— O Boże! — zawołała z prawdziwą urazą w głosie, — jakim pan jesteś doprawdy dziwnym człowiekiem. Na całym szerokim świecie nic pan nie widzisz i widzieć nie chcesz, prócz... pieniędzy i... chleba!

Pomimo ogromnéj i wszechstronnéj różnicy pojęć i upodobań, którą mi sama co chwila wyrzucała, żartobliwie niekiedy, ze smutném rozżaleniem najczęściej, stosunki nasze stały się od razu prawie bardzo przyjacielskimi. Mało znałem osób, które-by zaznajały się z taką łatwością, a zarazem były tak słodkimi i pełnymi uprzejmego wdzięku w stosunkach z ludźmi. Powzięła do mnie zaufanie bez granic, ślepe prawie; a że, pomimo olbrzymiej trudności, z jaką wydobywałem od niéj najmniejsze słówko, najmniejszą wskazówkę, tycząca się jéj interesów, potrafiłem załatwić pomyślnie parę spraw drobnych bardzo, ale które, w wyobraźni jéj przybierając straszliwe jakieś rozmiary, napełniały ją troską i obawą, okazywała mi za to wdzięczność tak żywą, że aż w zakłopotanie mię wprowadzającą.

Przed księciem Andrzejem nazywała mię człowiekiem szlachetnym, dobrą duszą, rycerskim charakterem i t. d. Najzwykłej jednak wyrażała się o mnie: „to moja opatrzność!” Słowem, idealizowała osobę moją zupełnie tak samo, jak owę chatkę wieśniaczą, którą przez tygodni parę malowała. Skończywszy jednak malować chatkę, rozpoczęła kopowanie obrazu, przedstawiającego średniowieczny zamek feudalny, na wysokiej skale, niby gniazdo jastrzębie, nad rojem poniżej rozsypanych chatek zawieszony.

Zachwycała się z kolei feudalnym zamkiem i do ideału piękna i poezyi podnosiła to życie, które mieszkańcy jego wieść w nim musieli.

— A biednych tych chatek, — zagadnąłem, — które zamek ten gnębi i w ziemię wbija, nie żałujesz już pani?

— Owszem, — odpowiedziała w zamyśleniu, przypatrując się wyniosłym basztom zamku, — tylko wyobrażam sobie, że nie było na ziemi szczęśliwszej kobiety nad kasztelanekę, zamek ten zamieszkującą, gdy, stojąc na jednym z ganków swych, wieńczyła po odbytych turniejach rycerza-zwycięzcę.

— Szczególniej, jeżeli zwycięzca ten był Pompeiuszem, a ona ukochaną jego Numą, — dokończyłem.

Zarumieniła się trochę i wzruszyła ramionami.

— Pan posiadasz dziwną sztukę, — rzekła, — obracania w śmieszność najwznioślejszych, najpoetyczniejszych na świecie rzeczy.

Tegoż dnia, wśród mnóstwa omówień i rumieńców, wyznała mi, że pod pewnym względem znajduje się w wielkim kłopotcie, i że jedynie tylko jak najprędza podróż moja do jój dóbr z kłopotu tego wybawić ją może. Ponieważ zaś, w skutek długich starań i zachodów, zdołałem wyszukać część przynajmniej niezbędnych po temu papierów i dokumentów, przyrzekłem jój, że za parę już dni pojedę niezawodnie do Żmurowszczyzny.

Przed wyjazdem spostrzegłem, że brak mi kontraktu, zawartego pomiędzy nią a dzierżawcą głównego z folwarków jój, i poszedłem do niej z nadzieją, że po kilku-godzinnych usiłowaniach, potrafię może wymódl na nią, aby kontraktu tego poszukała w swém eleganckim biurczku, lub przynajmniej postarała się przypomnieć, kiedy i gdzie zawartym on został.

Omyliłem się; o kontrakcie, po który właściwie przyszedłem, nie dowiedziałem się wcale. Na wschodach za-to spotkałem nieuchronną pannę Zuzannę, która ze zwykłą swą natarczywością szepnęła mi, że idzie rozerwać trochę biedną hrabinę, która jest bardzo, bardzo zmartwioną i smutną. Książę Janiunio bowiem przychodzi do niej coraz rzadziej i bawi zwykle krótko. „Wczoraj wieczorem, — szeptała, drecząc koło mnie i zabiegając mi drogę, — najdroższy ten aniołek zalewał się gorzkimi łzami... myślałam, że mi serce pęknie z żalu... “ Okropna ta baba nie myliła się przecież i nie kłamała. Od kilku dni dopatrywałem istotnie w pani Luizie wielką zmianę humoru. Bledszą była niż wprzódy, za to oczy jój gorzały zdwojonym smutnym blaskiem. Wydawała się wciąż niespokojną i boleśnie rozdrażnioną. Bardzo często spoglądała na zegar, drgała widocznie za każdym ozwaniem się dzwonka u drzwi, i więcej, niż kiedykolwiek, mówiła o samotności swój, opuszczeniu, w jakim się znajduje, o pustce, którą czuje w sobie i wkoło siebie. Kilka razy spostrzegłem nawet, że rozdrażnienie to jój dosięgało stopnia gniewnego rozjątrzenia. Przesztawała wtedy całkiem być uosobieniem słodyczy i wdzięku. Naksztalt zadąsanéj kotki, zwijała się w kątku kanapy, zapadała w chmurne, uporczywe milczenie, które, gdy z konieczności już przerywała, głos jój, zamiast zwyczajnéj mu miękkości i melodyjności, brzmiał ostro i ucinkowo. Można-by rzec, iż w chwilach owych przenikał ją do głębi głuchy i zacięty, acz nieokreślony, gniew na świat cały.

Wszystkiego tego bezpośrednim powodem był przyjazd do miasta naszego kilku majątnych i wysoko w towarzystwie postawionych rodzin obywatelskich. W kółku tém bawiono się trochę w wieczory tańczące i w zbiorowe za miasto przejażdżki. Książę Jaś bawił się wraz z innymi, co było bardzo naturalném w jego wieku. Wycieczki w krainę sentymentów, odbywane z panią Luizą przez całą minioną zimę, wydać mu się musiały, koniec końców, zbyt monotonnemi, a gdy nadarzyła się sposobność, przełożył nad nie towarzystwo kilku wesołych i wytwornych rówieśników, a bardziej jeszcze może pięknej hrabianki Julii, która z jednostajnym zapalem tańczyła i konno jeździła, miała lat 18, wabne oczy i kilka milionów złotych posagu.

---

W dobrach pani Luizy przepędziłem blisko tydzień. Rzadko bardzo w kraju naszym napotkać można tak piękny i drogocenny kawał ziemi i tak starożytny, malowniczo położony, wspaniałego charakteru pełen dwór, jak były ziemia i dwór, przez panią Luizę w spuściźnie po przodkach odziedziczone. Były tam grunta tak wyborne, że żyznością swą sławnej ukraińskiej glebie niemal dorównywające; łąki, jak okiem zajrzeć szerokie, niby kobierzec gładkie i kwieciste; lasy ciemne, głębokie, falistą firanką spuszczały się po wzgórzach. Dokoła pałacyku, w poprawnym bardzo stylu odrodzenia zbudowanego, rozkładały się szeroko wspaniałe dziedzińce, ogrody i parki; wielka rzeka spławna, o skalistych brzegach, płynęła w pobliżu, a od niej, niby ramiona, kręte i srebrzyste wiły się strumienie liczne, przerywając łąki, szmerząc na dnie głębokich jarów, wkradając się do parku i niewymownie świeże powiewy mieszając w powietrzu z napełniającą go mocną wonią pobliskich borów.

Był to istny raj ziemski. A raczój mógł-by to być raj, gdyby na każdym kroku nie ukazywały się wśród niego wyraźne ślady opuszczenia, zwiastuny zbliżającéj się zupełne ruiny.

Na znacznej przestrzeni dóbr tych, w głównym dworze, jako téż w kilku pomniejszych folwarkach i kilkunastu wśród wzgórz i równin rozrzuconych wioskach, mieszkała kilkotysięczna ludność. Dzieci samych napotykać tam można było prawdziwe roje. Wi-



dywałem liczne gromady ich płasające po łąkach, nad strumieniami, kołyszące się w głębi gajów i na dnie wozów, hałasujące i wyprawiające wrzaskliwe harce po obszernych dziedzińcach dworskich.

Był to prawdziwy lud istot drobnych, złotowłosych, nieokielzanych — wpół dzikich.

Dawny kolega mój szkolny i przyjaciel, Władysław Łudziński, który od lat czterech już dzierżawił główny majątek pani Luizy, ułatwił mi wielce zapoznanie się z naturą i położeniem dóbr całych, jak też stworzenie sobie dokładnego obrazu, czém były one, a czém być mogły. Zachwycony byłem zmianą, którą w dawnym przyjacielu moim ujrzałem. Z wesołego, płochego nieco chłopaka, stał się on poważnym bardzo i wytrwałym pracownikiem. Utrzymywał przy sobie starą, owdowiałą swą matkę, wychowywał młodsze rodzeństwo, zamierzał wkrótce ożenić się z kobietą, którą kochał od dawna i serdecznie. Gospodarował też wybornie, pracując z zapalem i ufnością w przyszłość. Zmartwił się przecież trochę, gdy, przeczytawszy kontrakt dzierżawny, powiedziałem mu, iż był on niezupełnie formalnym i zawierał punkta, na mocy których z łatwością obalić go można.

— Na Boga! — zawołał, blednąc, — mogłoż-by to być, aby mi się stała kiedy krzywda podobna? Znalazłem tu pustynią, przez lat cztery włożyłem w ulepszenia gospodarskie cały mój niewielki fundusz, a zwrotu jego spodziewam się dopiero w przyszłości. Gdyby mię ztąd wypędzono, był-bym bezpowrotnie zrujnowanym...

Uspokoilem go, mówiąc, że, o ile znam panią Luizę, mniemam, iż nie jest ona zdolną do popełnienia tak nieuczciwego postępku.

Mówilem, jak myślałem. Ufałem dobremu, miękkiemu sercu klientki mojej i wstrętowi jej do wszystkiego, co brzydkie i niskie.

Wróciwszy ze wsi, udałem się wnet do pani Luizy. Jakkolwiek była to już godzina 4-ta po południu, powiedziano mi, że pani domu jest jeszcze nieubraną i prosi mię, abym zaczekał na nią chwilę. Nie czekałem długo. Wybiegła wkrótce z za blado-błękitnej, drzwi sypialni przysłaniającej firanki, i ze zwykłą, właściwą sobie, entuzjastyczną nieco serdecznością, podała mi na powitanie obie swe drobne, miękkie, alabastrowo-białe rączki. Wyglądała dnia tego piękniej niż kiedy, chociaż nie mogłem nie widzieć, iż przez tydzień ubiegły twarz jej schudła znacznie, okryła się cerą liliowej niemal białości i przezroczyście i bardzo widzialnymi śladami głęboko nurtującego ją cierpienia. Ale miała na sobie fałdzisty, długi szlafroczek z czarnego aksamitu, w którym jej było bardzo do twarzy. W pośpiechu, z jakim wychodziła na me spotkanie, nie uczesała jak zwykle włosów swych, które, gęste i lśniące, długimi pasmami spływały jej na plecy i na wychylającą się ze śnieżnych koronek, również białą, szyję. Nie wiem doprawdy, czy malujące się na twarzy, dotkliwe, głębokie cierpienie, czy też wdzięk nieopisany, cichy a miękki, z całej postaci dnia tego tchnący, usposobił mię dla niej tak przyjaźnie; ale uczulem się na jej widok dziwnie ciepło i sympatycznie wzruszonym. Byłem, jak mi się zdaje, pod wpływem takiego litościwego uczucia, jakiego doświadczamy na widok łagodnego a chorego dziecka, albo też pięknego, usychającego kwiatu.

W istocie też, miał-żem przed sobą człowieka? Kobieta ta, nie byłaż raczej dzieckiem lub kwiatem?

W sposób tak ostrożny i delikatny, w jaki tylko przemawiać można było do tak delikatnej, przezroczystej niemal i powiewnej istoty, oznajmiłem jej, że, z wielkim dla siebie zmartwieniem, nie przywożę jej lepszych wieści, niż te, które otrzymała była przedtém od kolegi mego, adwokata L.; że dobra jej były istotnie zrujnowane bardzo; folwarki wszystkie, z wyjątkiem tego, w którym gospodarował Łudziński, do najwyższego stopnia wyeksploatowane i wyniszczone; że zatem spodziewać się ona nie może więcej, jak połowy dochodów tych, które Żmurowszczyna dawała przed laty. Mówiąc to, złożyłem przed nią na stole całą pakę asygnat, wraz z rachunkami i sprawozdaniami oficyalistów i dzierżawców, od których pieniądze te otrzymałem.

Zarumieniła się lekko, nie dotknęła pieniędzy. Wiedziała o tém z góry, że za nic w świecie nie dotknęła-by ich przy świadkach. Usiłowała nawet nie patrzeć na nie; na twarzy jej przecież odmalował się przestrach widoczny, przez wiadomość o zmniejszonej sumie dochodów sprawiony.

— Skoro pan mówisz mi o tém, — wyrzekła słabym głosem, — musi to być prawda... a jednak nie pojmuję, jakim sposobem dojść do tego mogło... Mój Boże! — dodała z wyrazem sztywnego przestrachu patrząc w przestrzeń, — cóż się ze mną teraz stanie!...

Nadaremnie tłumaczyłem jój, że 8 lub 10 tysięcy rubli rocznego dochodu, które jój pozostały, stanowiły majątek bardzo znaczny, wystarczający nietylko na dostatnie, ale na zbytckowne utrzymanie, i nietylko dla jednej osoby, ale dla licznej choć-by rodziny. Słuchała mię, z powątpiewaniem wstrząsając głową.

— Pan nie znasz całej okropności położenia mego, — szeptała.

— Chciej-że mi pani powiedzieć wszystko, — prosiłem.

Nie pamiętam już, jakiej mianowicie użyła przenośni, wiem tylko, że słowa jój były rodzajem rebusa, który odgadywać musiałem, aby wyczytać z niego wyraz: *dhugi*. Suma długów tych i dłużków była znaczną. Położenie stawało się z powodu tego dość w istocie ciernistém.

Spowiedź ta, którą pani Luiza wymogła na sobie z wielkim wysiłkiem woli, zmęczyła ją i rozstroiła do reszty. Ze łzami w oczach pochwyciła mię za rękę.

— Pan jesteś tak dobrym, szlachetnym, rozumnym człowiekiem! — rzekła, — przed panem wszystko powiedzieć mogę. Widzisz pan przed sobą kobietę, ściganą przez dziwny jakiś, nieubłagany fatalizm. Byłam nieszczęśliwą od pierwszych dni życia mego! Wszystko, do czegokolwiek przywiązałam się kiedy, na cokolwiek liczyłam, opuszczało mię zawsze i zawodziło!

Z czołem na dłoni wspartém, cichym, melodyjnym swym głosem, i w zwykły sobie, w pół poetyczny, w pół malowniczy sposób, opowiadała mi o dzieciństwie swoim, spędzoném przy ojcu obojętnym dla niej i oddanym światowym uciechom, wśród najemnych bon i nauczycielek, z których żadna nie dała jój nigdy ani najdrobniejszej cząstki macierzyńskiej opieki i troskliwości.

— Robiłam, co chciałam, — mówiła, — otaczał mię zbytek najwytworniejszy, ale było mi ciągle strasznie zimno... zazdrościłam dzieciom, które miały matkę... tęskniłam ciągle, płakałam i chorowałam często.

Lata, spędzone w klasztorze, pozostawiły po sobie względnie najlepsze wspomnienie. Kilka szczególnie obrazów i scen z życia klasztornego utkwilo jój na zawsze w pamięci. Z wyrazistością przez czas nieprzyćmioną, widziała przed sobą sklepienie kurytarze, długie zda się jak nieskończoność, z obu stron przyozdobione kapliczkami, w których stały marmurowe Madonny, zwieńczone różami, i unosiły się wiecznie srebrzyste dymy różnych upajających kadzideł. W wieczór przepaściste przejścia te napełniały się tajemniczym mrokiem, a w dalekich głębokościach ich, przed świętymi obrazami zwieszona, płonęły lampy, jak blade i drżące gwiazdy. Kiedy wśród nocnej ciszy i ciemności, płynął od strony klasztornego chóru przeciągły śpiew zakonnicy, zakradała się ona wtedy w najciemniejszy kąt kurytarza i, do białego dnia częstokroć czuwając, unosiła się wraz z dolatującymi do niej śpiewnemi westchnieniami ku sferom jakimś niepojętym i nieznanym, lecz dziwnie promienistym, rozkwitającym śnieżnemi liliami, szumiącym z cicha skrzydłami przelatujących Cherubów. Uczyla się wtedy bardzo wiele muzyki, śpiewu i malarstwa; a jedyne prawie nauki te, jakie otrzymywała, sprawiały jój rozkosz niewymowną i otwierały przed nią coraz głębsze, jaśniejsze perspektywy rojeń i nieokreślonych dobrze, lecz gorących, nadziei.

— Później dopiero zrozumiałam — rzekła — że nadzieje te i rojenia moje zwróciły się ku światu, którego nie znałam wcale, ale, który z-za murów klasztornych ukazywał mi się, niby czarnoksiężki pałac, pefen wesela, szczęścia i miłości! O! jakże strogo zawiedziona być miałam!

Prosto niemal z klasztoru udała się do ślubnego ołtarza. O małżeństwie swém z panem Wielogrońskim mówiła niewiele i z widocznym przymusem. Tyle tylko ze słów jój wyrozumieć mogłem, iż był to, według jój zdania, człowiek pozbawiony wszelkiej delikatności uczuć, krańcowy materialista, niepojmujący nic wyższego nad poziome bardzo zajęcia i rozrywki. Nie bardzo temu wierzyłem, wiedziałem bowiem zkadina, że zmarły mąż pani Luizy miał wiele gruntownych zalet umysłu i charakteru. Ślady obywatelskich szlachetnych uczuć i dążności jego trwały nawet dotąd jeszcze w rodzinnej jego okolicy. Istnieli jeszcze ludzie, którzy wspominali go ze czcią i wdzięcznością. Ale był to podobno mężczyzna z powierzchownością dość grubą i nieponętną, wyćwiczony w szkole twardych doświadczeń, bynajmniej nie marzyciel. Być może zresztą, iż miał dobry apetyt i śmiał się, lub mówił zbyt głośno.

Cokolwiekbądź, w oczach pani Luizy była to zimna, gruba, krańcowo zmateryalizowana natura. Nie mieli ze sobą ani jednej myśli wspólnej, ani jednego wspólnego zamiłowania. Młoda kobieta usychała z tęsknoty i smutku, przy swym zacnym i szlachetnym, lecz za mało dla niej eterycznym, małżonku, i tylko, zamiast, jak bywało z nią za lat dziecinnych, płakać i chorować z tęsknoty i smutku, tańczyła na balach i w nieustannych wędrówkach zwiedzała wszystkie kąty ucywilizowanego świata.

— Szukałam ideału mego — tłumaczyła mi — szukałam serca, które-by jednostajnie z moim uderzało...

Owdowiała nakoniec, i jednocześnie prawie odziedziczyła po ojcu, jako jedynaczka, całą jego wielką fortunę. Widząc się swobodną z tém większym zapalem szukać po świecie zaczęła ideału swego i serca bratniego jój sercu. Wiele, wiele razy zdawało się jój, że znajdowała już drogocenne te przedmioty, ale ścigający ją zapewne fatalizm sprawiał, że zawodziła się zawsze. Wiekuiste poszukiwania te i zawodzenia się miały ten bezpośredni skutek, że dobra sława jój uległa wobec świata zarzutowi płochości i zalotności. Świat jest sam tak poziomy i tak brudny, (skarżyła się przede mną), że wszystko widziéć-by rad w ciemnych i brudnych barwach. Najczystsze marzenia moje, najprawsze pragnienia, uległy najczarniejszym, wstrętnym podejrzeniom... Cierpień moich, walk, zawodów serdecznych, nikt nie domyślał się i nie pojmował, a widząc tylko, że nieraz porzucała to, za co przez czas jakiś oddała-byłam życie, ludzie ogłosili mnie kokietką bez serca... Spotwarzano mię, powymyślano na mój rachunek najnieprawdopodobniejsze historie. Był czas, w którym nic dokoła siebie nie widziałam, prócz twarzy obłudnych i jadowitych, szyderskich uśmiechów. Usunęłam się od świata, przez lat kilka pędziłam życie samotne, zimne i pełne tęsknoty, a przyozdobione tylko pociechami, jakich używały mi ulubione książki moje, muzyka i malarstwo... Myślałam, że już przeżyła wszystkie tortury życia, że zdławiła i do milczenia zmusiła pragnienia serca i porywy wyobraźni... Myliłam się... czara goryczy nie została jeszcze dla mnie wyczerpaną do dna...

Owóż, kropla ta gorzkiego napoju, która pozostała jeszcze pani Luizie do wypicia, najtrudniejszą była dla niej do ukazania. Teraźniejszość opowiada się zwykle z większą daleko trudnością, niż przeszłość. Zrozumiałem jednak, iż kropla ta, znajdująca się na dnie gorzkiej czary, przez fatalizm wciąż do ust pani Luizy przykładanej, nosiła mitrę księżęcą i imię Jan. Znam go od dzieciństwa — mówiła pani Luiza, nie wymieniając przecież imienia, ni nazwiska żadnego, — ale tu dopiero, w mieście tém, na téj pustyni, w szare dni, lub długie wieczory zimowe, które najczęściej spędzaliśmy we dwoje, poznałam dokładnie całą piękność, całą podniosłość téj młodej, tak cudownie rozkwitającej duszy... O! wierź mi pan, że dusza to wybrana... *c'est une âme d'élite*... umysł to, zdolny do unoszenia się w najwyższe sfery piękna... serce tak gorące, a tak niewinne jeszcze... tak, że żadną skazą życia nie tknięte...

Nie mogłem powstrzymać się od dodania w myśli do wszystkich epitetów tych, udzielanych duszy i sercu księcia Jasia uwagi, że postać jego była przedziwnie kształtną i wysmukłą, oczy czarne, aksamitne i błyszczące, rysy téj twarzy klasycznie prawidłowe i gorącą obleczone cerą. Pomyślałem jeszcze, iż Bóg tylko wiedział, a i ja domyślałem się także, jak bardzo dusza młodzieńca tego zwykłą była i pospolitą, i samę siebie nieświadomą, a umysł słabym i do wszelkich rzeczy, prawdziwie wielkich, nieprzysposobionym. Nic jednak z tego nie powiedziałem pani Luizie. Wszelkie próby otwierania jój oczu były z méj strony zupełnie daremném okrucieństwem. Zdawało się jój, że znalazła nakoniec ten ideał swój, za którym przez życie całe goniła po wszystkich drogach téj ziemi. Z dziecięcym niemal wiekiem ideału tego nie liczyła się wcale, jak téż z piękną powierzchownością, o którą, wyobrażała sobie, że nawet nie dba. Nie rozumiała sama siebie, nie przypuszczała, że na to szalone, nieprawdopodobne uczucie, które ją pożerało, składały się w znacznej części żywioły, nieposiadające w sobie nic wcale idealnego. Ona nawet niedorzecznego uczucia tego nie nazywała miłością. Brała je za przyjaźń, za jakąś przyjaźń skomplikowanej natury, posiadającą wszystkie ognie gwałtownej, niepohamowanej namiętności, dręczącą ją we dnie tęsknotą i trwogą, spędzającą w nocy sen z jój powiek, nasuwającą jój wyobraźni miliony fantazyjnych, lub mistycznych, obrazów szczęścia, doświadczanego w samotnych chatkach wieśniaczych, na szczytach baszt, wznoszących się wśród skał niedostępnych lub na innym, lepszym jakimś świecie, kędy ona rozkwitnąć miała śnieżnym kielichem lilii,

a on stać się Cherubem, na błękitnych skrzydłach przez wiekuiste wieki po-nad lilią zwieszonym...

Teraz nie widziała go już od dni kilku. Świat i marne uciechy jego zaczęły go pochłaniać. Słyszała o jakiejś hrabiance Julii. Kto jest ta hrabianka? czy ją znam? jak wygląda? czy wistocie tak piękną jest, jak mówią?

Gdy zadawała mi to pytanie, głos jej i usta drżały, oczy zapaliły się namiętnym ogniem, prędko jednak bardzo zaszyły łzami i, pochylając się nisko, a twarz ukrywając w bogato haftowaną poduszkę, wybuchnęła głośnym, spazmatycznym, niepohamowanym łkaniem.

Koledzy moi, prawnicy, wiedzą dobrze, w jak szczególne a drażliwe położenie wprawia nas częstokroć ten zawód nasz, tak pełen styczności z ludźmi najrozmaitszymi. Nie wiem jednak, czy któremukolwiek z nich losy zawistne nastręczyły kiedy położenie, podobne temu, w jakim ja się znalazłem wobec pani Luizy, dotkniętej podwójnym atakiem rozpaczy i... spazmów. Nie byłem przyzwyczajonym do roli sercowego powiernika pięknych i czułych pań, to też wywiązałem się z niej tym razem w sposób niezupełnie może pospolity. Używane w podobnych razach otrzeźwiający sole i octy nie przyszły mi na myśl. Nie wydobyłem też z piersi mej ani jednego westchnienia i oczy me pozostały suchemi.

— Cierpisz pani bardzo — rzekłem — to prawda. Ale przebacz, że powiem, iż przyczyna cierpienia tych spoczywa właśnie we własnej twój istocie. Świat ten, który pani oskarżasz tak gorzko, mało im bardzo winien, tém mniej fatalizm, który nie zewnątrz nas, ale w nas samych tylko, w pojęciach i pobudkach, rządzących nami, istnieje.

Słowa te, jakkolwiek wymówiłem z prawdziwą nad nią litością, zabrzmiały snadź w jej uchu szorstko i zimno. Głośne łkania jej umilkły. Podobną była dziecku, które, gdy łzom jego schlebiają, płacze coraz rzewniej, lecz, gdy doń przemówią z powagą i stanowczością, ucisza się, i na gromiącą je osobę z nieśmiałym spogląda wyrzutem. W załamionych oczach jej, które na mnie podniosła, był miękki, trwożny wyrzut.

— I pan więc nie zrozumiałeś mię także! — szepnęła. — I pan także mię obwiniasz?

— Nie obwiniam pani bynajmniej — odparłem — wiem, że moralna istota człowieka jest koniecznym wynikiem mnóstwa przyczyn i skutków, które na nią przez czas długi działały. Pragnął-bym tylko przez współczucie dla pani, przez przyjaźń, którą dla niej powziąłem, abyś pani, raz przynajmniej uczyniwszy wysilenie nad sobą, zdobyła się na chwilę energii i rozwagi. Pojęła-bys pani wtedy, że posiadasz pani w swych rękach bardzo bogate środki do stworzenia sobie, jeśli nie zupełnego szczęścia, to przynajmniej spokoju i zadowolenia.

Uśmiechnęła się gorzko.

— I cóż-bys pan uczynił, gdybyś był na moim miejscu? — zapytała.

— Przedewszystkiem postarał-bym się o nadanie życiu memu jakiegoś dobrze określonego, a pożytecznego celu.

— Czegóż-bym nie dała za to, aby cel taki osiąść! — zawołała, splatając dłonie. — Rozumiem dobrze, iż główna przyczyna nieszczęść moich zasadza się właśnie na zupełnym braku celu, nie tylko dla życia całego, ale chociaż-by dla jednego tylko dnia, dla jednej godziny! Codziennie, budząc się z niewymownym przerażeniem, albo smutkiem, myślę, jak nieskończenie długim, zimnym, pustym będzie ten dzień, który się dla mnie rozpoczyna! Ale cóż na to poradzić mogę? Gdybym była w pierwszej młodości mojej inne zawarła małżeństwo, miała-bym teraz może rodzinę, kogoś, o kogo troszczyć-bym się musiała...

— Rodzina jest wielką i piękną rzeczą, ale, prócz niej istnieje jeszcze wiele bardzo drogiej i ważnych dla ludzkości spraw i potrzeb...

— Wiem o tém — podchwyciła — to też przez czas jakiś łudziłam się, iż mam istotny talent do muzyki i malarstwa. Próbowałam tworzyć, ale, niestety! przekonałam się prędko, iż dyletantką tylko być mogę i skromną naśladownicą dzieł cudzych!

— Sztuki piękne — rzekłem — dostarczyć mogą zapewne nadzwyczaj powabnych i użytecznych uciech i zatrudnień. Po-za niemi jednak istnieją jeszcze liczne przedmioty zajęć, niemniej bogate w pociechy dla serca i w plony dla świata!

Patrzała na mnie z lekką niedowierzającą ironią.

— Być może — szepnęła — ale wątpię, aby się dla mnie cokolwiek ztamtąd znalazło. Nie będziesz mi pan przecież radził, abym rozpoczęła studia nad matematyką, lub, abym myślała nad wynalezieniem nowej jakiej maszyny?

Nie odpowiedziałem jój bezpośrednio.

— Gdybyś pani wiedziała — rzekłem — jak pięknie teraz, przy promieniach wiosennego słońca, wygląda ten kawał ziemi drogocennej, której pani właścicielką jesteś.

Spojrzała na mnie ze zdziwieniem. Zwrotu takiego rozmowy nie oczekiwała.

— Wistocie — rzekła z roztargnieniem — przypominam sobie, że Żmurowszczyzna jest dość malowniczo położona...

— Istnieją tam — mówiłem dalej — skarby widzialne i przez przyrodę samę stworzone, i takie, które w łonie ziemi, powietrza i wód zawarte, wydobytemi z niego i światu darowanymi być mogą, tylko umiejętnym staraniem dzielnego umysłu ludzkiego, i pracowitej dłoni.

Oczy jój utkwione w mój twarz, roztworzyły się szeroko od zdumienia. Pojąć, ani domyślić się nie mogła, do czego zmierzała mowa moja.

— Gdybyś pani wiedziała — rzekłem dalej — jak smutny widok przedstawia śliczny jój wiejski pałacyk, to piękne dzieło architektury i chlubny ślad tego stopnia, którego dosięgła krajowa cywilizacja nasza! Do wyniosłych pałacowych komnat wpływają przez dach dziurawy deszcze niebieskie, starożytne rzeźby kruszą się i w proch rozsypują, zewnętrzne ściany z dala uderzają oczy podróznego wielkimi czerwonymi plamami ogołoconych z tynku cegieł. Wspaniałe drogi pałacowego parku zielskiem zarosły, a ogrody przybrały pozór puszczy dziewiczych; drzewa w nich przestały rodzić, a słynne niegdyś z piękności swęj róże zamieniły się w dzikie głogi...

Skończywszy smutny opis ten, zostałem z kolei zdumiony. Na twarzy pani Luizy, zamiast smutku i pożałowania, odmalowało się żywe zajęcie i rozciekawienie.

— Doprawdy — zawołała — czy tak teraz Żmurowszczyzna wygląda! A więc teraz dopiero musi to być prawdziwie piękna ustron wiejska... Wybornie pan opisujesz miejscowości zaniedbane... Ta ruina, błyszcząca z dala czerwonymi plamami... te dzikie, wysokie głogi w ogrodzie... Wzbudziłeś pan we mnie ochotę pojechania tam i obejrzenia tego wszystkiego!...

Miałem wielką ochotę wziąć kapelusz i pożegnać panią Luizę na zawsze. Z wewnętrznym gniewem pomyślałem, że nie jestem lekarzem-psychiatrą, i nie mam najbliższego obowiązku studyować, albo leczyć pewne gatunki obłąkania. Było to jednak chwilowe tylko uniesienie. Bądź co bądź, litowałem się nad tą kobietą, tak pełną wdzięku, a tak okropnie, tak wielostronnie kaleką. Być może, iż bardziej jeszcze żałowałem tych skarbów, których była właścicielką, a które tak marnie, tak bezużytecznie i dla niej samej, i dla świata przepadały w ślicznej, białej, przerażająco niedołącznej, jój ręczce. Rozmawiałem więc z nią dalej, strzegąc się już tylko, jak ognia, wszelkich opisów, najmniej choćby na poetyczne zakrawających. Sprobałem zresztą ująć przedmiot z innej strony. Powiedziałem jój, że w dobrach, do niej należących, istnieje wielka rzesza dziatwy drobnej, na-pół dzikiej, dla której choćby odrobina opieki i oświaty była-by dobrodziejstwem ogromnym. Wspomniałem coś o niezmierniej ważności dla kraju, i zresztą dla ludzkości całej, oświecania i moralizowania niższych sfer społeczeństwa, i że zadanie to leżało właśnie na sumieniu i odpowiedzialności ludzi ukształconych i bogatych.

Zrozumiała mię trochę, ale całe rozumowanie moje rozbijało się, według jój mniemania, o szkopuł nieprzewyciężony.

— Alboż jestem bogatą? — rzekła — mam tyle zaledwie, ile mi na skromne wcale utrzymanie wystarczyć może.

— Przepraszam panią — przerwałem — nie znasz pani tylko istotnej wartości pieniędzy i nie umiesz z nich uczynić stosownego użytku. Jesteś pani bogatą, a mogła-byś być daleko bogatszą jeszcze...

— Jakim sposobem? — zagadnęła z żywością, która świadczyła, iż nie była-by wcale zmartwioną powiększeniem swęj fortuny.

Powiedziałem jój, iż, zamiast przebywać beczynnie w rozmaitych miastach Europy, powinna-by zamieszkać w dobrach swoich, wziąć sobie do pomocy kogoś umiejętnego i doświadczonego i nietylko część znacznych jeszcze dochodów swych, ale czas swój i pracę poświęcić na podniesienie z gruzów tego, co upadło, na wydobywie z ziemi tego,

co zaniedbaném zostało. Przy staraniach takich, wytrwale prowadzonych, dobra jój, według zdania ludzi kompetentnych, mogły-by za lat kilka przynosić bardzo poważną sumę trzydziestu tysięcy rubli, wtedy, gdy obecnie przynosiły zaledwie dziesięć.

Słuchała mię z dziwnym jakimś, na-pół smętnym, na-pół wzgardliwym uśmiechem na ustach.

— Trzydzieści tysięcy rocznego dochodu — odparła po — chwili, rzecz to wistocie bardzo ładna. Chciała-bym posiadać tyle, aby raz na zawsze otrząść się z kłopotów, które mi są wstrętnemi, i mózż cokolwiek dobrego uczynić ludziom. Ale — dodała — bądź pan pewny, że dla zdobycia choćby dziesięć razy większych bogactw, nie poświęciła-bym ani jednego dnia mego życia. Gdybym je posiadała, była-bym trochę spokojniejsza, niż teraz jestem; ale starać się o powiększanie ich, myśleć nieustannie o pieniądzach, o, nigdy! raczej-bym z głodu umarła, niż-bym dobrowolnie zmateryalizowała w ten sposób myśl, uczucia i całe istnienie moje!

I znowu nie wiedziałem, czy mam zaśmiać się i odejść, czy téż do dna zbadać tę komiczną z pozoru, tragiczną w gruncie istotę ludzką, którą miałem przed sobą. Pomimo wszystkiego zresztą, nie mogłem obronić się od uczucia litości i sympatyj! Na szczęście miałem dnia tego dość czasu. Podniosłem więc znowu przedmiot rozmowy o parę stopni wyżej, i uczyniłem małą wycieczkę w krainę ekonomii. Staralem się wytłómaczyć pani Luizie, że, podnosząc wartość majątku swego, zwiększając o wiele jego produkcją, nie zniżyła-by myśli i uczuć swych do tak niskiego, jak sądziła, poziomu, pracowała-by bowiem nietylko dla siebie, ale i dla ogółu.

— W tak ubogim szczególnie i pierwotnie uprawianym kraju, jak jest nasz — mówiłem — każda szmata jałowego dotąd pola użyzniejsza, każde drzewo od zagłady uchronione, każda okrucza życia i dostatku, stworzona tam, gdzie panowała wprzód martwość i pustka — stanowią ważną przysługę, tak materyjalnej, jak i moralnej natury, ogółowi wyświadczoną. Materyjalnie powiększają one dobrobyt ogółu, moralnie — udzielają innym przykładu, nauki, zachęty!

Z samego już wyrazu twarzy słuchającej mię kobiety wniesć mogłem, iż nic a nic mnie nie rozumiała; jakoż po chwilowém milczeniu, rzekła:

— *Vous me parlez en grec!* nie pojmuję, coby ogół skorzystał mógł na tém, jeśli-by majątek mój dawał większe, niż teraz, dochody. Była-bym bogatszą, to prawda, ale czyż przez to sąsiedzi moi stali-by się także bogatszymi lub szczęśliwymi!

Rzecz to była szczególna doprawdy i ciekawość obudzająca; jak bardzo umysł kobiety téj, tak bystry i przenikliwy, gdy szło o rozpoznawanie i odgadywanie najsubtelniejszych odcieni, najzawiślejszych zagadek piękna, tęym był i ciężkim wszędzie, gdzie szło o choćby najprostszą, najelementarniejszą prawdę. Najzawilszy akord, najmisterniejsza linijka, najdelikatniejszy światłocien, w kompozycjach muzycznych lub malarskich zawarty, były dla niej najzupełniej zrozumiałemi, ale wszelkie pojęcie naukowe, wszelki, choćby zupełnie prosty, powszedni fakt życiowy, stawały przed nią w postaci Sfinxa. Na Sfinxa tego patrzyła ona przez chwilę piękniemi swemi, zdumieniem rozszerzonymi oczyma, poczem wymawiała z cicha: nie rozumiem! i najlżejszego nie zadając sobie trudu, aby zrozumieć, oddalała się od niepojętej dla siebie zagadki, ze smętnym uśmiechem na ustach i wzgardliwém wzruszeniem ramion.

I teraz także rzekła po chwilowém milczeniu:

— Nie przekonałeś mię pan wcale. Żaden z tych celów życia, które mi pan przedstawiłeś, nie jest dla mnie stosownym ani możliwym. Zbieranie pieniędzy i zakładanie szkółek dla chłopskich dzieci nie może przynieść mi żadnej ulgi ani przyjemności. Potrzeba mi czegoś więcej — przywiązania jakiegoś, wielkiej czyjś przyjaźni, zupełnego podziału z kimś uczuć moich... ale niestety! samotną i smutną byłam zawsze, samotną i smutną żyć mi i umrzeć przyjdzie!

— Nie pojmuję jednak — dodała z nowym wybuchem, — za co jestem tak nieszczęśliwą! O ile wiem, nie uczyniłam nigdy nic złego...

— Nie czynić dobrze, kiedy się ma możność po temu — rzekłem — jest to już czynić źle!

— Mój Boże! — odpowiedziała — albowiem ludzie o wszystkiém wiedzieć mogą? Nie mam przecież kamiennego serca i wyświadczam cierpiącym, jakie mogą przysługi...

— Co znaczy — przerwałem — że obdarzasz pani hojnie trzy te kobiety, które tak często u pani widuję?

— Alboż nie są one bardzo biedne? — wymówiła z litością.

— Zapewne — odparłem. — Jedna z nich za otrzymywane od pani pieniądze kupuje sobie różne kosztowne przysmaki, bo jest żarłoczną; druga sprawia aksamitne paltoty, bo ma pociąg do elegancyi; trzecia zaś, kolega mój żeńskiego rodzaju, składa je pilnie do sakiewki, w której znajduje się już spory uciulany fundusik.

— Nie wierzę temu — zawołała z uporem, — są to bardzo biedne, samotne, jak ja, dobre i wdzięczne istoty. Zresztą, co mi do tego, na co obracają pieniądze, które ja dają...

— Co znaczy — przerwałem znowu — że zamiast dopełniać dobrego uczynku, wspierasz pani próżniactwo, i udzielasz zachęty nikczemnej żebraninie, pociągając za sobą miłe następstwa takie jak: plotkarstwo, pochlebstwo, pobożnisiostwo i t. d.

Nie skończyłem jeszcze wymawiać tych wyrazów, gdy uchyliła się blado błękitna portyera, a z-za niej ukazały się z kolei twarze i postacie trzech kobiet, o których mówiłem. Po błyszczących ich oczach i zaciśnionych wargach poznałem, że słyszeć musiały zdanie, które o nich wyraziłem. Dygając i uśmiechając się, rzuciły na mnie jadowite, nienawistne spójrzenia, które jednak zwróciły się wkrótce na punkt inny. Punktem tym był zwój asygnat, który przed panią Luizą, przyniesiony przeze mnie, na stole leżał. Wywieriał on na wzrok ich czarodziejski niby wpływ przyciągania, to też pewny byłem, iż znaczna część jego przejdzie niebawem do ich kieszeni. Przybyły tak razem, aby, jak wyrażały się, rozerwać trochę panią hrabinę. W istocie, gdy wnet potem opuściłem mały salonik pani Luizy, w drugim czy trzecim salonie doleciały do uszu moich zmieszane ich głosy, z których każdy na wyścigi z innymi, rozmowę jakąś lub opowiadanie rozpoczynał. Panna Zuzanna chciała, jak mi się zdawało, opowiadać pani hrabinie o cudownym, proroczym śnie jakimś, który wysnił się jój zeszłej nocy; pani Mięcicka przerywała koleżance, dowodząc, że nierównie ciekawszą od snu była okropna jakaś, przerażająca sprawa kryminalna, której dnia tego na posiedzeniu sądowym wysłuchała; ale najbliższej gospodyni domu, której wdzięczną, na-pół leżącą na kanapie, postać, przez drzwi otwarte widziałem, umieściła się wyniosła i wytworna pani Kuniewiczowa, a pochylona nad dobrodziejką swą, szepotała jój o czémś bardzo cicho, o czémś, co zdwojoną bladość rzucało na lica słuchającej i chmurnym wyrazem napełniało jój źrenice. Nie miałem najmniejszej wątpliwości, że wyniosła dama w axamitnym paltocie opowiadała tój, za której pieniądze paltot ten kupiła, o świetnej kawalkadzie konnej, która dnia tego, przebiegając po kilka razy miasto nasze, była dla całej ludności jego przedmiotem rozmów i podziwu, a na której czele, na dzielnych rumakach i ze zwróconemi ku sobie wesołemi twarzami, jechali: księżę Jaś i młodziutka, piękna, zalotna hrabianka Julia.

---

Szumna owa przejażdżka konna, która tyle hałasu i przelicznych komentarzy wśród ludności miasta naszego sprawiła, miała być ostatnią już przyjemnością, którą księżę Jan podzielił z licznym a świetnym towarzyskim gronem, podówczas w mieście bawiącym.

Nazajutrz stary księżę Andrzej niebezpiecznie zachorował. Skoro tylko uwiadomiono mię o tém, udałem się do pałacu księcia, aby bliższe powziąć wiadomości o zdrowiu człowieka, który z wielu rozmaitych względów obchodził mię żywo. W pierwszym zaraz salonie ujrzałem kilku miejscowych lekarzy, odbywających cichą a żywą naradę. Z jednym z tych, z tym właśnie, który był stałym lekarzem księcia, zostawałem w bliskich i serdecznych stosunkach.

— Co jest księciu? — zapytałem, odprowadzając go na stronę.

— Rzecz niezmiernie rzadko zdarzająca się w tak podeszłym wieku — ospa.

Zaledwie lekarz wymówił ostatni wyraz, gdy drzwi otworzyły się na oścież i do salonu wbiegła szybko pani Luiza. Dowiedziawszy się o niebezpiecznej chorobie księcia, nie pomyślała snadź nawet o starannym ubraniu się. Miała na sobie ten sam czarny axamitny szlafroczek, w którym najczęściej spędzała na siebie poranne godziny, a tylko na ramiona zarzuciła jakąś fałdzistą, malowniczo ułożoną draperyą koloru nieba. Piękne jój włosy były w nieładzie. Zgarnęła je wszystkie z tyłu głowy w olbrzymi węzeł, z którego na plecj jój wymykały się miękkie i lśniące pasma. Łzy miała w oczach i wyraz gorącego

niepokoję na liliowo białej twarzy. Nie witając nikogo, zapominając jakby o wszystkich i wszystkiem na świecie, przebiegła szybko salon i pochwyciła rękę lekarza.

— Co jest księciu? — zapytała stłumionym głosem.

Lekarz powtórzył wymienioną już wprzódy nazwę straszną choroby. Usłyszawszy ją, drgnęła całym ciałem i oczy sobie dłonią przysłoniła.

— Czy... — zapytała bardzo cicho — niebezpieczeństwo śmierci zagraża księciu?

Lekarz nie mógł i nie chciał taić, iż wiek podeszły chorego zwiększał ogromnie złe szanse tej niebezpiecznej zawsze choroby. Pani Luiza stała przez parę minut, jak skamieniała. Nagle odsłoniła oczy, z których spłynęły dwie grube łzy. Twarz jej była w tej chwili zmienioną do niepoznania. Okrywał ją wyraz stanowczo powziętego mężnego jakiegoś postanowienia.

— Panie! — zaczęła, zwracając się do lekarza — książe nie ma córki, która-by nad nim czuwać mogła... Najemne dłonie nie zdołają otoczyć go troskliwością taką, jaka otaczać go powinna... Pozostaję tu i czuwać będę nad chorym!

Mówiąc to, zdjęła z ramion fałdzistą błękitną draperyą, rzuciła ją na sprzęt najbliższy i szybkim, zręcznym ruchem podjęła długi ogon axamitnej swąd sukni, aby, ciągnąc się po posadzce, nie sprawił niepotrzebnego szelestu.

— Jestem gotową — rzekła, zwracając się do lekarza — chciéj mié pan zaprowadzić do pokoju chorego i udzielić mi szczegółowych objaśnień co do sposobów czuwania nad nim!

Byliśmy wszyscy zdumieni i przeléknieni niemal tém szybkim a stanowczém jej postanowieniem.

— Pani — ozwał się lekarz — obowiązkiem jest moim ostrzedz panią, iż choroba jest zaraźliwą...

— Wiem o tém — przerwała z lekką niecierpliwością.

— Dla pań szczególniej — ciągnął lekarz — przedstawia ona niebezpieczeństwo podwójne...

— Wiem o tém, — powtórzyła — ale wszelkie niebezpieczeństwa, które grozić mi mogą, nie zmieniają bynajmniej postanowienia mego. Książe był najbliższym przyjacielem mego ojca. Od najpiérwszych dni dzieciństwa, nie pamiętam czasu, w którym-bym go nie znała i nie widywała codziennie niemal. — Zatrzymała się na chwilę. Potém podnosząc głowę, rzekła z dziwném pomieszaniem dumy i tkliwości:

— Był czas, w którym wszyscy ludzie na ziemi opuścili mię... nikt mi nawet przyjaznego spojżenia dać nie chciał... On jeden nie uwierzył nigdy w złe wieści, krążące o mnie... on mię nigdy nie opuścił i był dla mnie jednostajnie zawsze dobrym przyjacielem i opiekunem. Gdyby miał córkę, była-bym niepotrzebną, ale książe ma tylko syna... Czuwanie zaś nad chorymi nie jest zadaniem mężczyzny... Proszę więc pana... pójdźmy do chorego!

Rzekwszy to lekkim skinieniem głowy pożegnała kilkanaście obecnych w salonie osób, i szybkim, cichym krokiem oddaliła się w głąb' obszernego a dobrze znanego jej mieszkania.

Postanowienie jej było tak szybko powzięte, mężne, bohaterskie niemal, była ona tak piękną z tym rumieńcem wzruszenia, który oblał jej twarz liliową, i z tym ogniem zapału, który rozpałił szafirowe jej źrenice, że wśród zebranych osób rozszedł się ogólny cichy szmer uwielbienia, a i ja sam, który wczoraj jeszcze nazywałem ją w myśli niedołączną istotą, dziś — podziwiał ją musiałem.

Ze szczerem niepokojem zapytywałem potém o nią lekarza, który nieustannie prawie przebywał w domu chorego starca.

— Wiész pan — rzekł mi raz lekarz — kobieta ta sprawiła mi niespodziankę prawdziwą. Myślałem o niej zawsze, że jest słabém, rozkapryszoném dzieckiem, a ona tymczasem okazała się teraz prawdziwą bohaterką miłości i poświęcenia. Dwa tygodnie już upływa, odkąd książe zachorował, a nie spostrzegłem ni razu, aby tkliwość jej i czujność zmordowała się choćby na chwilę. Nie wiem, czy śpi kiedykolwiek, wiem tylko, że nie położyła się do łóżka ni razu. Wszystkie zlecenia moje spełnia z przedziwną zręcznością i pojętnością. Wierzaj mi pan, że światowa kobieta ta, jest z natury swąd siostrą miłosierdzia.

Innego dnia, kiedy chory miał się już znacznie lepiej, lekarz przyprowadził mié do drzwi jego pokoju i uchylił je trochę.



— Spójrz pan — rzekł — jest to widok rozrzewniający?

Patrzałem i oczu moich oderwać nie mogłem od tej przedziwnie wdzięcznej postaci niewieściej, która, w głębi ocienionego pokoju nad łóżem chorego schylona, białą swą dłonią przykładając mu do ust szklankę z chłodzącym i leczącym napojem. Błada bardzo od trudów i wzruszeń, twarz jej posiadała w tej chwili niewymowny urok skupionej w sobie głębokiej czułości, na delikatnych ustach spoczywał uśmiech smętny a słodki.

— Czy to ty, Luizo? — słabym głosem zapytał chory.

— Ja, mój ojczyste! — odrzekła cichym szeptem i, pochylając się niżej jeszcze, przyłożyła blade usta swe do rozrzuconych na poduszce srebrnych włosów starca.

Oddaliłem się z cicha, ale długo potem przed oczyma memi stał wciąż obraz pani Luizy, w czarnej szacie i z rozrzuconymi włosami, z liliowo białą twarzą i z łagodnym ogniem w oczach, schylonej nad łóżem boleści starego przyjaciela jej ojca. Gdybym był podówczas młodszym i do serdecznych marzeń a zapałów skłonniejszym, mógłbym, pomimo wszystko, co z kądną wiedziałem, szalenie się w niej rozkochać. A księżę Jaś? Księżę Jaś płakał często, batystową, uperfumowaną chusteczką łzy ocierał i, o ile mógł, unikał tej części domu, w której najłatwiej pochwyć-by go mogła w swe szpony straszna dla wdzięków jego choroba. Przypisać trzeba, że ostatni z rzędu ideał pani Luizy znajdował się w tym wypadku bynajmniej nieidealnie. Ona przecież nie spostrzegła snadź na *pięknej i wybranej duszy* jego skazy tej, którą widzieli wszyscy, albo też za skazę jej nie poczytała; bo gdy dla starego księcia niebezpieczeństwo wszelkie już minęło, gdy przechadzać się już począł po swym pokoju, wyszła po raz pierwszy do salonu, a ujrzawszy tam księcia Jasia, zapłonęła się jak róża i, wzrokiem tonąc w spojrzeniu młodzieńca, wydawała się być żywcem porywaną do nieba. Była tak zmęczoną, że zaledwie mogła się utrzymać na nogach. Ogień gorączki błyszczał w jej oku. Zbliżyła się przecież szybko ku synowi człowieka, do którego uratowania tak dzielnie się przyczyniła i, podając mu rozpaloną swą rękę — szepnęła:

— Bóg nam go oddał!

— Dzięki pani! — odszepnął młody księżę i z żywą wdzięcznością rękę jej ucałował.

Gwałtowne wzruszenie, jakie sprawiło jej to czule z nią obejście się jej ideału, przeniosło zmęczone jej siły. Zarumieniła się do szkarlatu, potem zbladła jak marmur, uśmiechnęła się przez łzy do księcia Jasia — i zemdlęła.

Dzięki szczęśliwej fizycznej organizacji swój i przedsięwziętym ostrożnościom, pani Luiza nie uległa chorobie, na którą tak bardzo narażoną była. Przez parę tygodni jednak, które upłynęły od powrotu jej do domu, widzieć się z nią nie mogłem. Ile razy do drzwi jej zapukałem, mówiono mi zawsze, iż czuje się słabą i z nikim widzieć się nie może.

Po wielkiem wyczerpaniu sił, które poniosła, było to bardzo naturalnem, jakkolwiek z innej strony wiedziałem, że księżę Jaś bywał znowu codziennym jej gościem i przepędzał z nią tyle czasu, ile mu go pozostawało od towarzyszenia ojcu, zwolna przychodzącemu do zdrowia. Ale ideały mają zazwyczaj odrębne swe prawa. Nie byłem tym razem zazdrośnym o nie, lecz niepokoilem się nieco złym obrotem, jaki przybierać począły interesa pani Luizy. Wierzyciele jej oblegali mię formalnie, jako pełnomocnika swój dłużniczki, upominając się o zwrot swoich należności. Było ich więcej, niż spodziewać się mogłem. Prawdopodobnie ona sama posiadała o liczbie i znaczeniu ich bardzo niedokładną tylko wiadomość. Zacząłem teraz już lękać się naprawdę ostatecznej ruiny dla słabej tej i niezaradnej istoty. Obowiązkiem moim było obmyślić środki ratunku, to też wynalazłem ich kilka. Ale bez osobistego porozumienia się z osobą interesowaną działać nie mogłem, dlatego oczekiwałem niecierpliwie dnia, w którym przyjąć mię będzie mogła.

Długo jednak pani Luiza nie przyjmowała nikogo wcale, oprócz księcia Jasia, lekarza i trzech kobiet, które pozorami ubóstwa i bezczelnem pochlebstwem zyskały sobie jej współczucie i łaskę. Kobiety te były teraz w dziwnym a ustawicznym ruchu, który nie mógł nie zwrócić uwagi mojej. Widywałem je na ulicy, jak schodziły się ze sobą w bliskości mieszkania pani Luizy i szeptały o czémś tajemniczo i długo. Panna Zuzanna wychodziła kilka razy z mieszkania pani Luizy w chwili właśnie, gdy nieprzyjęty od drzwi jej odchodziłem, i witając mię unizonemi na pozór dygami, rzuciła na mnie z pod żółtej swój powieki jadowite, tryumfujące spojrzenia. Pewnego dnia jednak zdziwiony zostałem, widząc panią Mięcicką opuszczającą mieszkanie mój klientki w towarzystwie człowieka, którego unikałem, o ile mogłem, a spotykać przecież często i znać dobrze musiałem, po-

nieważ był, tak jak i ja, prawnikiem, ale tylko, najgorszą posiadającym opinią, znanym powszechnie obrońcą wszelkich spraw i sprawek brudnych, pogmatwanych, któremi ani ja, ani inni koledzy moi, za żadne na świecie pieniądze rąk swoich i sumienia splamić-by nie chcieli. Była to zresztą tak zewnętrznie, jak wewnętrznie, mizerna i wstrętna niesłychanie figurka.

Mały, zgarbiony, w czarny wążki surdut, od głowy do stóp prawie opięty, z przebiegłymi małymi oczkami i brzydko pomarszczonem czołem, wyglądał on na to, czém był w istocie, więc na krętacza, intryganta, filuta i chciwca. Nie był jednak bez sprytu i zdolności niejakich. I owszem, lepiej, niżli kto inny, tysiąc razy od niego rozumniejszy, potrafił-by to uczynić, umiał on wmawiać w ludzi wszystko, co chciał, przymilać się, otumaniać, oplątywać ofiarę swą najróżnorodniejszymi niemi i wysysać z niej zyski dla siebie póty, dopóki tylko wysysanie to nie spotykało się z kodexem kryminalnym. Spotkania się z kodexem unikał starannie, a tak zręcznie, że tam, gdzie kto inny uczernił-by się bezpowrotnie, on ukazywał się z minką niewinną — czysty od zmyy wszelkiej — jak anioł. Nikt z ludzi zamożniejszych i wykształceńszych nie powierzał mu spraw swych, żaden człowiek, znający go trochę a uczciwy, nie podawał mu ręki.

Co nędznik ten czynić mógł u pani Luizy? Było to pytanie, które zadawałem sobie, dzwoniąc do drzwi jęj przedpokoju i przez okno, umieszczone nad schodami, widząc, jak pani Mięcicka wbiegła na dziedziniec domu i, wraz z towarzyszem swym stanawszy w najdalszym jego kątku, szeptać z nim poczęła bardzo żywo, co chwila na okna pani Luizy spoglądając.

Tym razem przyjętym zostałem. Pani Luiza spotkała mię w swym ulubionym, błękitnym saloniku, dość uprzejmie, ani w części jednak nie tak serdecznie i przyjaźnie, jak witała mię dawniej. Nie zwróciłem z razu na to uwagi. Przed oczyma miałem jeszcze wciąż chwilę tę, w której widziałem ją tak mężnie, z takim poświęceniem i zapomnieniem o sobie, czuwającą nad starym swym przyjacielem. Ucisnąłem gorąco dłoń jęj i, upoważniony zaufaniem bez granic zda się, które przed dwoma tygodniami okazywała, uczyniłem aluzję do ostatniej naszej rozmowy.

— Zdaje mi się — rzekłem z uśmiechem, — że odkryłem stosowny dla pani a wzniosły cel życia. Powinnaś pani zostać Siostrą Miłosierdzia.

Wyobrażałem sobie, że mówię jęj rzecz bardzo dla nięj pochlebną; ona przecież słowa moje przyjęła z niespodziewanym chłodem.

— O nie! — odparła z ironicznym trochę uśmiechem, — nie potrafiła-bym nigdy zdobyć się na tyle poświęcenia...

— A jednak — wtrąciłem — przy łożu chorego księcia dowiodłaś pani...

— O! to wcale co innego! — wtrąciła — księcia Andrzeja kocham i czczę, jak najlepszego ojca... ale względem ludzi obcych, nieznanych mi, nie potrafiła-bym nigdy spełnić podobnego zadania. Zresztą — dodała z lekką, jak mi się zdawało, urazą w głosie — nie jestem tak nieszczęśliwą, nie jest mi tak źle na świecie, abym potrzebowała wstępować do klasztoru.

Więc nie była już nieszczęśliwą, nie było już jęj źle na świecie! Rozumiałem wybornie tę zmianę usposobień. Być może, iż dopełniony względem księcia dobry uczynek mimo wiedzy jęj wytworzył na dzień serca i sumienia trochę spokoju i zadowolenia moralnego. Najpewniej jednak zmianę tę sprowadził wyjazd z miasta hrabianki Julii i codzienne znowu długie a wspólne podróżowanie z księciem Jasiem po krainach sztuki, marzeń i przyjaźni, podobnej niezmiernie — do gwałtownej namiętności.

Nie mogłem zresztą nie spostrzedz wyraźnego bardzo chłodu, który wiał z całego obejścia się ze mną pani Luizy. Zadawała sobie widoczny przymus, aby być dla mnie serdeczną jak dawniej, ale udawać nie umiała. Wrażliwa jęj natura zdobyć się nie mogła ani na jedną chwilę obłudy. Tajemnicza uraza jakaś i gniewne rozdrażnienie dźwięczały w jęj głosie i malowały się na twarzy, gdy rozmawiała ze mną. Z większą jednak niż zwykle cierpliwością i uwagą słuchała mnie, gdy przedstawiałem jęj rozpaczliwy prawie stan majątkowych jęj interesów; lecz uśmiechała się dziwnie jakoś podejrzliwie i niedowierzająco, gdy mówić zacząłem o środkach ratowania jęj majątku, które obmyśliłem, a które wydawały mi się o tyle niezawodnymi, o ile ze wszech stron uczciwymi. Gdy skończyłem mówić, wstrząsnęła głową przecząco.

— Nie — rzekła — wszystko to, co pan mi proponujesz, jest zbyt skomplikowane i niezrozumiałe dla mnie. Trzeba-by zresztą na to wiele czasu, a ja go do stracenia nie mam. Wiem o innym środku wybawienia się z tych nieznośnych kłopotów, daleko prędszym i prostszym. Oddam Żmurowszczyznę w dzierżawę komuś, kto mi zapłaci za nią dwa razy prawie tyle, ile płaci pan Łudziński...

Myslałem, że źle usłyszałem.

— Ależ — rzekłem — jest to właśnie środek, który najpóźniej ze wszystkich przedsięwziętych być może. Dzierżawa Żmurowszczyzny służy panu Łudzińskiemu według brzmienia kontraktu przez lat pięć jeszcze.

— Cóż stąd — rzekła — wiem dobrze, iż kontrakt ten jest niezupełnie formalnym i zerwać go mogę, kiedy tylko zechcę.

Wymówiła to z takim spokojem i z taką doskonałą naiwnością osoby, która nie rozumie sama tego, co mówi, że oniemiałem z razu ze zdumienia. Po chwili zrozumiałem, iż nakształt papugi powtarzała ona słowa, usłyszane od pani Mięcickiej i samego jej współnika.

— W istocie — odrzekłem — kontrakt zawiera nieformalności pewne, które unieważnić go mogą wobec prawa. Czy jednak wobec sumienia pani może on być nieważnym, zostawiam to już jej własnemu sądowi.

Wzruszyła lekko ramionami.

— Nie pojmuję — rzekła — jaką rolę odegrać tu może sumienie moje. Alboż majątek mój nie należy do mnie i czyż nie mam prawa oddać go w dzierżawę temu, kto mi za niego ofiaruje więcej? Nie jest przecież obowiązkiem moim wzbogacać człowieka, zupełnie mi obcego, a który w dodatku rozsiewa o mnie po świecie różne wcale nieuczciwe plotki.

— Upewniam panią — rzekłem — że pan Łudziński zanadto uczciwym i pracowitym jest człowiekiem, aby miał chęci i czas bawić się plotkami.

— O! — odparła z goryczą — znam innych ludzi pracujących, którzy jednak mają dość czasu, aby odplacić złem za dobre i nadwierać sławę kobiety, która w niedoświadczeniu swém ofiarowała im przyjaźń swą i zaufanie.

Nie mogłem mylić się. Był to tym razem kamyczek do ogrodu mego rzucony. Była to potworna i nieprawdopodobna plotka jakaś, wciśnięta pomiędzy mnie a kobietę, której interesów gorliwie bronić chciałem. O tłumaczeniu się jakimkolwiek nie pomyślałem nawet. Wydawało mi się ono śmieszném i poniżającym mię wszechstronnie. Pani Luiza zresztą mówiła dnia tego wiele z rodzajem gorączkowego zmieszania i uniesienia.

— Mam nadzieję — rzekła — że pan zechcesz postarać się o zerwanie tego tam kontraktu i wydzierżawienie Żmurowszczyzny izraelicie, który mi ofiaruje znaczną sumę...

— Nie pani — odrzekłem stanowczo — jakkolwiek rad był-bym służyć jej radą i pomocą moją, w tym wypadku żądania pani nie spełnię.

— Dlaczego? — zapytała na-pół naiwnie, na-pół niecierpliwie.

— Dlatego, że wszelkie zrywania raz zawartych umów i kontraktów uważam za rzecz nieuczciwą, témbardziej, jeśli, jak w obecnym razie, dzierżawcy nic wcale nie można mieć do zarzucenia.

— Oprócz tego, że wyzyskuje mię i w dodatku obmawia — wtrąciła z ironicznym uśmiechem.

— Obmowę — rzekłem — odłożmy na stronę, po pierwsze, jako rzecz w wypadku tym nieistniejącą, następnie, jako sprawę czysto prywatnej, osobistej natury. Jedynym względem, na który tu zważać należy, są prawa pana Łudzińskiego...

— Prawa pana Łudzińskiego do majątku, który jest moją własnością? — zapytała.

— Prawa jego do dzierżawienia majątku pani — odpowiedziałem. — Pan Łudziński brał w dzierżawę na lat dziewięć i urządził się stosownie. W pierwszych latach czynił w zrujnowanym majątku wielkie wkłady, z nadzieją zwrotu ich i korzyści w latach następnych. Jeżeli pani zerwiesz teraz zawartą z nim umowę, położenie państwa będzie następujące: pani otrzymasz majątek swój w stanie ogromnie ulepszonym i otrzymywać będziesz wszelkie z ulepszeń tych zyski; pan Łudziński zaś, który ulepszeń tych kosztem funduszu swego i pracy swój dokonał, zostanie najzupełniej zrujnowanym.

Zastanowiła się nieco nad słowami memi. Być może, iż zrodził się w niej skrupuł jakiś, lub obudziła się litość nad człowiekiem, którego pogrążyć chciała w odmęt trosk, a może i nędy. Po chwili jednak zamyślenia podniosła głowę i rzekła:

— Gdyby nawet i tak było, jak pan mówisz, czemu jednak, przebac mi pan, że powiem, uwierzyć zupełnie nie mogę; jestem słabą, osamotnioną kobietą, pan Łudziński zaś jest młodym, zdrowym i pełnym sił mężczyzną, ruina więc majątkowa bez porównania straszniejszą jest dla mnie, niż dla niego.

Było to rozumowanie, co najmniej szczególne. Zdobyłem się jednak na cierpliwość i odpowiedziałem w sposób jak najwięcej przekonywający, iż nie idzie tu o większą lub mniejszą słabość lub o siłę czyją, ale poprostu o sprawiedliwość.

Być może, iż w bardzo malutkiej części zrozumiała nieuczciwość postępków, którego dopuścić się chciała. Zamyśliła się bowiem znowu na chwilę.

— Boże mój — wymówiła nagle i z żalem — za co znowu ja to właśnie mam być ofiarą wszystkiego i wszystkich ludzi, którzy używają majątku mego i wzbogacić się chcą moim kosztem, sprawiedliwości, uczciwości i wszystkich słowem wyrazów, które w mowie ludzkiej istnieją! Nie chciała-bym zapewne, aby ktokolwiek cierpiał przeze mnie, ale dla czegoż ja znowu cierpieć mam przez wszystkich i wszystko. W obecnym wypadku nie mogę w żaden sposób uczynić inaczej. Mam długi, które zapłacić mi trzeba i muszę mieć dość pieniędzy, aby najdalej za miesiąc wyjechać do Paryża. Prędzej umrę — dodała z mocą — niż pozostanę tu dłużej, jak miesiąc!

Zrozumiałem znaczenie słów jej. Wiedziałem, że księżę Andrzej wraz z synem swym za miesiąc wyjeżdżał do Paryża. Nie mogłem przecież powstrzymać się od uczynienia jednej jeszcze uwagi.

— Chciój pani przyznać — rzekłem — iż pan Łudziński nic wcale nie winien temu, że pani masz długi, i że za miesiąc życzy sobie kraj opuścić!

— Nie winien! — zawołała — jakto? Gdyby przecież pan Łudziński nie wydzierżawił majątku mego na tak złych dla mnie warunkach, nie była-bym zmuszoną zaciągać długi i mogła-bym rozporządzać się czasem i osobą moją według własnych chęci mych i potrzeb.

Rozmowa z kobietą tą o wszystkiém, co nazywało się interesem, lub jakimkolwiek faktem życiowym, czy rozumowym, była niczém inném, jak laniem wody w naczynie, dna niemające. Zniecierpliwiony też a trochę i oburzony, powstałem i żegnałem się. Nagle na twarzy jej odmalował się żal. Podała mi rękę.

— Panie Rolicki! — rzekła — byłeś pan przez czas jakiś bardzo dobrym dla mnie! Miałam dla pana tyle przyjaźni, tyle zaufania...

— Cenić je umiałem i nie zdradziłem ich nigdy — odrzekłem.

— Nie mówmy o tém, — odparła, spuszczaając oczy, i z budzącą się nową urazą, — ale... przykro-by mi było... doprawdy przykro bardzo, jeśli-bym zmuszoną była... Nie, pan nie opuścisz mię i teraz jeszcze... nieporozumienia chwilowe usuwać można... ja postaram się zapomnieć o wszystkiém... Chciój pan urządzić interes ten z Łudzińskim.

— Przebacz pani, — przerwałem, — ale urządzić go w myśl pani nie będę mógł i nie zechcę nigdy.

Wysunęła rękę swą z méj dłoni i, oddawszy mi lekki, bardzo zimny ukłon, osunęła się na kanapę.

Zstępując ze wschodów, mimowoli spojrzenie rzuciłem w okno. W kącie dziedzińca ujrzałem panią Mięcicką, stojącą z przygarbionym i przebiegle uśmiechającym się swym towarzyszem. Szeptła mu wciąż o czémś bardzo żywo, on zaś trzymał za klapę surduta brodatego izraelitę, który z nachyloną twarzą zdawał się chciwie a pojętnie słuchać nauk jakichś, czy objaśnień, udzielanych mu przez okropną tę parę. Wszyscy troje spoglądali od czasu do czasu ku bramie domu. Wyraźnie oczekiwali z niecierpliwością chwili, w której dom ten opuszczać będą.

---

Nazajutrz otrzymałem od pani Luizy liścik, zamknięty w welinowej, pachnącej koptercie, w którym, w wyrazach ceremonialnych i nadzwyczaj niezręcznych, dziękowała mi za oddane jej przysługi, oświadczając zarazem, iż z żalem wielkim wyrzec się ich musi na przyszłość. O umówioném honoraryum nie było najlżejszej wzmianki. Zapomniała snadź o niém, albo też najpewniéj, pamiętając o poufnych stosunkach, które mię z nią przez czas jakiś wiązały; wstydziała się posyłać mi otwarcie pieniądze. Tegoż dnia jeszcze, przyszedłszy do biura dowiedziałem się, że pani Luiza cofnęła urzędownie, wydane mi dawniéj, pełnomocnictwo, a udzieliła go w zamian najędzniejszemu, przez wszystkich

uczciwych ludzi wzgardzonemu, krętaczowi i pokątnemu prawnemu doradcy. Spotkałem się z nędznikiem tym w jednej z sal biura. Minę miał tryumfującą i uradowaną, w rękę trzymał urzędowy papier, zawierający pełnomocnictwo, zdobyte intrygą, a obiecujące mu plony obfitsze, niż je miał kiedykolwiek, od którejkolwiek z licznych swych, zbyt łatwowiernych, ofiar. Dokoła tryumfującego człowieka tego kręciła się pani Mięcicka, szepcząc mu coś ustawicznie do ucha, a niekiedy wygrażając palcem. Układali się o podział ze spodziewanych zysków. W parę dni potem wpadł do mieszkania mego Władysław Łudziński, i z trwogą niewymowną oznajmił mi, że ze strony pani Luizy uczynione zostały kroki prawne, do złamania kontraktu dzierżawczego zmierzające.

— Ratuń mię, — zawołał, — idź do niej, przemów do jój sumienia!

W odpowiedzi pokazałem mu ostatni list, od byłej mej klientki otrzymany. Nie mogłem też ukrywać przed nim, że sprawa jego była zrozpaczoną; że prawo, tłómaczone szczególnie przez nowego pełnomocnika pani Wielogrońskiej, wyrzeczy niezawodnie na jego niekorzyść.

Biedny chłopak był w prawdziwej rozpacz. Cios, który na niego spadał, dotykał go nie tylko materyalnie. Nabawiał go on trwogą o osoby ukochane, łamał najdroższe serdeczne jego nadzieje.

— Gdybym był sam jeden na świecie! — mówił, ujmując w dłonie pobladłe czoło, — ale stara matka moja... młode siostry, mali bracia... Cóż z nimi uczynię? jak wystarczę teraz na utrzymanie ich i wychowanie?

Nie mówił o tém, że z tak srodze zachwianą pozycją majątkową nie mógł mieć nadziei prędkiego połączenia z kobietą, na którą czekał oddawna już, której miłość dopomogła mu do stania się dzielnym, pracowitym człowiekiem.

Jakoż w kilka tygodni potem, dzierżawca Żmurowszczyzny wraz z rodziną swą został sądownie wydalony z majątku pani Luizy. Miejsce jego zastąpił izraelita, protegowany przez panią Mięcicką i współnika jój, a protekcją tę hojnie zapewne oplacający.

W tym samym prawie czasie, księżę Andrzej z synem swym, księciem Jasiem, i z chrześną córką swą, panią Luizą, wyjechali za granicę.

Na tém skończyły się stosunki moje z tą dziwną kobietą, o której ilekroć potem myślałem, doświadczałem zawsze takiego uczucia, jakbym na wzór owej tradycyjnej panny młodej rozplątywać miał motek okrutnie splątanego jedwabiu. Była to w istocie płatanina szczególna najróżnorodniejszych cech charakteru i umysłu, był to wcielony chaos, uosobiona niekonsekwencja, było to, słowem, żyjące stwierdzenie przysłowia, dowodzącego, że kobieta jest Sfinxem. Nigdy przecież nie podzielałem mniemania ludzi, którzy utrzymują, iż z natury swęj kobiety muszą być Sfinxami. Dlatego też osobistość pani Luizy uważałem za sztucznie wykrzywioną i okaleczoną zgubnymi pierwiastkami, które w życiu jój panowały, i nie mogłem obronić się od uczucia pewnej nad nią litości.

Dochodziły mię o niej od czasu do czasu wieści różne. Nie przyjeżdżała już wcale do kraju. Mieszkała w Paryżu póty, dopóki mieszkał tam księżę Andrzej i syn jego. Ale po kilku latach, które od czasu przelotnej znajomości mej z nią upłynęły, księżę Jaś wstąpił w dozgonne małżeńskie śluby z jakąś piękną i bogatą margrabianką francuzką. Nie był to podobno dla pani Luizy tak srogi cios, jak wyobrazić-by sobie można; opowiadano mi bowiem, że syn księcia Andrzeja spadł był już przedtém z piedestału, na który go była wyniosła, i przestał być jój ideałem. Być może, iż zaszła tam plotka jaka, podobna tym, dla których znieawidziła ona Łudzińskiego i mnie zaufanie swe odebrała. Sprawy jój majątkowe popadały w stan coraz oplakańszy. Pełnomocnik jój wprowadzał ją w coraz nowe, kosztowne procesy; dzierżawca izraelita obracać począł olbrzymimi kapitałami; pani Mięcicka sprawiała córkom swym nadzwyczaj świetne i kosztowne toalety. Szczęściem dla pani Luizy zmarł kędyś na Wołyniu, czy Ukrainie, bezdzietny wuj jój i pozostawił po sobie wielką fortunę, którą ona po nim odziedziczyła. Była więc znowu bogatą, miała za co jeździć po świecie, szukać ideału swego i bratniego sobie serca, skupywać olbrzymie ilości obrazów, mebli i drobiazgów, obdarowywać hojnie wszystkich, którzy tytułowali ją hrabiną, śpiewali na wszystkie tony jój chwałę i bawili ją znoszeniem plotek lub opowiadaniem snów cudownych, spraw kryminalnych i innych tym podobnych, zadziwiających a nerwy jój wstrząsających, historyi.

Myślałem, że nie zobaczę już jój nigdy w mém życiu — stało się inaczej.

---

Kilka miesięcy temu, w porze wakacyjnej, dla zdrowia i wypoczynku podróżowałem za granicą, a znajdując się w jednym z miast włoskich, poszedłem obejrzeć słynną ze wspaniałości swiej i zawartych w niej dzieł sztuki świątynią; trafiłem właśnie na chwilę, w której gmach ogromny i wyniosły rozbrzmiewał cały odprawianem tam z muzyką i śpiewami jakimś nabożeństwem wieczornem. Widok, który miałem przed sobą, był w istocie czarującym. Wnętrze świątyni pustem było prawie. Nieliczne gromadki wierznych modliły się z cicha tu i owdzie. Ale w głębi wielki ołtarz pałał tysiącem roznieconych przed nim świec, z kołyszących się w powietrzu kadzidelnic płynęły w górę srebrzyste dymy i, przepelniając powietrze wonią upajającą, przezroczyste obsłony rzucały na śnieżne posągi, lśniące złocenia, koronkowe rzeźby i różnobarwne, po filarach i gzymsach ołtarza wijące się wieńce. Z wysokiego chóru płynęła poważna, przeciągle melodyjna muzyka organów, a towarzyszyły jej męskie, na-pół posępne, na-pół extatyczne, chóry kościelnych śpiewów.

Zapatrzony, zasluchany, stałem długą chwilę wsparty o jeden z filarów smukłych, wyniosłych, usuniętych w dalszą i przejrzystym mrokiem napełnioną głębię świątyni. Nagle usłyszałem bardzo blisko mnie odzywające się stłumione łkanie. Obejrzałem się i zobaczyłem u stóp cudnie pięknego posągu, który, nie wiem już dobrze, jakiego świętego wyobrażał, kornie i w złamanej jakby postawie klęczącą postać kobiecą. Postać ta pochylona była nisko ku ziemi i czoło swe wspierała na białych bardzo, rozpacznie jakby splecionych, a na podstawie posągu złożonych, dłoniach. Długa suknia z czarnego axamitu rozkładała się wokół niej na posadzce świątyni bogatymi miękkimi fałdami, głowę jej i ramiona przykrywały leciuchne jak pajęczyna, fantastycznie splątane, białe koronki.

Było coś w postaci tej, co wzrok mój do niej przykuło. Przedziwny wdzięk ten, z jakim pochylała się do stóp posągu, miękkość i powłóczystość axamitnej jej sukni, wielka ta masa śnieżnych koronek, które ją opływały, przyciszony dźwięk nakoniec łkania tego, które wydobyło się z jej piersi, przypominały mi koniecznie kogoś, kogo znałem niegdyś, a od dawna już nie widziałem.

Po kilku minutach, klęcząca kobieta podniosła się nieco i dłonie od twarzy odjęła. Poznałem panią Luizę. Twarz jej, odkąd jej nie widziałem, nie uległa żadnej zmianie. Była zawsze tak liliowo białą i przezroczystą, jak dawniej, i nosiła na sobie ten sam wyraz wielkiej słodyczy, niedobrze ukrywającej wewnętrzne gwałtowne burze niezaspokojonych tęsknot i pragnień. Tęsknoty te i pragnienia pożerały ją snadź nieustannie. Wozila się ona z niemi po świecie całym, od miasta do miasta. Wyrzucała je ludziom, szukała na nie pociechy u Boga. Ale religia jej nie była z tych, które ukojenia wielkie wlewają w serce, zmęczone niedolą i burzami życia, i goją łagodnie najbardziej zda się nieuleczalne rany. Religia jej, zarówno jak cała moralna jej istota, nie znała, co to zmęzniająca i uszczęśliwiająca cześć dla najwyższej mądrości, miłości i sprawiedliwości. Mądrość i sprawiedliwość były dla niej wyrazem bez znaczenia, miłość znała tylko z jednej, wyłącznej, najciaśniejszej, a najlichnieszym skazom podległej jej strony. Religią jej było extatyczne zatopienie wyobraźni w kłębach srebrzystych dymów, w płomieniach gorejących świeczników, w tonach muzyki brzmiącej na chórze, w plastycznej piękności poświęconych posągów.

To też i teraz podniosła ona wzrok swój ku głębokim mrocznym sklepieniom świątyni, wzrok niespokojny i niepocieszony i wiecznie zda się szukający czegoś, co niewyraźne i niepochwytne istniało we mgłach i mrokach, w przestworzach bezgranicznych.

Po twarzy jej płynęły dwie lzy grube, przez dolegliwy snadź ból wyciśnięte, a oczy jej szafirowe, zapadłe, gorejące, istne obrazy duszy burzliwej a znękanéj, zdawały się rzucać pod cieniste, wysokie sklepienia świątyni, pełne namiętnego żalu pytania.

— Kim jestem? poco żyję? Poco tułam się po świecie tym, cierpię i lzy wylewam? Dlaczego stworzyłeś mię, o Panie?

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/z-opowiadania-prawnika>

Tekst opracowany na podstawie: Eliza Orzeszkowa, *Z różnych sfer*, tom II, nakład i druk S. Lewentala, Warszawa 1886.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybówie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0670-2

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).